

Konferencje biblijne 2009/2010

Obrazy powołania w Piśmie Świętym

Ks. Waldemar Chrostowski

Parafia Zwiastowania Pańskiego,
ul. Gorlicka 5/7, Warszawa

Nieautoryzowany zapis na podstawie nagrań: J. Paczyński

Spis treści

1	Na czym polega natura powołania? Abraham (12 paźdz. 2009)	2009/2010 – 1
2	Powołanie Abrahama do ofiary z miłości (9 listopada 2009)	2009/2010 – 12
3	Powołanie Mojżesza (7 grudnia 2009)	2009/2010 – 22
4	Powołanie Dawida (11 stycznia 2010)	2009/2010 – 32
5	Powołanie Izajasza (15 lutego 2010)	2009/2010 – 42
6	Powołanie Jeremiasza (15 marca 2010)	2009/2010 – 51
7	Powołanie Amosa (10 maja 2010)	2009/2010 – 62
8	Powołanie każdego z nas, chrześcijan, wg. św. Pawła (31 maja 2010)	2009/2010 – 71

Ostrzeżenie

Ten tekst **nie jest autoryzowany przez Księdza Profesora!** W związku z tym należy go **czytać z rozsądną podejrzliwością**. Tekst był spisywany z nagrań z najlepszą wolą i wielkim nakładem pracy, ale:

- Tekst jest zapisem słowa mówionego. Z pewnością artykuł na ten sam temat Ksiądz Profesor pisał by nieco inaczej. Ale dość szybko doszedłem do wniosku, że nie jestem upoważniony do istotnych interwencji redakcyjnych. Bowiem zauważyłem, że nawet dygresje mówią bardzo wiele o osobowości Księdza Profesora.
- Podział na akapity, często nawet podział dłuższych zdań, podkreślenia tekstu itp. są tylko moim pomysłem.
- Dużo trudności sprawia mi „pobożnościowa ortografia”. Z jednej strony nie chciałbym szargać świętości (a może Świętości?). Zaś drugą stronę – jak mi się wydaje – najlepiej obrazuje stary kawał, w którym padają słowa: „Nie maluj Mnie na kolanach, maluj Mnie dobrze!”.

W końcu chciałbym ujawnić motywy, które mną kierowały przy podjęciu decyzji o spisywaniu tych konferencji. Dość szybko zauważyłem, że słucham z zapartym tchem ale trwale zapamiętuję tylko kilka procent informacji. Więc najpierw miało to być tylko dla mnie, bo jestem raczej „wzrokowcem”. Ale przecież mam przyjaciół i znajomych, którzy są np. chorzy, albo zajęci ... Wdzięczność kilku osób była dodatkową motywacją.

Jerzy Paczyński

1 Na czym polega natura powołania? (12 października 2009)

Pochwalony Jezus Chrystus ... W Imię Ojca ... Ojciec nasz ... Stolico Mądrości ...

Bardzo, bardzo serdecznie państwa witam na progu nowego roku. Nowego roku akademickiego dla nas. Bo jakkolwiek nazwać te wykłady i to, co nas tutaj łączy, to, co zbiera, to wiedza, którą uzyskujemy, jest na poziomie znacznie wyższym niż podstawowy i średni. Bardzo państwa witam i właściwie patrząc na państwa czuję dokładnie to samo co czuję zawsze, kiedy taki rok się zaczyna i kiedy mamy przed sobą perspektywę comiesięcznych spotkań, mianowicie wielkie pragnienie tego, żeby zadość czynić zainteresowaniu, które państwo wykazują, ciekawości, która istnieje, a także tym duchowym potrzebom, i potrzebom religijnym i teologicznym, z którymi tutaj przybywamy. Bo przecież od wielu lat spotykamy się właśnie co roku, potem co miesiąc, i od wielu lat staramy się zgłębiać Słowo Boże dostosowując je do okoliczności naszego własnego życia, czasu i miejsca. I raz jeszcze powtarzam to, co państwo słyszeli — ci, którzy brali udział w konferencjach do tej pory. Że to naprawdę postawa bardzo godna uznania, kiedy o takiej porze jesiennej, niełatwej przecież — a jeszcze przed nami zima, znajdują państwo czas na to, żeby przyjść, nieraz przyjechać z dalekich okolic Warszawy czy nawet spod Warszawy, żeby posłuchać refleksji na temat Słowa Bożego. Chciałbym, żeby ona była możliwie głęboka, żeby trafiała i do serca, i do rozumu. Chciałbym też, żeby okazywała się przydatna w życiu — dlatego ponieważ ta refleksja, którą podejmujemy, ma zawsze dwa podstawowe punkty odniesienia. Jeden to jest wzgląd na Pismo Święte, lektura Pisma Świętego, lektura ksiąg świętych. A drugi punkt odniesienia to jest oczywiście każdy i każda z nas. To jest wzgląd na to, kim jesteśmy, wzgląd na to, jakie są nasze potrzeby, i wzgląd na to, że Słowo Boże, niegdyś wypowiedziane przez Boga i zapisane na kartach ksiąg świętych, ma ciągle bardzo wiele nam do powiedzenia i może nam dostarczać również pociechy, może nam dostarczać uzasadnienia w naszym życiu, racji, motywacji, może stanowić fundament naszego życia a także w jakimś sensie może przesądzać o jego przeznaczeniu i o jego celu.

Zastanawiałem się jaki temat wybrać na tegoroczne konferencje biblijne i postanowiłem — żeby nie trzymać tutaj państwa w niepewności — wybrać temat który z pozoru jest nam znany i bliski, a mianowicie *Obrazy powołania w Biblii, w Piśmie Świętym, biblijne obrazy powołania*. Chciałem to zrobić z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że jest to temat ze zrozumiałych nam powodów bardzo bliski. Dlatego, że nie tylko o powołanie kapłańskie chodzi, ale w ogóle o powołanie chrześcijańskie i małżeńskie, o powołanie do tego, by zachować wierność Bogu i Jego woli wyrażonej w przykazaniach, powołanie do tego, by być dobrym człowiekiem, powołanie do mężnego znoszenia przeciwności, powołanie do uporania się z cierpieniem, powołanie do służby bliźnim, powołanie do odwzajemnionej miłości. A więc rozmaite formy i rozmaita treść tego powołania. I to jest sprawa pierwsza. Druga sprawa — przeżywamy teraz *Rok Kapłański* ogłoszony przez Benedykta XVI. I chciałbym uzmysłowić i sobie i państwu, że — gdy zastanawiamy się nad rzeczywistością powołania, to jest to rzeczywistość powszechna ponieważ dotyczy nas wszystkich. I w doświadczeniu powołania, które zostało przedstawione na kartach Pisma Świętego, każda i każdy z nas może odnaleźć i rozpoznać coś z siebie.

Nasza refleksja będzie miała charakter o tyle wyjątkowy, że ponieważ biblijne obrazy powołania są dość krótkie i treściwe, to będziemy za punkt odniesienia brali tekst oryginalny, tekst hebrajski dlatego że, jak mi się wydaje, kiedy słyszymy tę świętą mowę tak, jak ona brzmi, to możemy także z niej więcej wydobyć treści. Bo żaden przekład nie odda tego, co mamy w oryginale, o czym zresztą dzisiaj państwo się przekonają. Zatem punktem odniesienia będzie lektura Pisma Świętego i będzie komentarz do tej lektury. Bardzo chciałbym, żeby ten komentarz był przede wszystkim głęboko chrześcijański dlatego, że czytamy teksty o powołaniu jako chrześcijanie, jako wyznawcy Jezusa Chrystusa. Ale w tym komentarzu będą także elementy egzegezy, czyli objaśniania Pisma Świętego przez wyznawców judaizmu, przez Żydów. Bo nasze dwie tradycje religijne, zbratane i zwaśnione ze sobą — bo to jest równoległe i od siebie nierozłączne — również na temat powołania mają bardzo wiele do powiedzenia, bardzo wiele wspólnego do powiedzenia. I warto zastanowić się jak ta tradycja objaśniania Pisma Świętego jest obecna w jednej i drugiej religii.

Więc naszym celem nie będzie przyglądanie się tradycji, tylko przyglądanie się rzeczywistości powołania tak, jak jest ona naświetlana z tych dwóch zasadniczych punktów widzenia.

I jeszcze jedno — powołanie jest czymś bardzo tajemniczym. Powołanie jest jakimś misterium,

misterium spotkania człowieka z Bogiem. I właściwie nigdy nie przenikniemy tego misterium powołania. Nawet ci, którzy słusznie mogą domyślać się, że wyszli naprzeciw powołaniu, odpowiedzieli powołaniu tak jak np. powołanie kapłańskie czy powołanie małżeńskie — gdyby ich zapytać o istotę tego, co się dokonało w ich życiu, co się w ich życiu dzieje, gdyby zapytać czym jest powołanie — to w jakimś prawdziwym tego słowa znaczeniu są bezradni. Bo powołanie jest tajemnicą miłości, a miłość jest czymś, czego nie da się do końca zracjonalizować. Ona ma to do siebie, że uzupełnia rozum, że go wyprzedza, ale także po nim następuje. Że bardzo często dzieje się tak, że miłość zastępuje rozum, i bywa, że rozum się przeciwko temu buntuje. Ale i tak racja jest nie po stronie rozumu, ale po stronie miłości. I w przypadku powołania widać to doskonale. Rzeczywistość powołania jest takim misterium, którego nie uda nam się uchwycić inaczej, jak tylko poprzez pewne obrazy. Mianowicie, jeżeli chcemy zastanawiać się nad powołaniem to coś tak jak gdyby byśmy myśleli o człowieku, rozmawiali o człowieku oglądając jego zdjęcia albo oglądając jakieś opisy jego osoby i działalności. Więc powołanie, rzeczywistość powołania, poznajemy nie wprost, nie bezpośrednio, ale pośrednio. I można by powiedzieć tak: każdy z nas i każda może na tyle przeniknąć to misterium powołania, na ile cząstkę tej tajemnicy w sobie nosi. Dlatego, że na dobrą sprawę każdy człowiek, który żyje na sposób religijny, który żyje na sposób pobożny — czyli po bożemu — każdy człowiek odczuwa w sobie tę rzeczywistość powołania. I każdy człowiek zastanawia się jaki ona ma wpływ na nasze życie i jak ona jest w naszym życiu obecna.

Otóż dziś wyjdziemy od pierwszego wielkiego bohatera wiary, o którym przy różnych okazjach powiedzieliśmy już sporo. Dzisiaj natomiast skupimy się tylko na jednym krótkim epizodzie jego powołania i będziemy starali się ten epizod oglądać z rozmaitych perspektyw. Za miesiąc, na następnym naszym spotkaniu, również zatrzymamy się nad tą samą postacią — ale prześledzimy powołanie, jakie otrzymał, innego rodzaju.

Dzisiaj jest to powołanie Abrahama do podjęcia szczególnej odpowiedzialności. Natomiast za miesiąc bardzo ściśle się z tym będzie łączyło powołanie Abrahama do przyjęcia cierpienia i do pójścia drogą cierpienia, można by powiedzieć, aż po same ludzkie możliwości. Ale to będzie w listopadzie. Może nawet to będzie dobry miesiąc, aby to powołanie do przyjęcia cierpienia zgłębiać. Natomiast dzisiaj rzecz z pozoru łatwiejsza, chociaż nie taka łatwa. Mianowicie *na czym w ogóle polega natura powołania?* Bo Abraham, o którym będziemy mówić, to jest pierwszy powołany na kartach Pisma Świętego. Pierwszy, do którego Bóg zwraca się po imieniu i ustanawia między Sobą, a nim, zupełnie szczególną relację. Powołanie jest bowiem bardzo ściśle związane z jednej strony z wybraniem, a z drugiej strony z odpowiedzialnością. Powołanie nigdy nie jest ze względu na tego człowieka, którego dotyczy. Powołanie ma zawsze charakter i wymiar społeczny, jest ukierunkowane ku innym. Bóg nie znosi egoistów, ani się nimi nie posługuje, ani ich nie potrzebuje. Otóż Bóg potrzebuje ludzi, którzy gotowi są poświęcić cząstkę swojego życia, czasami całe swoje życie, aby osiągnąć cele, które On zamierzył. I jeżeli w takiej perspektywie spojrzymy na powołanie, wtedy zobaczymy, że i w naszym życiu miejsca na urzeczywistnianie powołania jest aż nadto dużo.

Więc bohaterem naszej refleksji jest Abraham. Przypomnijmy tylko to, co bardzo wiele osób już bardzo dobrze wie — że Abraham żył ok. 1850 lat przed Chrystusem, czyli ponad 3800 lat temu. To dostatecznie dużo, żeby poszedł w mroki niepamięci gdyby nie fakt, że została jego osoba i działalność ocalone na kartach Pisma Świętego. I w Księdze Rodzaju, pierwszej księdze biblijnej, i w wielu innych księgach mamy aluzje do osoby Abrahama. I można by powiedzieć, że Biblia żyje i oddycha Abrahamem do tego stopnia, że został nazwany Ojcem Wierzących. Dlatego między Abrahamem a nami — nami jako wspólnotą, jako społecznością, ale także nami jako każdą pojedynczą osobą, jako jednostką — istnieje szczególna więź. Moglibyśmy powiedzieć taką polszczyzną z ubiegłych wieków, że my wszyscy jesteśmy z niego, że on w najpełniejszym tego słowa znaczeniu pozostaje naszym ojcem. W tradycji żydowskiej, która jeszcze bardziej mocno podkreśla to pochodzenie od Abrahama dlatego, że podkreśla także jego fizyczne aspekty, pochodzenie cielesne, jest taka modlitwa, która rozpoczyna się od słów avinu. To avinu znaczy po polsku *nasz ojciec*. Abraham jest postrzegany jako ojciec wyznawców Jedyne Boga, którzy Go wyznają na sposób żydowski. Ale to hebrajskie wyznanie wiary avinu — *nasz ojciec* możemy odnieść także i do nas, bo on jest naszym ojcem w wierze. I tak to przedstawia św. Paweł, patron ubiegłego roku, w Liście do Galatów podkreślając bardzo mocno to niezwykle ojcostwo Abrahama. Więc skoro wiemy i uznajemy, że jest naszym ojcem, to spróbujmy sięgnąć wstecz te ponad 3800 lat i na kartach Biblii spróbujmy niejako go

ożywić. Ożywić go także w naszej wyobraźni, bo chociaż do końca to jest niemożliwe żebyśmy go sobie wyobrazili na sposób wizualny, nazwijmy go: telewizyjny, to myślę, że jesteśmy w stanie go sobie wyobrazić i przyjąć na sposób duchowy. Dlatego że to, co usłyszał, to, czego doświadczył, i to, jak odpowiedział, zawiera bardzo wiele z naszego doświadczenia i dlatego nie powinno być nam obce. Otóż osoba Abrahama została na kartach Księgi Rodzaju wprowadzona tak (Rdz 11,27):

Oto dzieje potomków Teracha.

Terach to jest ojciec Abrahama. I punktem wyjścia jest prezentacja rodziny Abrahama. Otóż ile razy zastanawiamy się nad tajemnicą powołania, to tyle razy powinniśmy wiedzieć, że dotyczy ona wprawdzie pojedynczego człowieka, ale ten pojedynczy człowiek, ten konkretny człowiek ma swoje środowisko, ma swoje otoczenie, ma swoją rodzinę, ma ten kontekst, z którego się wywodzi. Otóż dobrze jest poznawać życiorys ludzi powołanych, wezwanych, wybranych przez Boga do szczególnej odpowiedzialności. Dobrze także jest przyglądać się także temu środowisku najbliższemu, z którego oni pochodzą, bo z tego też czegoś można się dowiedzieć.

Jeżeli chodzi o Abrahama to Biblia, Księga Rodzaju, przedstawia najpierw jego ojca, który miał na imię Terach, i powiada o nim tak:

Terach był ojcem Abrama, Nachora i Harana, a Haran był ojcem Lota.

Mamy zatem ojca, który ma trzech synów. Imiona tych trzech synów to odpowiednio Abram, Nachor i Haran. Wynika z tego, że Abram jest najstarszy, jest synem pierworodnym, i ma jeszcze dwóch braci. I jeden z tych braci, imieniem Haran, ma syna, który miał na imię Lot. Zatem już na tym etapie Terach jest przedstawiony jako dziadek, natomiast ci trzej synowie są przedstawieni jako dorośli ludzie. I jeszcze przedstawiony jest Lot, bratanek Abrahama, który jest wnukiem. Mamy więc pełną trójpokoleniową rodzinę. Co z tego wynika? Wynika z tego, że Abram w momencie, kiedy został powołany, nie jest człowiekiem młodym. Że jest człowiekiem dorosłym, to potwierdzi się za chwilę. Że dzieciństwo i młodość ma już za sobą. Rozmaite są sposoby i okoliczności, w jakich Bóg powołuje człowieka. Bywa, że w dzieciństwie tak, jak w przypadku Samuela. Bywa, że we wczesnej młodości, jak w przypadku — będziemy o tym mówić — Izajasza czy Jeremiasza. Bywa że wtedy, kiedy człowiek jest nieżonaty, jak w przypadku Jonasza. Wtedy, kiedy już ułożył sobie życie, jak w przypadku Mojżesza — i także w przypadku Abrama. Wydawać by się mogło, że mamy do czynienia ze zwyczajną rodziną, w której nic niezwykłego nie powinno się wydarzyć. Ale czytamy tak:

Haran zmarł jeszcze za życia Teracha, swego ojca, w kraju, w którym się urodził, w Ur chaldejskim.

Ur chaldejskie leży na południu dzisiejszego Iraku. Niestety nie można tam pojechać z wiadomych powodów od dobrych kilku lat dlatego, że jest tam bardzo niebezpieczna i bardzo wyniszczająca wojna. Jeżeli chodzi o Ur, to w pobliżu dawnego starożytnego Ur, które zachowało się do naszych czasów, istnieje baza wojskowa tak, że cały ten teren jest absolutnie zamknięty i niedostępny, chociaż jeszcze do mniej więcej r. 2000 można było do Iraku pojechać i można było Ur zwiedzać. Również można było zwiedzać przedmioty znalezione w Ur w Muzeum Archeologicznym w Bagdadzie. Wraz z inwazją amerykańską to muzeum zostało splądrowane, prawdopodobnie zrabowane. Dzisiaj pokazuje się tam, nie wiem komu, jakieś tylko śladowe ilości tego, co tam się znajdowało. Natomiast czy i kiedy reszta będzie dostępna — tego nie wiemy. Dlaczego na to zwracam państwu uwagę, na te szczegóły? Otóż dlatego, żebyśmy mieli pojęcie, że powołanie, o którym mowa, to nie jest mitologia, to nie jest bajka, to nie jest jakaś narracja i opowieść z tysiąca i jednej nocy. Ale że to opowiadanie o powołaniu, ten obraz powołania jest bardzo silnie osadzony w realiach czasu i miejsca.

Można by powiedzieć tak. Jeżeli chcemy zrozumieć życie Jana Pawła II, to powinniśmy udać się do Wadowic, zobaczyć jego rodzinny dom i widok, który miał ze swojego okna, widok na kościół i na zegar, o którym wiele razy wspominał. Jeżeli chcielibyśmy zrozumieć lepiej Abrama, to dobrze byłoby zobaczyć to Ur chaldejskie. Chociaż od tamtej pory upłynęło 3800 lat, to jest to samo. Podjął tę pielgrzymkę. Tu przypomnijmy, że w kontekście Wielkiego Jubileuszu Roku

2000 Jan Paweł II bardzo chciał odbyć pielgrzymkę do Ur. To właśnie od pielgrzymki do Ur chciał rozpocząć swoje wielkie pielgrzymowanie. Ale już wtedy sytuacja polityczna zaostrzała się coraz bardziej, pielgrzymka papieża do Ur była niemożliwa. I wówczas w styczniu, w Wielkim Jubileuszu Roku 2000, papież odbył duchową pielgrzymkę do Ur. Mianowicie podczas audyencji generalnej, która miała miejsce w Auli Pawła VI w Watykanie, papież przeniósł się myślami i sercem do Ur chaldejskiego. I to, co my dzisiaj odbywamy, to też niejako taka pielgrzymka śladami Jana Pawła II do Ur chaldejskiego. Dodam tylko, że jakieś reminiscencje tego pielgrzymowania można rozpoznać, dostrzec w słynnym *Tryptyku Rzymskim*, gdzie papież nawiązuje do Abrahama. I ten fragment przeczytamy sobie za kilka tygodni, kiedy spotkamy się na następnej naszej konferencji bo istnieje bardzo ścisła więź między wyjściem Abrahama, powołaniem Abrahama, a jego powołaniem do przyjęcia cierpienia.

Więc Haran zmarł, jeden z tych braci, i pozostało dwóch: Abram i Nachor. A Haran zmarł jeszcze tam, gdzie wspólnie przebywali, czyli w Ur chaldejskim.

Abram i Nachor wzięli sobie żony. Imię żony Abrahama było Saraj, imię zaś żony Nachora - Milka.

Obaj bracia, którzy nadal żyli, ożenili się, ułożyli sobie życie. Znów mamy to życie przedstawione tak, jak życie każdego normalnego człowieka w odległej starożytności. Ta Milka, o której mowa, to:

Była to córka Harana, który miał jeszcze drugą córkę imieniem Jiska. Saraj była niepłodna, nie miała więc potomstwa.

Dowiadujemy się, że w życiu Abrahama istnieje jakieś cierpienie, istnieje jakiś dramat. Kiedy czytamy to dzisiaj, to czytamy z innej perspektywy dlatego, że dzisiaj nieposiadanie dziecka w rodzinie dla bardzo wielu jakimś dramatem szczególnym nie jest. Wiemy, że kultura idzie raczej w innym kierunku. Natomiast w rodzinach semickich do dnia dzisiejszego to jest traktowane jako wielkie nieszczęście. Mimo to, można by powiedzieć, a może właśnie dlatego Abram pozostaje z Saraj. To był dostateczny powód, żeby ją oddalić i poszukać żony, która dałaby mu syna czy córkę. Ale Abram tego nie robi. Trzy tysiące osiemset lat temu widać, że Abrahama i Saraj łączą więzi, które są co najmniej więzami lojalności, a z całą pewnością owocem miłości. Może w tym widać coś z jego charakteru. Może w tym widać coś z tego, kim on jest. Może ten szczegół wcale nie jest taki nieważny, jeżeli autor Ks. Rodzaju o tym mówi, jeżeli tak podkreśla, że Saraj była niepłodna więc nie mieli dzieci. I czytamy dalej: Terach — czyli ojciec Abrahama i Nachora

wziąwszy z sobą swego syna Abrahama, Lota - syna Harana, czyli swego wnuka, i Saraj, swą synową, żonę Abrahama, wyruszył z nimi z Ur chaldejskiego, aby się udać do kraju Kanaan.

Widzimy zatem zerwanie z dotychczasową sferą życia, można by powiedzieć — pewne zerwanie z przeszłością. Ojciec Terach postanawia wyjść z Ur. Zabiera swego syna Abrahama i synową, zabiera jeszcze swego wnuka a bratanka Abrahama, Lota, i wyruszają razem na północ. Udają się w kierunku kraju Kanaan. Ale:

Gdy jednak przyszedli do Charanu, osiedlili się tam.

Do Kanaanu nie doszli. Mieli taki zamiar, ale zatrzymali się, nawet nie doszli do połowy drogi. Przebyli ok. 800 km i zatrzymali się w Charanie, który znajduje się na pograniczu dzisiejszej Turcji i Syrii. Charan, to miejsce, istnieje do dzisiejszego dnia, istnieje pod tą samą nazwą, i jest czczone także przez wyznawców islamu jako miejsce, w którym niegdyś zatrzymał się Abram. Terach wyruszył, można by powiedzieć, zapewne za chlebem dlatego, że sytuacja w Ur chaldejskim była wtedy dość kłopotliwa. Było to miejsce ciągłych zmagania, konfliktów — podobnie zresztą, jak dzisiaj. I Terach, ojciec Abrahama, postanawia to opuścić. Zatrzymali się w Charanie.

Terach doczekał dwustu i pięciu lat życia i zmarł w Charanie.

Te dwieście i pięć lat życia to jest odwieczny kłopot komentatorów biblijnych. Dlatego, że jeżeli chodzi o tych pierwszych patriarchów Izraela oraz patriarchów ludzkości, o których mowa na kartach Księgi Rodzaju, to tamte podawane cyfry są bardzo wysokie. Rozmaicie to interpretowano. Wylano na ten temat mnóstwo atramentu. I gdyby państwo mnie zapytali wobec tego, jak to rozumieć, to mam na to odpowiedź, która wszystkich przekona: „Nie wiem!” Otóż te cyfry są tak zaskakujące, że naprawdę nie widać żadnego racjonalnego wytłumaczenia. Sądono np., że 205 lat i pozostałe wielkie cyfry to może być aluzja nie do lat, tylko np. do miesięcy. Więc trzeba byłoby to podzielić przez 12. Ale jak podzielić przez 12, to wtedy się nie robi tak bardzo dużo, to byłby kilkunastoletnim chłopcem kiedy umarł — co znowu jest bez sensu. Jeżeli mamy szukać jakiegoś uzasadnienia, to może powiedzmy sobie mniej więcej tak. Że autor biblijny chciał podkreślić że ci, którzy żyli w przyjaźni z Bogiem, żyli długo. I dał tutaj cyfry, które mają jakieś znaczenie symboliczne. Nie przykładajmy wielkiej wagi do tych cyfr, bo są rzeczy ważniejsze. Otóż Terach zmarł, Biblia mówi, mając lat 205 ale nie znaczy to, że trzeba to pojmować bardzo dosłownie. A jak z kolei to należy pojmować — to już jest osobna kwestia i wydaje się, że na to pytanie jakiejś rozsądnej odpowiedzi nie ma.

Ale nas interesuje w tej chwili wątek główny. Ten wątek główny to: oto w Charanie, niespełna w połowie drogi został Abram, została jego żona Saraj i został ich bratanek imieniem Lot, którego ojciec nie żył. I mogłoby wyglądać, że tam pozostaną na długo, a może nawet na zawsze. I właśnie tu przechodzimy od czytania Biblii w języku polskim do przeczytania tego fragmentu w języku hebrajskim. Dlatego, że tylko w tym języku można zrozumieć głębię mowy Boga. Nie jest pewnie przypadkiem, że Bóg przemówił do ludzkości po hebrajsku. A chociaż później przemówił także po grecku na kartach Biblii greckiej, Septuaginty, i na kartach Nowego Testamentu, to jednak hebrajski pozostaje do dnia dzisiejszego językiem świętym. I ta mowa, w jakimś prawdziwym tego słowa znaczeniu, jest mową Boga. Żeby wydobyć tę pełną treść to posłuchajmy, co wydarzyło się właśnie tam, w Charanie. Czytamy tak:

Waiomer Adonai el Abram

Znaczy to po polsku *A wtedy rzekł, czy powiedział, Bóg do Abrama*. Kiedy komentuje się te słowa to mówi się, że najważniejsze w tym zdaniu, w tym wyrażeniu jest to, co jest na początku, czyli to **W**, czyli po polsku *wtedy*. Otóż to *wtedy* tworzy więź między tym, co było, a tym, co będzie. Powołanie nigdy nie rozgrywa się w próżni. Otóż jeżeli człowiek doświadczał powołania to warto i trzeba, żeby zastanowił się nad swoim dotychczasowym życiem. Nie znaczy to, że jego życie jest święte w moralnym czy etycznym tego słowa znaczeniu. Bo jakie było życie Abrahama na dobrą sprawę nie wiemy. Jedyną wskazówką jest jego lojalność wobec żony, jego wierność żonie i fakt, że pozostaje z nią mimo braku potomka. Być może rekompensuje to im ów Lot, który był wtedy młody, i który był bratankiem. Ale są razem ze sobą.

Tradycja żydowska próbowała dociekać kim był Abraham, zanim został powołany. Dociekano np., że w tym świecie politeistycznym, wśród rozmaitych wierzeń, bóstw i bogów, Abram wyznawał Jedyne Boga. Że gdy inni lepili figurki przedstawiające różne bóstwa, to Abram te figurki niszczył i w ten sposób robił im rozmaite psoty przypominając, że nie ma żadnych bogów, którzy są gliniani, tylko Bóg jest Jedyne. Wszystko to jest późniejsza tradycja żydowska, w której nie brakuje wyobraźni. Jeżeli ta wyobraźnia nam odpowiada, to możemy ją przyjąć. Jeżeli wydaje się ryzykowna albo zbyt malownicza, to musimy się z nią obchodzić ostrożnie. I pewnie to drugie wyjście jest w naszym przypadku lepsze. O Abramie, zanim został powołany, nie wiemy nic więcej. Natomiast dowiadujemy się, że po tym wyjściu, opuszczeniu Ur i dojściu do Charanu, Bóg się do niego zwrócił. Otóż można by powiedzieć, że Bóg każe mu kontynuować tę drogę, którą podjęli. Tylko, że ta kontynuacja od tej pory staje się nie ludzkim wyłącznie przedsięwzięciem, nie przedsięwzięciem człowieka, ale zaczyna nabywać kształtu Bożego.

To jest jak ktoś pobiera rozmaite nauki, zdobywa wykształcenie, postępuje w wiedzy, w mądrości. I oto któregoś dnia odkrywa głos powołania, który go przynagla do czegoś radykalnie nowego. I odkrywa, że w tym wszystkim, co do tej pory traktował jako świat czysto świecki, że w tym wszystkim jest obecny Pan Bóg. I że to wszystko, co robił, było jakoś przedziwnie ukierunkowane. Otóż kiedy oglądamy się we własne życie myślę, że każda i każdy, gdy spojrzymy wstecz to widzimy, że to życie wyznaczają pewne etapy, które układają się w pewną całość jak paciorki różańca.

I ta całość odkrywa swój sens dopiero wtedy, kiedy patrzymy z jakiejś perspektywy, obejrzymy się wstecz. Może się okazać nawet że to, co było trudne i dramatyczne, to okazuje się z perspektywy wcale nie takie dramatyczne. Natomiast to, co wydawało nam się doraźnym zwycięstwem, z jakiejś perspektywy zaczynamy oceniać jako początek przegranej. A więc i tu, po tym wszystkim, co wydarzyło się w życiu Abrama, waiomer Adonai el Abram — *rzekł Bóg do Abrama*. Tutaj mamy czasownik amar — *rzekł, powiedział*. Ale kiedy Bóg mówi do człowieka, to nie jest zwyczajnym partnerem. To nie jest takie partnerstwo, jak pomiędzy ludźmi. Psalmista woła: „Kiedy Bóg mówi, nie gardź Jego słowem”. Otóż słowa Boga kierowane do człowieka to nic innego, jak przykazanie. Otóż to, co Bóg mówi, to, co odczuwamy tak czy inaczej, zewnętrznie bądź wewnątrz, co odczuwamy w sumieniu, to jest jakiś imperatyw wewnętrzny, to jest właśnie przykazanie. Wobec Boga nie można przejść obojętnie. Wobec Boga trzeba powiedzieć „tak” albo „nie”! I skutki tej odpowiedzi zawsze będziemy odczuwali, zawsze będziemy czuli, że nasze życie jest spełnione, bądź jest jakąś przegraną, jest jakoś niespełnione. I uczciwe spojrzenie na to oznacza, że to do Boga i do Jego słowa należy decydujące znaczenie w naszym życiu.

Rzekł Pan do Abrama. Bóg jest tu przedstawiony pod swoim własnym imieniem, do czego jeszcze wrócimy przy powołaniu Mojżesza. Natomiast Bóg zwraca się wyraźnie do Abrama. Spośród wielu ludzi, którzy wtedy żyli najpierw w Ur, a potem w Charanie, Bóg ustanawia szczególną relację właśnie z Abramem. Powołanie, powtórzmy to raz jeszcze, zakłada wybranie. I nie można znaleźć odpowiedzi na pytanie „dlaczego?” Dlaczego Bóg wybiera tego człowieka do szczególnych zadań? Otóż powołanie i wybranie to jest zawsze tajemnica miłości, to jest tajemnica Boga. To, czego Bóg oczekuje w wybraniu i powołaniu, to jest wzajemność, odpowiedź wzajemności. Bo wzajemność należy do istoty miłości. I jeszcze jedno: *wtedy Bóg rzekł do Abrama*. Nie potrafimy powiedzieć, czy był to głos zewnętrzny, który Abram słyszał tak fizycznie, uszami, czy był to głos wewnętrzny, który słyszał w swoim sumieniu. Czy być może był to jakiś głos, wołanie, które usłyszał w innych okolicznościach, jak np. we śnie. Jedno jest pewne — na kartach Pisma Świętego Bóg bardzo często jest nazywany Kool tzn. *Głos* — z dużej litery. Bóg jest nazywany Głosem dlatego, że Jego głos dociera do człowieka i ma zupełnie wyjątkową moc. Tu chyba dobrze się odwołać do zwyczajnego ludzkiego doświadczenia. Mówi się — ci, którzy mają związek z ludzkim życiem, z jego początkami i z jego końcem, że pierwsze doznania, które docierają do człowieka, do noworodka jeszcze zanim on się narodzi, i w momencie, kiedy się rodzi, są to doznania głosowe. Ale i on sam daje poznać swoje przyjście na świat poprzez głos. I mówi się również, że ostatnie doznania, które odchodzą od człowieka najpóźniej, to jest głos. Mówi się, i być może są wśród państwa lekarze, pielęgniarki, salowe, położne itd., że gdy obchodzimy się z chorymi, gdy jesteśmy z chorymi czy to w domu, czy to w szpitalu, to zawsze trzeba pamiętać, że chory, cierpiący, umierający człowiek może nie widzieć, może nie móc poruszać rękami, może nie reagować na twarzy, może sprawiać wrażenie absolutnie wyłączonego. Natomiast słyszy! Słuch jest ostatnim doznaniem, które od człowieka odstępuje. Słuch do końca, można by powiedzieć, człowiekowi towarzyszy. Warto i trzeba o tym pamiętać, bo być może nam się to może przydać w rozmaitych sytuacjach naszego również życia. Ale jednym słowem głos towarzyszy człowiekowi od narodzin aż do śmierci. Otóż człowiek może nie być w stanie reagować i inni mają wrażenie, że wręcz nie żyje, nie postrzega tych doznań głosowych, które do niego dochodzą, ale to nie jest prawda — głos słyszy. Nie tylko słyszy, ale go również w jakimś sensie rozumie. Skoro tak, to może lepiej zaczynamy rozumieć fakt, że i Bóg objawia siebie bardzo często poprzez głos. Będzie to głos wewnętrzny, będzie to głos sumienia. Ale dlatego mówimy, że ktoś *poszedł za głosem powołania*, albo ktoś *nie poszedł za głosem powołania*. I ten głos będzie się bardzo często rozlegał, będzie bardzo często powracał, będzie często wręcz natrętnie do człowieka wracał. I tu mamy też ów głos. Jaki był ten głos? Proszę posłuchać całej pierwszej części, żeby państwo zrozumieli tutaj pewną grę językową, grę słowną, która nam odkrywa samo misterium powołania. Mianowicie ten głos brzmi tak:

lech lecha me'artsecha umimoladetecha umibeyt avicha el-ha'arets asher ar'eka

Jeżeli ktoś zupełnie nie zna hebrajskiego, to co słyszy? Słyszy ha ... ha ... ha ... ha ... ha, słyszy je pięć razy. Państwo posłuchają raz jeszcze — Pan Bóg to jest wielki poeta. Otóż Pan Bóg posługuje się językiem, i umie posługiwać się językiem, tu w szczególności hebrajskim. Z całą pewnością zna też i polski, i na pewno też do niejednego zwracał się po polsku, i mówił równie pięknie.

Ale to pierwsze powołanie jest po hebrajsku. Nie da się tego przełożyć na żaden obcy język tak, żeby uchwycić piękno tego języka. Więc raz jeszcze:

lech lecha me'artsecha umimoladetecha umibeyt avicha el-ha'arets asher ar'eka

Co to znaczy po polsku? [Lech lecha] znaczy po polsku *idź właśnie ty*. [Lecha] to jest *ty*. Tak jakby Pan Bóg wskazywał, już nie swoim palcem, tylko całą ręką — *ty!* Nie oglądaj się na boki, nie oglądaj się do tyłu. Nie myśl, że to może nie do ciebie. To są słowa do ciebie! Idź ty! Wyjdź ty, właśnie ty! Gdy się to tłumaczy na język polski trzeba by dodać to *właśnie*. W języku hebrajskim tego nie ma, bo hebrajski tego nie potrzebuje. Jest [lech lecha] — można by powiedzieć: *idź idąc ty, idź ty*, jakkolwiek. Ale jest to mocne przynaglenie, taki tryb rozkazujący, imperativus. Tu nie ma żadnych wątpliwości, nie może być żadnych wątpliwości. Człowiek może odpowiedzieć negatywnie na powołanie, ale zawsze będzie wiedział, że jest w jakimś sensie niespełniony. Człowiek, który odczuwa głos powołania, który słyszy głos powołania, nie ma wątpliwości, że ten głos mu nie kłamie, nie oszukuje, nie zwodzi. I tutaj mamy: *idź właśnie ty*. I dalej:

me'artsecha

[Me'artsecha] to znaczy *z ziemi twojej*. Z ziemi, która jest najszerszym kręgiem — z ojczyzny, ze swojego terytorium, ze swojej krainy. Z tego kręgu, który wyznacza twoją kulturę, twoją przynależność etniczną. Zostaw to za sobą. To jest pierwszy krąg — [me'artsecha].

[umimoladetecha] — *z miejsca urodzenia twego*.

Rodzimy się, przychodzimy na świat w mieście, w osadzie, w wiosce, ale pamiętamy to miejsce urodzenia. Pamiętamy nie dlatego, żebyśmy pamiętali to, kiedy przychodziliśmy na świat. Ale to jest ważne, żeby ta pamięć rodzinna, i pamięć w ogóle ludzka, co do miejsca trwała. Wyjdź z miejsca twego urodzenia. Wyjdź z tego środowiska, które do tej pory stanowiło twój kontekst. I wreszcie trzecie:

[umibeyt avicha] — *z domu twojego ojca*.

tzn. ze swojej rodziny. I w ten sposób Abram zostaje wezwany do opuszczenia trzech kręgów, które do tej pory wyznaczały jego bytowanie. Najszerszy krąg — ojczyzna, węższy — miasto bądź osada, jeszcze węższy — rodzina. Otóż żeby coś zyskać, żeby coś spełnić, żeby coś wypełnić, to trzeba z czegoś zrezygnować, trzeba coś zostawić, trzeba coś opuścić. Z wybraniem i z powołaniem zawsze jest związane jakieś opuszczenie. To opuszczenie zawsze bywa bolesne. Bywa oderwaniem od czegoś, co stanowi o naszej dotychczasowej egzystencji, co stanowi o jakiejś stagnacji, do tego, żeby nas poruszyć, wezwać do czegoś nowego. Tego nowego jeszcze nie znamy. Abram ma opuścić bezpieczne kręgi swojej egzystencji tak, jak ona wyglądała do tej pory. Ma opuścić ojca, miasto i rodzinę. I co?

[el-ha'arets asher ar'eka] *pójdź do ziemi, którą ukażę tobie*

Abram nie zna kształtu tej ziemi, ani nazwy tej ziemi. Ani nie zna kształtu tej przyszłości, która go czeka. Dopiero Pan Bóg mu ją ukaże. Gdybyśmy szukali, to moglibyśmy znaleźć bardzo prostą analogię, dla większości z państwa będzie ona na pewno dobrze przemawiająca i oddająca istotę sprawy. Kiedy ludzie dorośli albo starsi przyglądają się zawieraniu małżeństwa i słuchają, jak zupełnie młodzi ludzie mówią do siebie nawzajem „i ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską, oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci”, to człowiek dorosły myśli sobie: gdyby oni wiedzieli, co oni mówią! Gdyby oni wiedzieli, co oni ślubują! Co oni mogą wiedzieć jeszcze o tym, co ich czeka! Otóż czy oni są tego świadomi? Można odpowiedzieć: nie! Oczywiście, że nie są tego świadomi! I być może Bogu dzięki, że nie są tego świadomi. Bardzo wielu nie zda tej próby, ale bardzo wielu wyjdzie z tej próby zwycięsko. Gdyby człowiek znał całą swoją przyszłość ze wszystkimi jej zawłościami, trudnościami, kłopotami, możliwościami itd., byłaby ona zupełnie nieciekawa. Nasze życie polegałoby tylko na wyczekiwaniu czegoś, co zostało zaprogramowane tak, jak w komputerze albo w pralce, gdzie mamy określony program i wiemy, że za chwilę zacznie to

działać tak, jak powinno. Na szczęście nasze życie nie zostało tak zaprogramowane. W naszym życiu jest zawsze jakaś wielka niewiadoma. Dlatego człowiek może podejmować postanowienia, których ciężaru nie rozumie, z których trudności nie zdaje sobie sprawy. I dlatego może być im wierny, bo nie zastanawia się nad tym, jak to jest trudne. Można by to przenieść również na poziom np. życia kapłańskiego. Otóż kiedy przystępuje do święceń kapłańskich chłopiec, który ma 24 czy 25 lat, to cóż on może wiedzieć o tym, co go będzie czekało przez całe życie, o wszystkich zawilościach i trudnościach, przez które trzeba będzie przebrnąć i przejść? Ale byłoby czymś nierozsądnym pokazywanie mu życia od tej strony dlatego, że jeżeli komuś Bóg ukazuje jakąś drogę i go wzywa do pójścia tą drogą, to daje mu jednocześnie siły i uzdalnia go do tego, żeby tą drogą poszedł. I nie musi wiedzieć wszystkiego. Musi zaufać Panu Bogu, że Pan Bóg w swoim czasie odsłoni mu ten przyszły kształt drogi, którą ma do pokonania, którą trzeba będzie przebyć. Więc *wyjdź właśnie ty ze swojej ziemi, z miasta twego urodzenia, i z domu twój ojca do kraju, którą ci ukażę*. Dopiero zobaczysz ten kraj, na razie go nie widzisz.

Musisz — mówi Bóg — Mi zaufać. To zaufanie, o którym mowa, jest tu oczywiście domyślnie. Ale można by powiedzieć, że każda odpowiedź na wybranie to jest odpowiedź zaufania, to jest odpowiedź nadziei. I każde pójście za głosem powołania to nic innego, jak nadzieja na to, że skoro Bóg powołuje, to nigdy nie zostawi człowieka samotnym. Przypomnijmy sobie słowa Benedykta XVI, które są bardzo piękne i które powinny być zawsze dewizą w naszym życiu. Mianowicie: „Kto wierzy w Boga, kto ufa Bogu, nigdy nie jest sam.” I gdy przyjdzie na nas coś trudnego, uczynimy z tych słów taki fundament naszego życia. Nigdy w życiu nie jesteśmy sami! To, co jest największym przeciwnikiem prawdziwej religijności i pobożności, to jest poczucie osamotnienia tzn. poczucie, że Bóg mnie opuścił, że Bóg o mnie nie pamięta, że Bóg zostawił mnie sobie samemu. I to staje się przyczyną nie tyle ateizmu, co raczej rozpacz. A rozpacz jest siostrą niedobrą nadziei, nadzieje wyklucza. Więc „Kto ufa Bogu, nigdy nie jest sam.” Abram jest wielokrotnie chwalony za to, że zaufał Bogu. Że przyjął przyszłość taką, jaką zamyślił dla niego Bóg, nie znając jej kształtu. I tak chyba jest dobrze. Pismo Święte wiele razy występuje przeciwko rozmaitym wróżkom, i wróżbom, i czarom, i dopytywaniu o przyszłość, i szukaniu jakiegoś rozeznania, które ma dotyczyć przyszłości. Otóż przyszłość jest w ręce Boga. Dlatego wszystkie księgi święte bardzo niemilosiernie obchodzą się z tymi, którzy próbują jak gdyby tę przyszłość przeniknąć. Być może nawet czasami robią to skutecznie. Ale wiedza, którą otrzymują, wcale ich nie uszczęśliwia. Zatem przyszłość, można by powiedzieć, należy do Boga. I warto, kiedy myślimy o tym, co nas czeka, po prostu zaufać Bogu. I w tym właśnie zawierzeniu jesteśmy, stajemy się podobni do Abrama. I czytamy dalej:

Ve'e'scha legoy-gadol

A uczynię cię wielkim ludem

Uczynię cię wielkim ludem — a przecież Abram ma żonę, i nie ma z nią potomka! *Uczynię cię wielkim ludem* — czyli co? Odmienię twój sposób życia? Dam ci kogoś innego? Będziesz musiał zrezygnować z tego, do czego do tej pory przywykłeś? *Uczynię cię wielkim ludem* — czyli obietnica potomstwa.

va'avarechecha

i będę tobie błogosławił

Otóż znakiem Bożej obecności w jego życiu ma być błogosławieństwo. A błogosławieństwo to jest przejaw życzliwej i życiodajnej obecności Boga. Bóg, który jest przy nas obecny, nigdy nie jest nieskuteczny. Otóż znakiem Jego skutecznej obecności jest właśnie to, że nam błogosławi. Błogosławi to znaczy sprzyja. *Będę tobie błogosławił*,

va'agadelah shemecha

rozśląw twoje imię

veheyeh berachah

i staniesz się błogosławieństwem

I rozśląw twoje imię, i staniesz się błogosławieństwem. Tak, jak w tym pierwszym zdaniu powtarzało się pięć razy **ha** tłumaczone po polsku jako *ty ... twojej ... twego ... twojej ... ciebie, tobie*, tak tutaj pojawia się słowo *błogosławieństwo*. Ta cyfra pięć ma znaczenie symboliczne. Bóg naciska mocno na to, że między Nim a Abramem jest absolutnie wyjątkowa więź. A tu powiada: owocem tej więzi będzie błogosławieństwo. A ponieważ jest to błogosławieństwo, które pochodzi od Boga, to możesz mieć pewność że w tym, co Bóg do ciebie mówi, Bóg cię nie zawiedzie. Otóż Bóg jest zawsze wierny swoim obietnicom, chociaż nie zawsze spełnia je tak, jak byśmy tego chcieli. Gdyby Bóg wychodził naprzeciw wszystkim naszym pragnieniom, i gdyby wychodził naprzeciw wszystkim naszym potrzebom tak, jak my to sobie wyobrażamy, nie byłby nikim więcej jak narzędziem w naszych rękach, które by zaspokajało nasze potrzeby, nasze gusty i przyzwyczajenia. Bóg zawsze

wychodzi naprzeciw potrzebom człowieka, ale czyni to na sposób, który On uznaje dla nas za najlepszy. I tak zaczynamy widzieć, że Jego obecność w naszym życiu niesie ze sobą, w życiu każdego powołanego, pewne paradoksy. Mianowicie, że Bóg jest obecny i działa nie tak, jak my to sobie wyobrażamy, ale tak, jak On to zamierzył. I że partnerstwo z Bogiem, współdziałanie z Bogiem polega na tym, żeby przyjąć to życie nie takie, jak żeśmy wymarzyli sobie, tylko takie, jakie ono rzeczywiście jest. Zobaczymy ten paradoks zwłaszcza za kilka tygodni, w listopadzie, kiedy zajmiemy się powołaniem Abrama do przeżycia cierpienia, nadzwyczajnego cierpienia. I zobaczymy jak on zareaguje wtedy, kiedy został powołany do czegoś, wobec czego człowiek wydaje się zupełnie bezsilny. I dalej:

Va'avarechah mevarachecha i będę błogosławił tym, którzy ciebie będą błogosławić.

Otóż powołanie Abrama, jego wierność Bogu, będzie wzbudzała reakcje pozytywne, będzie wzbudzała zainteresowanie, będzie wzbudzała życzliwość. Będzie wzbudzała aprobatę i akceptację. Zazwyczaj jest tak, że kiedy czynimy coś dobrego, to dobro zmusza innych do refleksji. To dobro skłania innych do tego, by wydobywać również z siebie dobro. Rodzi się swoista, można by powiedzieć, święta zazdrość. Oto widzimy kogoś dobrego i chcielibyśmy być tacy sami albo chcielibyśmy być podobni. Dobre przykłady pociągają, dobre przykłady mają w sobie ten dynamizm który powoduje, że dobro staje się podzielne. Oto okazuje się że ci, którzy nie uświadamiali sobie tej przemożnej siły dobra, chcą też pójść w tym kierunku. Więc Abram słyszy: *będę błogosławił tym, którzy ciebie będą błogosławić*. To znaczy którzy uznają to dobro, które czynisz, i je przyjmą, to staną się uczestnikami tego samego błogosławieństwa. Ale jest i druga strona tego medalu.

umekalelecha a'or ale tych, którzy tobie będą złorzeczyli, Ja zlekceważę

Nawet mocniej — *Ja przeklnę*. To jest ta druga, mroczna strona rzeczywistości. Mianowicie w spotkaniu z dobrem, w konfrontacji z dobrem tym bardziej uaktywniają się również siły zła. Otóż nie sądzmy, że jeżeli chcemy czy potrafimy być dobrzy dla innych, to będzie to zawsze rodziło reakcję w postaci uznania, akceptacji, oklasków, wdzięczności. Otóż właśnie w spotkaniu z dobrem zło staje się szczególnie agresywne dlatego, że — użyjemy antropomorfizmu — ono wtedy widzi czy czuje swoją przegraną. Dlatego ci, którzy czynią dobro, muszą liczyć się ze sprzeciwem i odmową. Ci, którzy czynią dobro, muszą liczyć się z tym, że będą przedmiotem ośmieszania, lekceważenia, kłamstwa, ironii, oszczerstwa, i wszystkiego, co złe. I w związku z tym cała mądrość polega na tym, żebyśmy wiedzieli o tych dwóch stronach życia. Dlatego, że zło, które się uaktywnia w spotkaniu z dobrem, może doprowadzić do tego, że nawet u postronnych świadków dobro przestaje być atrakcyjne, a zło zwycięża. Taka jest i na tym polega dzisiaj przemożna siła propagandy. Polega ona na tym, że następuje odwrócenie kategorii moralnych, etycznych, religijnych. To, co dobre, jest relatywizowane, podważane, kwestionowane, ośmieszane. To, co złe, jest wypychane na piedestał, pokazywane, czczone, nagłaśniane. Tak że człowiek, który nie ma zdrowego rozeznania moralnego, czuje się w tym wszystkim najpierw zagubiony. Potem staje mu się wszystko jedno. Aż wreszcie dochodzi do takiego etapu, że zło osiąga swój cel. Bo i on sam staje raczej po stronie zła, które jest zawsze głośnie, niż po stronie dobra, które co prawda jest podzielne, ale zawsze jest dużo bardziej dyskretne.

I Bóg zapowiada Abramowi, że w tym jego posłannictwie, w tym, czego Abram ma dokonać, że zarówno w tym, co dobre, jak i w uaktywnianiu się zła, to ostatnie słowo należy do Boga. Otóż powołani ludzie — jakiegokolwiek rodzaju będzie to powołanie, ale powołanie, które ma Boży podtekst i Boży punkt wyjścia — muszą się liczyć z tym, że obok podziwu i uznania spotkają się z odmową i sprzeciwem, i nie mogą się w tym załamywać, bo taka jest cena powołania. Ale ostatnie słowo w tym wszystkim nie zależy od skuteczności, zależy od Boga. *Zlekceważę tych, którzy tobie będą złorzeczyli*. Otóż w tej konfrontacji ze złem to właśnie dobro odniesie ostateczne zwycięstwo.

venivrechu vecha kol mishpechot ha'adamah i będą błogosławione w tobie wszystkie rody ziemi

Powołany jest jeden człowiek, w Charanie, mający żonę i bratanka, nie mający dzieci. A oto Bóg zapowiada, że uzyskają błogosławieństwo, doznają błogosławieństwa wszystkie rody ziemi. Powołanie ma zawsze charakter uniwersalny. Jeżeli człowiek na powołanie nie odpowie tak, jak trzeba — o każde powołanie tutaj chodzi — to inni ludzie poniosą z tego tytułu stratę. Otóż odpowiedź na powołanie zawsze powiększa dobro, i zawsze służy dobru innych. Bóg nikogo nie powołuje ze względu na niego samego. Bóg powołuje pojedynczych ludzi, konkretnych ludzi, ze względu na

wszystkich. Otóż właśnie dlatego ci powołani mają do spłacenia jakiś szczególny swój dług. Oczywiście, że gdybyśmy szukali jakiś przykładów, to weźmy przykład, oprócz tych najbardziej znanych, patrona dzisiejszego dnia, bardzo mało znanego patrona. To jet bł. Jan Bezym, który urodził się na Wołyniu w bardzo biednej rodzinie. Wtedy oczywiście były to tereny uznawane za polskie, chociaż pod zaborami. Kiedy miał nieco ponad dwadzieścia lat życia wstąpił do zakonu jezuitów, ale nie były mu w głowie rozmaite szkoły i uczone debaty. On na co dzień widział biedę, okrutną biedę, bo tam na Wołyniu tę biedę do dzisiaj jeszcze dobrze widać. I postanowił z tego biednego kraju wyruszyć, jak niegdyś Abraham, do tych, którzy byli jeszcze biedniejsi od niego. I trafił na Madagaskar. I na Madagaskarze poświęcił się posłudze ludziom trędowatym. To straszliwa choroba. Nie będziemy tłumaczyć jej fizjologicznych, anatomicznych skutków. Natomiast jeszcze trudniejsze są skutki psychologiczne i duchowe dlatego, że jeżeli ktoś zachorował na trąd, to go np. od razu odcinano od rodziny, od najbliższych, od krewnych, wyrzucano ze wsi czy osady. Były specjalne miejsca w rodzaju naszego śmietnika, gdzie umieszczano trędowatych po to, żeby tam umierali. Uważano, że trąd jest chorobą zakaźną tak, jak AIDS czy coś podobnego. Że każdy, kto się dotknie do trędowatego, umrze. Jest przysłowie: *Uciekać, jak od trędowatego*.

Jan Bezym poszedł do trędowatych. Założył na Madagaskarze pierwsze leprozoria. Był z nimi na co dzień. Nie tylko tym ludziom posługiwał, ale spotykał się z nimi, dotykał, karmił, poił. Wykonywał posługi, które są posługami samarytańskimi w najpełniejszym tego słowa znaczeniu. Zaraził się trędem, bo taki był jego los, i zmarł w r. 1912. Zmarł na Madagaskarze. Kiedy w ubiegłym roku byłem w Rzymie i spotkałem tam, podczas synodu biskupów, biskupa Madagaskaru, to mówi do mnie: „To ty jesteś z Polski?” „Tak.” „Aaa, to kraj Jana Bezyma.” Nawet nie Jana Pawła II, tylko Jana Bezyma! Pamięć Jana Bezyma na Madagaskarze jest tak bardzo żywa.

Do czego zmierzam? *W tobie uzyskają błogosławieństwo wszystkie ludy ziemi*. Czasami odpowiedź na powołanie jednego człowieka przynosi tak błogosławione skutki. Abram stał się ojcem wszystkich wierzących. Ojciec Bezym zaraził siebie trędem, ale swoją dobrocią mieszkańców Madagaskaru. Dzisiaj na Madagaskarze są pomniki Jana Bezyma, ulice Jana Bezyma. Ale nie tylko o czysto świecką pamięć chodzi. Chodzi o to, że dał przykład heroizmu, który jest wspierany przez samego Boga. To znaczy ta fraza, to zdanie: *w tobie otrzymają błogosławieństwo wszystkie ludy ziemi*. Wyjechać z biednego Wołynia i przynosić ulgę, nadzieję wlewać w serca tych ludzi na Madagaskarze — to nie może być sprawą czysto ludzką.

Tutaj kończą się te słowa Boga, słowa powołania. Bóg jest w spotkaniu z człowiekiem klarowny, przejrzysty, wyrazisty i zwięzły. Bóg nie lubi dużo mówić do człowieka. Być może też od człowieka nie wymaga wielomówstwa. Zwrócił na to uwagę Pan Jezus mówiąc (Mt6, 7 - 9):

Na modlitwie nie bądźcie gadatliwi jak poganie. ... Albowiem wie Ojciec wasz, czego wam potrzeba ... Wy zatem tak się módlcie: ...

I w modlitwie *Ojcze nasz* mamy to, co najważniejsze. Również powołani, można by powiedzieć, otrzymują w tych słowach powołania samą syntezę. I potem następuje krótkie zdanie:

Vayelech Avram ka'asher diber elav Adonay *Więc poszedł Abram tak, jak mu Bóg przykazał*
Bóg każe — więc poszedł. Nie ma dyskusji, nie ma wątpliwości, nie ma debaty, nie ma zwłoki, nie ma oczekiwania, nie ma upewniania się. Otóż kiedy człowiek doświadczy tego misterium powołania, to potrzebna jest decyzja. I tę decyzję Abram podjął. Vayelech — państwo zauważą podobieństwo słów. Bóg mówi: lech lecha — vayelech. *Idź właśnie ty — i poszedł*. Po polsku nie możemy tego dobrze oddać, a tutaj mamy tę grę słów. Bóg osiągnął to, co zamierzył, czego chciał. Abram odpowiedział na to, czego chciał Pan Bóg tak, jak Bóg tego chciał. Odpowiedź dawana na powołanie może być dość pokretna, a nawet perwersyjna. Jeżeli będziemy szczęśliwie żyli to dojdziemy do takiego przewrotnego posłuszeństwa, to było posłuszeństwo Jonasza. Bóg mówi do Jonasza: „Wstań, idź!” Więc wstał i poszedł. Tylko Bóg mówił: „do Niniwy”, a on poszedł do Tarszisz. Bóg mówił: „idź na wschód”, on poszedł na zachód. To tak, jak gdyby kogoś powoływał w Warszawie i mówił: „Idź do Szczecina”, a on poszedł do Przemyśla. Wszyscy widzą, że wyszedł, wszyscy go podziwiają — ale nie robi tego, co Bóg mu polecił. Więc i takie odpowiedzi na powołanie są, będziemy się nad nimi zastanawiać.

Ale tu mamy taką, jaką można sobie wymarzyć. Bez szemrania, bez wątpliwości, bez dyskusji. *Więc Abram wyruszył tak, jak mu Bóg polecił*. To słowo *polecił* czy *przykazał* brzmi tutaj damar.

I to jest dokładnie to samo słowo, które występuje w nazwie Aseret ha-Dvarim. Znaczy to po polsku *dziesięć słów* czyli *dziesięć przykazań*. To, co Bóg do nas mówi, to jest przykazanie, to nie jest informacja. Słowa Pana Boga kierowane do człowieka nie mają charakteru informacyjnego, sprawozdawczego. Benedykt XVI mówi: mają charakter performatywny tzn. chcą sprawić to, co oznaczają. Chcą sprawić to, czego dotyczą. Chcą, żeby to się urzeczywistniało. I rzeczywiście się w życiu Abrama urzeczywistniło.

Z perspektywy Nowego Testamentu podziwiano zawsze Abrama. Podziwiano go także w czasach Starego Testamentu, ale ja na koniec przeczytam państwu pochwałę Abrahama, która znalazła się w Liście do Hebrajczyków. Ten List do Hebrajczyków jest adresowany oczywiście do Żydów — zarówno tych, którzy uwierzyli w Jezusa Chrystusa, jak i tych, którzy w Niego nie uwierzyli. I List do Hebrajczyków próbuje ich w odległej starożytności pozyskać do wiary w Jezusa Chrystusa. I autor Listu do Hebrajczyków, mówiąc o tym powołaniu Abrama, powiedział tak (Hbr11, 8 - 10):

Przez wiarę ten, którego nazwano Abrahamem, usłuchał wezwania Bożego, by wyruszyć do ziemi, którą miał objąć w posiadanie. Wyszedł nie wiedząc, dokąd idzie. Przez wiarę przywędrował do Ziemi Obiecanej, jako ziemi obcej, pod namiotami mieszkając z Izaakiem i Jakubem, współdziedzicami tej samej obietnicy. Oczekiwał bowiem miasta zbudowanego na silnych fundamentach, którego architektem i budowniczym jest sam Bóg.

Autor Listu do Hebrajczyków chce powiedzieć: Abraham zaufał Bogu i przyjął przyszłość w takim kształcie, w jakim ją Bóg dla niego zamierzył. Ale okazało się, że ta przyszłość budowana przez Boga była ze wszech miar o wiele bardziej owocna i piękniejsza, niż Abraham mógł o tym sądzić. I jeszcze jeden fragment, tym razem z listu św. Pawła, który zastanawiając się nad Abrahamem powiada, że on „żył tak, jak gdyby widział Niewidzialnego”. Głos Jego słyszał, ale jak gdyby widział Niewidzialnego. I w gruncie rzeczy na tym polega wiara. Na tym polega głęboka wiara religijna. Mianowicie odpowiedź, jakiej udzielamy w wierze, to jest życie tak, jak gdybyśmy widzieli Niewidzialnego. I na tym polega też droga do chrześcijańskiej świętości. Także tej, której przykład dał nam patron dzisiejszego dnia, bł. Jan Beyzym. Żyć, jak gdybyśmy widzieli Niewidzialnego.

Bardzo serdecznie państwu dzisiaj dziękuję. Zapraszam na 9 XI, drugi poniedziałek listopada. Zastanowimy się nad arcytrudnym powołaniem do cierpienia.

I ma jeszcze na koniec dwie sprawy. Jedna to to, że w Centralnej Bibliotece Rolniczej na Krakowskim Przedmieściu wygłoszę cykl konferencji na temat Ewangelii, we wtorki o godz. 18. Pierwsza konferencja będzie nosiła tytuł *Przejście od Ewangelii głoszonej przez Jezusa do czterech Ewangelii kanonicznych*. A potem po kolei wprowadzenie do czytania Ewangelii św. Mateusza, św. Marka, św. Łukasza i św. Jana. Jeżeli są wśród państwa zainteresowani wprowadzeniem do osobistego czytania Ewangelii, bardzo serdecznie zapraszam. Początek dn. 20 X, następne konferencje w dniach 3 XI, 17 XI, 1 XII i 15 XII.

Jeszcze jedno. Nasze spotkania trwają od wielu lat i zawsze jest tak, że ktoś przybywa i kogoś brakuje. Dzisiaj w szczególny sposób chciałbym odnieść się i upamiętnić śmierć ś.p. pani Barbary Grzybowskiej. Była od wielu lat słuchaczką tych spotkań, brała udział w pielgrzymkach, które prowadziłem. Od prawie dwóch lat bardzo cierpiała na raka, była w tej chorobie bardzo mężna. Była to choroba bardzo, bardzo bolesna. Można by powiedzieć — przeszła przez krzyż jeszcze za życia. Zmarła w ubiegłym tygodniu, we wtorek, natomiast jej pogrzeb będzie w najbliższy piątek w tym kościele o godz. 11. Są na pewno wśród państwa osoby, które ją znały. Bardzo serdecznie zachęcam do tego, żeby udział w pogrzebie wziąć. Chciałbym żebyśmy pod koniec pomodlili się za spokój jej duszy, i za spokój wszystkich, którzy razem z nami brali udział w tych biblijnych spotkaniach. Można by powiedzieć, że przeszli na drugą stronę życia i mają już o tyle nową sytuację, że widzą Niewidzialnego.

Zdrowaś Maryjo ...

Wieczny odpoczynek racz jej dać ...

Wieczny odpoczynek racz im dać ...

Niech odpoczywają w pokoju ...

W Imię Ojca ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

2 Powołanie do ofiary z miłości (9 listopada 2009)

Pochwalony Jezus Chrystus ... Dobry wieczór państwu, witam bardzo serdecznie. Zaczniemy, jak zawsze, od modlitwy. W Imię Ojca ... Ojciec nasz ... Stolico Mądrości ...

Jeszcze raz, kolejny raz zbieramy się na naszych comiesięcznych konferencjach biblijnych, i jeszcze raz sięgamy po Pismo Święte, tym razem po karty Starego Testamentu, ale później, pod koniec, przejdziemy także do Testamentu Nowego, aby przyjrzeć się rzeczywistości powołania. A nie chcemy tych biblijnych obrazów powołania ograniczać wyłącznie do czy to kapłańskiego, czy zakonnego. Ale chcemy odpowiedzieć na pytanie na czym polega powołanie chrześcijańskie w ogóle. A nawet głębiej — na czym w ogóle polega powołanie, które ma profil, które ma ukierunkowanie religijne. Dlatego, że dobrze wiemy że trudne zadania stawia Pan Bóg nie tylko przed katolikami, nie tylko przed chrześcijanami różnych wyznań, ale w ogóle przed ludźmi rozmaitych religii. I bardzo często dzieje się tak że nawet ci, którzy mają słabe rozeznanie o Bogu albo którzy usilnie, na rozmaite sposoby, Go szukają, bywają postawieni wobec wyzwań, którym tak czy inaczej powinni sprostać. I my też kontynuujemy naszą refleksję rozpoczętą przed miesiącem, w październiku, kiedy bohaterem tej refleksji był Abraham. I zastanawialiśmy się nad naturą powołania analizując, śledząc krótki tekst Pisma Świętego przejęty z 12 rozdziału Księgi Rodzaju, pierwszej księgi Pisma Świętego. I zastanawialiśmy się na jego przykładzie na czym polega powołanie religijne, powołanie do pójścia za głosem Boga i powołanie do służenia Bogu.

To, co dzisiaj mam państwu do zaoferowania, ta refleksja, jest moim zdaniem o wiele trudniejsza. Nie dlatego trudniejsza, żebyśmy czegoś nie rozumieli. Tylko dlatego trudniejsza że, jak mi się wydaje, będziemy rozumieli, pojmowali bardzo wiele, niemal wszystko. Natomiast problem polega na tym, prawdziwy problem, jak zastosować to w życiu. I to nie tylko w życiu innych, obserwując jak inni zachowują się wobec tego rodzaju duchowych napięć i wyzwań — ale jak to nas dotyczy. Kto z państwa bierze od dłuższego czasu udział w naszej refleksji, tej na konferencjach biblijnych, tutaj organizowanych w parafii Zwiastowania Pańskiego w Warszawie, to z całą pewnością już zetknął się z tym motywem, który chciałbym dzisiaj raz jeszcze rozwinąć. Ale myślę, że niezależnie od tego czy już słyszeliśmy tę refleksję albo jakieś jej elementy, jej fragmenty, czy też będziemy słyszeć ją po raz pierwszy, to ja muszę państwu powiedzieć że tekst, który dzisiaj będziemy czytać i rozważać, należy do tych, które bodaj najgłębiej — jeżeli chodzi o karty Starego Testamentu — utkwily w mojej pamięci i bodaj najgłębiej pod rozmaitymi względami zaważyły w swoim czasie, i to nieraz, także na moim życiu. Ile razy czytam ten tekst Pisma Świętego, nie potrafię go czytać jako postronny obserwator, ale w jakimś sensie jako uczestnik tych wydarzeń, tego epizodu, który będziemy dzisiaj rozważali. Dlatego że każdy z nas, kto pracuje z ludźmi, kto ma do czynienia z ludźmi, to w gruncie rzeczy niemal codziennie jest stawiany wobec podobnych wyzwań, wobec których został postawiony Abraham.

Myślę że państwo domyślają się, że chodzi o jeden z najbardziej takich mocnych, dosadnych tekstów Pisma Świętego, który w jakimś sensie przenika cały Stary Testament, a potem zostaje podjęty w Nowym Testamencie, a nade wszystko w osobie i wydarzeniu Jezusa Chrystusa. Mianowicie chodzi o ofiarowanie przez Abrahama jego syna Izaaka. Ten tekst w tradycji żydowskiej, hebrajskiej nazywa się Akeda — *Związanie*. Myślę, że kiedy dojdziemy do tego końcowego epizodu w tym wydarzeniu, to zrozumiemy dlaczego tak się dzieje. Chciałbym tak, jak miesiąc temu, ponieważ ten tekst jest stosunkowo krótki ale jednocześnie bardzo dosadny, bardzo głęboki, bardzo mocny, przeczytać ten tekst w języku hebrajskim i przełożyć to na język polski, i skomentować niemal słowo po słowie dlatego, że on ma w tym oryginalnym języku, w tej mowie świętej, taką szczególną wymowę, taką szczególną dosadność. Można by powiedzieć nawet — szczególne brzmienie. Czasami trudno jest wyrazić to w języku polskim, czy wyrazić w jakimś innym języku nowożytnym. Dlatego zwrócimy uwagę na ten hebrajski nie tylko po to, żeby podniecać naszą wyobraźnię, ale przede wszystkim po to, żeby przyjrzeć się każdemu słowu, bo tu każde słowo jest ważne. Bo można by powiedzieć tak — gdzie jest cierpienie, tam każde słowo jest ważne. Myślę, że miesiąc listopad dobrze przystaje do atmosfery tego tekstu, do atmosfery Abrahama, którego Bóg wzywa do ofiary z miłości. I tak w gruncie rzeczy, gdybyśmy mieli zatytułować dzisiejsze nasze spotkanie, to jego tytuł najlepszy brzmiałby *Powołanie do ofiary z miłości*. I ta właśnie ofiara z miłości, którą przyszło złożyć Abrahamowi, i nas powinna poruszać, i nas powinna również skłaniać do refleksji.

Będę czytał państwu drobne fragmenty tego tekstu i tłumaczył je na język polski z nadzieją, że gdy go będziemy słuchali po hebrajsku w niczym to nie zamąci precyzji, dokładności ani też kierunku naszych rozważań. Otóż fragment, który rozważamy — mogą go sobie państwo później przeczytać w domu na spokojnie — pochodzi z 22 rozdziału pierwszej księgi Starego Testamentu czyli Księgi Rodzaju. Rozpoczyna się on tak:

Vayehi achar hadevarim ha'eleh veba'Elohim nisa et-Avraham

Brzmi to dla nas oczywiście obco dlatego, że nie znamy tego języka. Ale ten sposób mówienia ma w sobie cechy opowiadania mówionego, ma w sobie cechy przekazu opowiadanego, takiej tradycji przekazywanej z ojca na syna. Ma w sobie taki swoisty zaśpiew charakterystyczny dla tych, którzy opowiadają swoim najbliższemu, a także w ogóle słuchaczom, coś bardzo ważnego.

Vayehi achar hadevarim ha'eleh
veha'Elohim nisa et-Avraham

*A oto stało się, że po tych wydarzeniach
wtedy Bóg wypróbował Abrahama*

albo *wystawił Abrahama na próbę*. Wszystko tu jest bardzo ważne. Najpierw *A po tych wydarzeniach*. Abraham, o którym tutaj czytamy, jest już człowiekiem sędziwym, jest człowiekiem posuniętym w latach. Ma za sobą prawie całe swoje życie. Życie, które pod wieloma względami się spełniło, było spełnione. Ale także pod jednym zasadniczym względem pozostawało ciągle niespełnione. Myślę że ci wśród nas, którzy są dorośli albo zaczynają być czy są w podeszłym wieku, kiedy oglądają się wstecz zawsze robią obrachunek z tym, czego udało się dokonać — i mamy z tego tytułu pewien rodzaj satysfakcji — oraz obrachunek z tym, czego dokonać nie zdołaliśmy albo nie zdążyliśmy. Być może przychodzą nieraz takie dni, w których zastanawiamy się, czy gdyby przyszło nam przeżywać życie na nowo, czy byśmy starali się je jakoś przeorientować i inaczej ukierunkować, czy też chcielibyśmy, żeby powtórzyło się dokładnie tak, jak było. Otóż taka refleksja w życiu jest bardzo potrzebna dlatego, że ona z jednej strony chroni przed pychą, przed egoizmem, a z drugiej strony chroni również przed popadaniem w jakąś rozpacz, przed pesymizmem i wszystkim, co ze sobą życie złego niesie. Zawsze nam się coś udaje, i zawsze czegoś nie zdążyliśmy zrobić.

Abraham przeżył mnóstwo. Ma syna zrodzonego z niewolnicy Hagar, który miał na imię Ismael. I musiał go wbrew sobie — nie będziemy tutaj tego epizodu wyjaśniać, tłumaczyć, tylko po prostu przypominamy go — musiał go wbrew sobie razem z jego matką oddalić. Tak Ismael i jego matka Hagar stali się praprzodkami ludności arabskiej, Arabów. Ma również ze swojej żony Sary syna, który ma na imię Izaak. Ten Izaak w przyszłości stanie się praojcem narodu żydowskiego. Państwo wiedzą że między Żydami a Arabami przynajmniej przez ostatnie kilkanaście stuleci, a w wieku XX i na progu XXI wieku zwłaszcza, istnieje przeogromny potencjał wrogości. Tam bez przerwy leje się krew. Ten tragizm jest tym większy, że jedni i drudzy według tego świadectwa Biblii, gdyby je pojmować bardzo dosłownie, wywodzą się od Abrahama. Arabowie to są dzieci Abrahama przez Ismaela. Natomiast Żydzi to są dzieci Abrahama przez Izaaka.

Abraham ma za sobą te epizody. Ma więc jednego, jedyne go syna i jednocześnie ma obietnicę, że Bóg uczyni z niego wielki naród. Jakże to człowiek posunięty w latach, bo taki był Abraham, mający również żonę znacznie posuniętą w latach, i mający jedyne go syna, jakże ten człowiek może mieć wizję, może mieć pewność, że od niego będzie pochodził wielki naród? Jednak Abraham trwa przy tej Bożej obietnicy, obietnicy potomstwa. Więc *po tym wszystkim, czego doświadczył* czytamy:

veha'Elohim nisa et-Avraham

Bóg postanowił wystawić na próbę Abrahama

Mamy tutaj czasownik **nassa** tzn. *doświadczyć, wypróbować*. **Nissa** to jest taka specjalna hebrajska forma, którą po polsku trzeba byłoby przełożyć *mocno doświadczył, mocno wypróbował*. Otóż w życiu stajemy wobec rozmaitych wyzwań. A niektórzy z nas stają wobec wyzwań bardzo ciężkich i bardzo trudnych. Czasami nam się wydaje że to, co bardzo trudne, dotyczy ludzi obok. Czasami nam się wydaje że to, co rozważamy, nas nie dotyczy i dotyczyć nie będzie. Ale dojrzałość, dojrzałość taka człowiecza, ludzka polega na tym, żebyśmy zdawali sobie sprawę, że kiedy w życiu jest dobrze i pomyślnie, to jednocześnie musimy starać się o to, by uzyskać dość siły na ewentualność, gdyby nam było trudno i na ewentualność, gdyby trzeba było pomóc tym, którzy są wokół nas.

Bóg wystawił Abrahama na próbę, Bóg ciężko doświadczył Abrahama. Zwróćmy uwagę, że Pismo Święte nie zajmuje się w ogóle sprawą, czy Bóg ma prawo doświadczyć ludzi, czy ma prawo czegokolwiek wymagać od człowieka. To nie są pytania, które interesowały ludzi Biblii. Ci ludzie byli przekonani, przeświadczeni, że skoro człowiek jest stworzeniem Bożym, a skoro Abraham i ci, którzy od niego mieli pochodzić, staną się narodem Bożego wybrania, to jednym z aspektów będzie

także ustawiczne uwiarygodnianie się wobec Boga. Paradoks naszych czasów polega na tym, że to Bóg musi uwiarygodniać się wobec człowieka. „Pokaż, co potrafisz!” mówimy do Boga. „Zdziałaj cud!” „Potwierdź, że jesteś!” „Przemów!” albo „Działaj na moją korzyść!” Natomiast prawdziwa religijność polega nie na tym, żeby człowiek wypróbował Boga, ale żeby człowiek był gotów do tego, by przeżyć i owocnie, pozytywnie wyjść z doświadczeń, których może od nas wymagać Bóg.

Zwróćmy uwagę jeszcze na jeden szczegół, bo to jest bardzo ważne. To, o czym będziemy za chwilę słuchać, tego nie wie Abraham. Abraham nie wie że to, co ma przeżywać, to jest próba. Abraham nie wie, że Bóg nie będzie od niego w końcu wymagał tego, co słyszy w słowach. My to wiemy. My wiemy że to, o czym za chwilę będziemy czytali i rozważali, to jest doświadczenie, to jest próba, którą postanowił Pan Bóg. Można by postawić nawet całe to rozważanie tak. Komu ta próba była potrzebna? Bogu? Przecież znał serce Abrahama. Doskonale wiedział, czego od Abrahama może się spodziewać. Abrahamowi? Też nie, gdyż wyszedł z tej próby zwycięsko, od początku do końca. Niczego nie musiał udowadniać, taki po prostu był. Komu więc ta próba jest potrzebna? Odpowiedź: nam! Słuchaczom i czytelnikom tego fragmentu, którzy od tamtej pory przez dobre ponad dwa i pół tysiąca lat rozważają ten fragment po to, żeby go zawsze mieć w pamięci, żeby go zawsze mieć w głowie, żeby go nigdy nie zapomnieć. A przede wszystkim kiedy słuchamy tego fragmentu, to żeby od samego początku być po stronie Boga i być po stronie Abrahama. Żebyśmy tej naszej obecności, tego, co wiemy, nie przetworzyli w oskarżenie przeciwko Bogu, ani nie przetworzyli w oskarżenie przeciwko Abrahamowi. Bo bywa bardzo często niestety tak, że kiedy ludzi dotyka coś bardzo trudnego, coś, co z całą pewnością stanowi próbę ich wiary i próbę ich życia, to wtedy ci, którzy są świadkami ich cierpienia wysuwają oskarżenia przeciwko Bogu, albo czynią z tego powód do oskarżeń przeciwko tym ludziom. Mówią albo przeciw Bogu: „Jak to jest możliwe, żeby Bóg dopuszczał takie cierpienie i takie trudy” i buntują się przeciwko Bogu odrzucając jego dobroć, jego sprawiedliwość, jego miłosierdzie. Albo też próbują – tak im się przynajmniej wydaje – bronić Pana Boga kosztem cierpiącego człowieka mówiąc: „Skoro tak cierpi, to musiał sobie czymś zasłużyć. Skoro Bóg tak go doświadcza, to najwidoczniej są powody, dla których musi coś takiego przeżywać.”

Chrońmy się, już na początku tego epizodu, przed jedną i drugą postawą. Starajmy się zapamiętać to jedno — że to, co Abraham ma przeżyć, to jest próba, to jest doświadczenie. Doświadczenie które przeżywa, przez które przechodzi ze względu na nas. I czytamy:

vayomer elav Avraham

Bóg powiedział do niego: Abrahamie.

Otóż kiedy Bóg mówi – zwróciliśmy uwagę na to miesiąc temu – nie gardź Jego Słowem. To, co Bóg mówi, ma charakter nie informacji, nie sprawozdawczości, ale jak to nazywa Ojciec Święty Benedykt XVI bardzo mądrze i głęboko — ma charakter nie informatywny lecz performatywny. Gdybyśmy chcieli to przełożyć na zwyczajną, prostą mowę, to powiedzielibyśmy tak. Jeżeli Bóg coś mówi to znaczy, że czegoś wymaga, czegoś żąda, czegoś potrzebuje. Ale jeżeli czegoś wymaga od człowieka, to daje mu też siłę, żeby przez to przeszedł. Daje mu też siłę żeby to, czego Bóg sobie zażyczył, się spełniło. Kto wierzy w Boga — powtarzamy w każdych okolicznościach — nigdy nie jest sam.

Bóg zwraca się do Abrahama po imieniu. Mówi do niego: „Abrahamie”. Zatem ta sytuacja, przez którą on przejdzie, jest sytuacją adresowaną i przeznaczoną wyłącznie dla niego. Są tacy ludzie, którzy przechodzą przez tak trudny los, że inni zapewne nie byliby w stanie tego znieść, nie byliby w stanie pójść tymi śladami ani pójść tym tropem. To, co Bóg przeznaczył Abrahamowi, jest przeznaczone wyłącznie dla niego. Więc *wtedy rzekł do niego Bóg: Abrahamie*

vayomer hineni

a on odpowiedział: jestem

Otóż to *jestem* to nie jest sprawdzenie obecności, tak jak uczniów w szkole. To hineni, krótko po hebrajsku i krótko po polsku, *jestem*, znaczy *jestem gotowy!* Otóż to *jestem* wyraża gotowość. Człowiek, który związał swoje życie z Bogiem musi być przygotowany na to, że być może Pan Bóg zapuka do drzwi jego wnętrza, jego serca i sumienia w czasie, którego się nie spodziewa, i w czasie o którym sądzi, że jest najmniej potrzebny i najmniej stosowny. Otóż to nie my wyznaczamy te pory spotkań, te pory przychodzą na nas czasami wbrew nam samym. Stąd wielką umiejętnością jest gotowość na przyjęcie tego, co nas spotyka. Ta gotowość, można by powiedzieć, jest znakiem i potwierdzeniem naszej dojrzałości. Czyż nie to miał na myśli także Pan Jezus, gdy opowiadał tę słynną przypowieść o pannach mądrych i pannach głupich? Te głupie żyły doraźnie, żyły z dnia na dzień. Te mądre myślały o przyszłości. Człowiek wiary zatem powinien być zawsze człowiekiem

nadziei. Otóż nigdy nie jest tak, że mamy wiarę, która starcza nam na to, co dzisiaj wyłącznie. Dzisiaj akurat nasza sytuacja, nasze zdrowie, sytuacja rodzinna, sytuacja z bliskimi, wszystkie inne okoliczności mogą być sprzyjające. Nie jest wielką trudnością wierzyć w Boga, kiedy wszystko idzie dobrze. Problem zaczyna się wtedy, kiedy dobrym ludziom zdarzają się złe rzeczy, zdarzają się trudne rzeczy. Stąd ta umiejętność, przygotowanie do tego, to nic innego, jak gotowość. Abraham wyraża zatem gotowość. To *jestem* znaczy *jestem gotowy*. *Mów, czego ode mnie wymagasz, czego potrzebujesz*. Czytamy:

vayomer a on odpowiedział

Posłuchają państwo, jak po hebrajsku bez przerwy jest vayomer, vayomer, vayomer — ten mówi, ten mówi i ten mówi. Ale to nie są partnerzy na jednakowym poziomie. Bóg i człowiek to nie są koledzy. Można by powiedzieć, że to są przyjaciele. Ale to nie jest przyjaźń równych stron. Otóż kiedy Bóg mówi do człowieka, to mówi w sposób zobowiązujący. To, co mówi, stanowi przykazanie. Więc Bóg zwraca się do Abrahama i mówi mu tak:

kach-na weź proszę

To na znaczy *proszę*. Bóg w spotkaniu z Abrahamem, w rozmowie z Abrahamem jest bardzo uprzejmy. Można by powiedzieć — jest łagodny. To *proszę* jest jakby zaproszeniem do współpracy. A być może w tym *proszę* Abraham rozpoznał, że ta Boża uprzejmość to jednocześnie znak Bożej skutecznej mocy. Powiedzieliśmy przed chwilą: jeżeli Bóg czegoś od nas żąda, to daje nam siłę, żeby przez to przejść. I również głębia chrześcijańskiego życia i religijnego życia polega na tym, żeby tę siłę rozpoznać.

kach-na	<i>weź proszę</i>
et-bincha	<i>twojego syna</i>
et-yechidecha	<i>twojego jedynaka</i>
asher-ahavta	<i>którego miłujesz</i>
et-Yitschak	<i>Izaaka</i>

Ja przeczytałem teraz to w całości i państwo posłuchają, że tu powtarza się jeden dźwięk. Po polsku nie sposób tego dźwięku oddać dlatego, że mamy odmianę zaimków, które są w różnym brzmieniu. A więc trochę szybciej to czytamy:

Vayomer kach-na et-bincha et-yechidecha asher-ahavta et-Yitschak velech-lecha

Słyszemy cha–cha–cha. Pięć razy powtórzone, i znaczy to: ty, twojego, ciebie, twój, ty. Weź ty proszę twojego syna, twojego jedynego, którego ty miłujesz, Izaaka. Otóż w ten sposób Bóg daje poznać, że doskonale rozumie kim dla Abrahama jest Izaak. Po pierwsze — jest jego synem. Po drugie — jest jego yechidecha, jego jedynakiem, zrodzonym z tej właśnie żony Sary, którego ahavta — którego miłujesz. Ci z państwa, którzy byli w Ziemi Świętej, dobrze wiedzą że kosmetyki, które wyrabiają w Izraelu do dzisiaj, nazywają się Ahaba — to znaczy *Miłość*. A tutaj mamy czasownik ahavta — *którego ty miłujesz*. Więc którego ty miłujesz, Izaaka,

velech-lecha el-erets haMoriah *I idź z nim, wyrusz z nim do kraju Moria*

Trzeba mieć znakomitą pamięć głosową — być może ktoś z państwa ją ma i słyszy to, że to lech-lecha, które tutaj się pojawia, a więc *idź ty, właśnie ty*, to jest dokładne powtórzenie tych słów, które słyszeliśmy z powołania Abrahama z początku jego życia w Charanie. Można by powiedzieć tak: życie Abrahama zatoczyło krąg. Kiedy Abraham był młody, Bóg rzekł do niego lech-lecha — *wyjdź proszę, idź proszę z twojej ziemi*. A teraz, kiedy Abraham jest stary, Bóg mówi mu dokładnie to samo. Mianowicie: *weź proszę twojego syna, twojego jedynaka, tego, którego miłujesz, Izaaka, i idź z nim*. *Idź właśnie z nim, idź ty z nim* el-erets haMoriah — do krainy Moria. I dalej:

veha'alehu sham le'olah	<i>i złożysz go tam na ofiarę</i>
al achad heharim asher omar eleycha	<i>na jednym ze wzgórz, o którym Ja ci powiem</i>

Kiedy my tutaj słyszymy *złożysz go na ofiarę*, to nie brzmi to dla nas tak mocno, jak to jest w tekście hebrajskim. Otóż w czasach Starego Testamentu, jak państwo wiedzą, w świątyni jerozolimskiej były składane różne ofiary. Były składane ofiary pokarmowe, takie z mąki, z ziaren, ze zbóż, ale były też składane ofiary krwawe, kiedy zabijano zwierzęta, ptaki i rozmaite istoty żywe. I wśród tych ofiar były dwa rodzaje. Jedne dobrowolne, drugie obowiązkowe. Obowiązkowe były wtedy, kiedy ktoś dopuścił się jakiejś nieprawości, i chcąc przywrócić zachwianą równowagę musiał złożyć ofiarę. Była w tym przeogromna niesprawiedliwość, przeogromna krzywda polegająca na

tym, że ludzie grzeszyli, ludzie dopuszczali się nieprawości — a zabijano zwierzęta. Więc cały okres Starego Testamentu to tysiące zabijanych zwierząt za grzechy ludzi. Tak sobie biblijni Izraelici wyobrażali Boga, że mogą Mu składać krwawe ofiary za swoje własne występki. Wiemy, że tej logice został położony kres wraz z męką i śmiercią Jezusa Chrystusa. Te krwawe ofiary przestały być potrzebne. Autor *Listu do Hebrajczyków* tłumaczy: raz jeden Chrystus jako najwyższy arcykapłan przeszedł przez śmierć, i nie potrzeba już teraz ofiar krwawych.

Ale my wracamy do tego epizodu. Otóż wśród tych ofiar istniał specjalny rodzaj ofiar, które nosiły nazwę **olah** — tak, jak imię zdrobniałe od Aleksandry: *Ola*. To słowo **olah** pochodzi od czasownika **alah** — *wstępować, unosić się*. Były to bowiem ofiary, kiedy to mięso zwierzęcia zabitego na ofiarę w całości spalano. I dym z tej ofiary unosił się ku niebu, dlatego ta ofiara nosi nazwę **olah**. A więc taka wstępująca tak, jak widzimy, zwłaszcza jesienią, dym, który gdzieś tam z ognisk na polach unosi się do góry. A tutaj ten dym z tego zwierzęcia ofiarnego unosi się do góry. Ta ofiara w języku polskim jest nazywana *całopalna*, tzn. przeznaczona w całości na spalenie.

Abraham zatem słyszy, żeby udać się do krainy Moria i złożyć swojego syna, swojego jedyne, którego miłuje, na ofiarę całopalną. Czyli żeby złożyć go tak, jak się składa owe zwierzęta przeznaczone na całkowite spalenie. Ja jeszcze raz państwu przypominam — niech nikt w tym miejscu nie buntuje się, dlaczego Bóg takiej ofiary miał żądać. Bo Bóg nie chciał, żeby ta ofiara się spełniła. Bo niepotrzebna jest ani krew, ani dym, ani śmierć zwierząt i śmierć Izaaka. Przez tak radykalne wymaganie, poprzez tak radykalne przykazanie Bóg chce, Bóg pragnie doświadczyć Abrahama ponad wszelką miarę. Chce od niego, aby złożył ofiarę z miłości. My o tym wiemy, Abraham tego nie wie. On jest gotowy, jak za chwilę zobaczymy, tę ofiarę złożyć. Ale to nie Bóg — powtarzamy to raz drugi czy trzeci — chce się przekonać, że Abraham jest do tego gotowy. To wydarzenie nam pokazuje, że są ludzie heroicznej wiary, którzy są gotowi zaufać Bogu bez reszty. Co miał Abraham ofiarować Bogu? Miał ofiarować swojego jedyne syna, a wraz z tym miał złożyć ofiarę ze swojej miłości. A wraz z tym — i to jest pointa tej części — miał złożyć ofiarę z całej swojej przyszłości. Oto Bóg zapowiedział mu, że wyprowadzi z niego wielki naród. Gdzie będzie ten wielki naród, skoro Bóg żąda ofiary z jego jedyne syna? Czyżby Bóg zaprzeczał sam sobie? Czyżby Bóg okazał się niekonsekwentny albo nieprawdomówny, okazał się fałszywy, i wymagał od Abrahama rzeczy, których nawet Bóg wymagać nie może ani nie powinien? Można by powiedzieć, że ten epizod tak na dobrą sprawę u ludzi, którzy mają słabszą wiarę albo którzy nie rozumieją istoty Bożego działania, mógłby zakończyć się tutaj. Mogliby powiedzieć: to niemożliwe, żeby Bóg takich rzeczy żądał od człowieka. To nieludzkie i to nie po Bożemu. Mogliby z tego uczynić oskarżenie przeciwko Bogu. I nie brakuje takich, którzy z sytuacji trudnych czynią oskarżenie przeciwko Bogu nie czekając, jeżeli tak można powiedzieć, tego końca, który Bóg zamierzył. A Bóg prosi Abrahama, by na jednym ze wzgórz w kraju Moria złożył ofiarę. Na wzgórze, które Bóg mu wskaże.

Ta kraina Moria, ta ziemia Moria to nie jest żaden wielki kraj, tylko wzgórze Moria na którym w czasach Starego Testamentu, ale znacznie później niż czasy Abrahama, wznosiła się świątynia jerozolimska. Kto z państwa był w Jerozolimie, to góra Moria to jest właśnie cały ten ten teren świątynny, na którym od ponad 1300 lat wznosi się muzułmańska Kopuła Skały i meczet El Aksa. Otóż to jest właśnie to miejsce, do którego miał udać się Abraham. Kto był w Jerozolimie pamięta, że nieopodal tego miejsca jest Kalwaria. I do tego wątku wrócimy pod koniec naszego rozważania. Czytamy dalej:

Vayashkem Avraham baboker

Wtedy wstał Abraham rano

To bardzo ważne. Znaczy to, że ta Boża prośba, Boże powołanie zostało do niego skierowane najprawdopodobniej w nocy, a może wieczorem. To w nocy albo wieczorem, kiedy człowiek się wycisza, można spotkać i doświadczyć Pana Boga. Noc i wieczór są najtrudniejsze dla cierpiących, dla chorych, dla zmagających się z różnymi trudnościami. Z całą pewnością wśród tych, którzy są dorośli, są takie osoby, które mają za sobą zupełnie nieprzespaną noc albo jakieś nocne mary i zwidzenia, które biorą się zwłaszcza wtedy, kiedy człowiek lęka się, niepokoi, martwi, niepewny jest co do swojej przyszłości, czuje się samotny i zagubiony. To noc sprzyja takiej właśnie samotności. Nigdy nie będziemy wiedzieli co Abraham przeszedł tamtej nocy, bo o tej nocy się nie mówi. Otóż noc cierpiących pozostaje na zawsze ich tajemnicą. Właściwie nikt nie potrafi tego ująć w słowa ani zracjonalizować, i nawet nie ma takiej potrzeby. Każdy, kto przeszedł przez takie doświadczenie, wie doskonale, że ono w gruncie rzeczy jest nie do przekazania. Nie wiemy więc co Abraham przeżył

tej pamiętnej nocy. Dowiadujemy się tylko, że wstał rano,

vayachavosh et-chamoro

osiadł swojego osła

I teraz proszę popatrzeć na poszczególne czynności. Najpierw osiadł swojego osła,

vayikach et-shney ne'arav ito
ve'et Yitschak beno

*wziął ze sobą dwóch służących
i Izaaka swojego syna*

Zwróćmy uwagę na poszczególne etapy. Najpierw wstaje Abraham. Następnie przygotowuje swojego osiołka, przygotowuje zwierzę. Zwierzęta towarzyszą ludziom w naszym losie. Jestem przekonany, że zwierzęta pojmują znacznie więcej, niż nam się wydaje i próbują to na rozmaite sposoby wyrazić — tylko, że my nie znamy tego ich języka, który jest językiem przywiązania, wrażliwości, tęsknoty, i bardzo często nie zwracamy na to uwagę. Ale kto z nas ma na co dzień w domu jakieś zwierzę, doskonale wie, że ono dzieli z nami nasze życie. Jeżeli coś w życiu wydarza się trudnego, z całą pewnością te zwierzęta, zwłaszcza te wyżej rozwinięte, nam towarzyszą.

Abraham więc wstał, osiadł swojego osła, wziął dwóch swoich służących ze sobą, dwóch młodych chłopców, a na końcu Izaaka. Zwróćmy uwagę — on, który ma za sobą nieprzespaną ciężką noc, który otrzymał takie właśnie polecenie, zachowuje się bardzo racjonalnie. Tymczasem zdarza się że bardzo wielu ludzi, na których spada nieszczęście, zachowuje się nieracjonalnie. Bardzo wielu ludzi, na których spada nieszczęście, albo którzy są postawieni w bardzo trudnej sytuacji, mówiąc obiegowym językiem tracą głowę, nie wiedzą jak się zachować. Nie tak było z Abrahamem. zaczyna przeżywanie bardzo trudnego doświadczenia. Ale jednocześnie odpowiadając na ten głos powołania stara się pod każdym względem zachowywać rozumnie. Rozumne przeżywanie tego, co trudne, także rozumne przechodzenie przez cierpienie, to jest wielka umiejętność. Ona nie przychodzi za darmo. To musi być tak że człowiek do wszystkiego, co go w życiu spotyka, odnosi się w rozumny sposób, żeby ten sam sposób postępowania zachować na czas, kiedy będzie to szczególnie trudne. I dalej czytamy:

vayevaka atsey olah
vayakom
vayelech el-hamakom asher-amar-lo
ha'Elohim

*przygotował drewno na ofiarę
i wstał
i udał się na miejsce, o którym powiedział
mu Bóg*

Po kolei czynności: osiadanie osła, zabranie służących, zabranie chłopca, nałożenie drzew, wstanie, gotowość, i wyruszenie. I wyruszenie w drogę ku miejscu, o którym Pan Bóg mu powiedział. Abraham nie dyskutuje z Bogiem, nie pyta: „Dlaczego?” Zaufał Panu Bogu bez reszty. Powiedzieliśmy miesiąc temu że żyje tak, jakby widział Niewidzialnego. To jest właśnie ten szczyt wiary. Ktoś powiedział niedawno o Janie Pawle II, że zwłaszcza w ostatnich latach swojego życia osiągnął tak daleko posuniętą pewność wiary, jak gdyby ocierał się o Pana Boga. Jeżeli tak było, to oczywiście na tym w gruncie rzeczy polegają same szczyty świętości. Nie ulega wątpliwości, że tak silne, tak wielkie, tak mocne doświadczenie religijne było udziałem Abrahama. Czytamy dalej:

Bayom hashlishi vayisa Avraham et-eynav

A na dzień trzeci podniósł Abraham oczy

Na trzeci dzień! A więc wyruszyli rano, szli cały dzień, i noc, i drugi dzień, i noc. I na trzeci dzień podniósł Abraham oczy

vayar et-hamakom merachok

i zobaczył to miejsce z daleka

Człowiek ma czasami, a zwłaszcza w takich sytuacjach zupełnie radykalnych, intuicję. Że oto przychodzi coś trudnego, i że to trudne wydarzy się tu i teraz. Ale zanim to się stało, to Abraham ma za sobą ponad dwa dni i jeszcze dwie noce. Nie wiemy co się działo w jego sercu, ani też nie wiemy jak zachowywał się wobec osiołka, wobec służących, a przede wszystkim wobec syna. Będzie dialog — to będzie za moment. Ale szli razem i nie ma tutaj nic, co by odtwarzało ich sylwetkę psychologiczną czy duchową. Skoro wyraził gotowość, idzie ku temu celowi, który Pan Bóg mu ukazał. Zwróćmy uwagę, że nie ma narzekania, nie ma rozstań, nie ma żalu, nie ma płaczu, nie ma łez, nie ma wątpliwości, nie ma trudności — jest milczenie. Trzeba nam sobie uświadomić że przez to, co naprawdę najtrudniejsze, człowiek musi przejść sam. Możemy mieć dookoła osoby bardzo bliskie i nam potrzebne. I rzeczywiście są nam bliskie i potrzebne, przynoszą dużo ukojenia i ciepła, serdeczności, dobroci i życzliwości. Ale jeżeli przychodzi coś naprawdę trudnego, to człowiek koniec końców zostaje sam na sam z Bogiem. I cała wtedy dojrzałość polega na tym, żeby swoją sytuacją nie zarażać wszystkich innych. Żeby zachować jakiś taki margines który pozwoli tym, których kochamy, żyć normalnie, istnieć normalnie, oddychać w miarę normalnie. Bo przecież przez to

doświadczenie, które jest naszym udziałem, muszę przejść ja, właśnie ja. Nie będziemy wiedzieli nic — raz jeszcze powtarzam — o tych dwóch i pół dniach i tych trzech nocach Abrahama, bo jedna, w której usłyszał głos powołania, i dwie kolejne. I tak to zazwyczaj się dzieje. Kiedy od czasu do czasu przyjdzie mi pójść do szpitala i odwiedzać kogoś chorego, albo myśleć o kimś bardzo chorym, to przychodzi mi do głowy zawsze jedna i ta sama myśl — że w ciągu dnia odwiedzali go bliscy, krewni, znajomi, przyjaciele, pocieszali, przynosili wsparcie, służyli słowami. Ale to, co najgorsze, przychodzi wtedy, kiedy ten człowiek zostaje sam. I kiedy w gruncie rzeczy to, co się w nim dzieje, musi również przenieść na ten czas, kiedy przychodzi mu spotykać się z najbliższymi. A zupełna parodia odwiedzin jest już wtedy, kiedy to chory i cierpiący musi pocieszać tych, którzy do niego przychodzą. Ale i to się zdarza. Nie tak było w przypadku Abrahama.

Vayomer Avraham el-ne'arav shvu-lachem poh im-hachamor va'ani vehana'ar nelchah ad-koh venishtachaveh venashuvah aleychem
--

*wtedy rzekł Abraham do służących
Zostańcie wy tutaj z osłem,
a ja i chłopiec
pójdziemy tam,
pokłonimy się, oddamy cześć
i wrócimy do was*

Przyjrzyjmy się temu zdaniu, bo ono doczekało się mnóstwa komentarzy z rozmaitego punktu widzenia. Powiada Abraham do służących: usiądźcie tu. zostańcie tu razem z osłem. Proszę popatrzmy — w tym dochodzi do głosu nadal ogromna racjonalność, rozumność i dobroć Abrahama. Abraham ma przeżyć coś straszego! Ale o kim teraz pamięta? Pamięta o chłopcach i pamięta o osle. Pamięta o tym, żeby oni zaopiekowali się tym zwierzęciem. Ktoś pomyśli sobie: „Ale problem!” Bywa tak, że rzeczywiście wielu ludzi nie widzi w tym wielkiego problemu po dzień dzisiejszy. Że kiedy ktoś cierpi, nie bierze sobie do serca cierpienia tych, którzy są wokół niego, a także tych istot żywych, które razem z nim były. Bywa tak, że kiedy babcia, dziadek, ktoś inny odchodzi, to psa, kota z którymi byli na co dzień wyrzuca się na ulicę, oddaje do schroniska. Jest niepotrzebny — tak, jakby się nic nie działo. Ja znam taki przypadek, kiedy to po śmierci swojej pani kot, którego oddano, szedł do domu i wrócił do tego domu parę kilometrów. Otóż gdybyśmy — raz jeszcze powtarzam — wiedzieli że w przyrodzie, że wśród istot żywych Bóg złożył, nie kto inny, tak ogromny potencjał dobroci, przyjaźni, przywiązania — nierozumnego, bo zwierzęta rozumu nie mają, mają tylko uczucia, mają instynkty — jakkolwiek to człowiek nazwie, to byśmy lepiej rozumieli Abrahama.

Otóż Abraham mówi: „Zostańcie tutaj z osiołkiem”. A więc zaopiekujcie się nim. Myśli o każdym szczególe tej wyprawy. Bądź co bądź przez całe życie, i przez ostatnie trzy dni, zrosli się ze sobą. *A ja i chłopiec pójdziemy tam, pokłonimy się, i wrócimy do was.* A komentatorzy dociekali: „Więc co, Abraham kłamie? Przecież wiedział, że ma złożyć swojego syna na ofiarę! To okłamuje służących, że wrócą razem, że wrócą do nich?” Nie, Abraham z pewnością nie kłamie. Abraham chce też dopełnić wszystkiego tak, jak Bóg mu przykazał. Ale Abraham wie to, co powiedzieliśmy na początku. Że jeżeli Bóg czegoś wymaga to daje siłę, żeby przez to przejść i znajduje rozwiązanie, które człowiekowi nie przychodzi do głowy. Nie możemy wyreżyserować pod każdym względem, w każdym szczególe tego, co zamierzył wobec nas Pan Bóg. Abraham wie, że udaje się ze swoim synem tam, aby uczcić Boga. Nie kłamie, taki był cel. Tam się pokłonimy, tam uczcimy Boga. Ale jednocześnie ma nadzieję że Bóg, który od niego tego wymaga, że jednocześnie sprawi coś, co pozwoli mu przejść przez to, czego doświadcza, zwycięsko.

Vayikach Avraham et-atsey ha'olah vayashem al-Yitschak beno
--

*wtedy zabrał Abraham drewno na ofiarę
i umieścił je, i położył na Izaaku, swoim synu*

Widzieli państwo kiedyś ludzi, którzy niosą chrust, drewno? Zdarza się to i u nas, ale zwłaszcza w innych krajach. Zwłaszcza na jesieni albo zimą z pewnością każdy z nas taki obrazek widział. Czasami obładowani ponad wszelką ludzką miarę, czasami jeszcze i na zwierzętach. Dzieje się tak również dzisiaj na wsiach, w małych osadach. Węgiel drogi, drewna dobrego nie ma, więc ludzie idą do lasu, zbierają te gałęzie, znoszą do siebie — można to jeszcze po dzień dzisiejszy zobaczyć, obrazek nie jest wymyślony. Abraham bierze drewna na ofiarę i kładzie je na swojego syna Izaaka. Tradycja żydowska mówi, że Izaak w tym momencie, w którym to się dzieje, miał trzynaście lat. W takim właśnie wieku żydowscy chłopcy obchodzą obrzęd, który nazywa się bar micwa — *syn przykazań*, poprzez który są zobowiązani do zachowywania wszystkich przykazań Bożych, i przez

to samo wchodzi w okres dorosłości. Kiedy państwo na chwilę przymkną oczy i wyobrażą sobie dorastającego chłopca, który niesie drewno. Gdyby państwo mieli możliwość być reżyserem filmu — umieścić w drugiej klatce jeszcze jeden obraz, mianowicie obraz młodego człowieka, który dźwiga drzewo krzyża! Czyż nie przeczuwamy, że w gruncie rzeczy o tę zapowiedź tutaj chodzi? Czyż nie przeczuwamy, że ten Izaak dźwigający drewno na ofiarę, na którą ma być złożony, jest starotestamentowym obrazem Syna Bożego, który dźwiga krzyż na Kalwarię? A ten obraz nasuwa się tym bardziej gdy sobie uświadomimy, że wszystko dzieje się w tym samym miejscu. Izaak zmierza na wzgórze Moria tam, gdzie była świątynia jerozolimska. Jezus od strony świątyni zmierza w kierunku Golgoty. Chrześcijanin nie może inaczej niż właśnie tak, chrystologicznie, czytać tego fragmentu. Ten fragment nie jest zwyczajnym opowiadaniem, to nie jest jakiś zwyczajny epizod. Ten fragment, ten epizod, to wydarzenie jest zapowiedzią Jezusa Chrystusa i Kalwarii. Włożył więc drewno na swojego syna, Izaaka,

vayikach beyado et-ha'esh ve'et-hama'achelet vayelchu shneyhem yachdav

*i wziął w swoje ręce ogień
i nóż,
i szli obaj
razem*

A Żydzi, którzy ten fragment komentowali, którzy mają doskonale wycucie swojego języka, mówili w komentarzach tak. Najważniejsze w całym tym zdaniu jest słowo **yachdav** — *razem*. Szli obaj razem. Ojciec posunięty w latach, który trzyma w ręku ogień, może krzemień, i nóż. Syn trzynastoletni, który niesie na plecach drzewo. I szli obaj razem, czyli szli obaj zgodnie. Do tej pory nic nie mówią, nie wymieniają żadnych zdań. Są na pewno wśród nas ojcowie, którzy mają dobre dzieci, synów i córki. Są na pewno tacy, synowie i córki, którzy mają ojców. I doskonale wiemy, że w sytuacjach krytycznych najlepszym wyjściem jest milczenie. I że to milczenie jako znak obecności jest jednocześnie znakiem, świadectwem i dowodem wspólnoty. Obaj idą razem. Idą razem bo czują że przeznaczenie jest wspólne, los jest wspólny, i że ojciec i syn jednoczą się w tym, co przeżywają.

I teraz dochodzimy do samego szczytu, można by powiedzieć, tego epizodu. Ci z państwa, którzy są rodzicami, rozumieją go o wiele lepiej niż ci, którzy być może patrzą na ten epizod pod innym kątem. Czytamy tak:

Vayomer Yitschak el-Avraham aviv vayomer avi
--

wtedy Izaak powiedział do Abrahama, swego ojca

Izaak zwraca się do Abrahama, swojego ojca. To podkreślenie *swojego ojca* jest bardzo ważne. Izaak ma świadomość tego, do kogo mówi. Ma świadomość i ma zaufanie. I co powiada? **vayomer** — *powiedział* **avi** — *tatusiu*, tak należy to przetłumaczyć po polsku. Znów, kto z państwa był w Ziemi Świętej i słyszał żydowskie dzieci czy żydowską młodzież, to zwracają się do swojego ojca **avi**, a do mamy **imi**. I te słowa bardzo często się słyszy. W tym słowie **avi** jest bardzo dużo serca, bardzo dużo emocji. Ono bardzo ładnie brzmi. **Avi** to jest pełne uczucia zwrócenie się do ojca. Po polsku: *tatusiu, tato*, dosłownie *mój tato*. To **i** na końcu to jest *mój*. Mój tato, mój ojcie, mój tatusiu.

vayomer hineni veni

*odpowiedział
jestem*

Pamiętają państwo to **hineni** na początku? Bóg zwraca się „Abrahamie!” Abraham odpowiada **hineni** — *jestem*. Izaak zwraca się **avi** — *mój tatusiu*. Abraham odpowiada **hineni** — *jestem*. Gotowość wobec Boga i gotowość wobec swojego syna. Lojalność wobec Boga i lojalność wobec tego, którego tak bardzo umiłował. Ten dialog to jest rozmowa ludzi, którzy są sobie bardzo bliscy. Ci, którzy są sobie bardzo bliscy, nie potrzebują wielu słów. Wielomówstwo, można by powiedzieć, rozpuszcza czy czyni płaską miłość. Tu mamy tylko pojedyncze słowa tak jak wtedy, kiedy człowiek cierpi. Wtedy również to, co ma do powiedzenia, wyraża krótko. Abraham mówi **hineni veni** — *jestem, mój synku*. I dalej:

vayomer hineh ha'esh vеха'etsim ve'ayeh haseh le'olah
--

*oto ogień i oto drewna,
a gdzie jest owieczka na ofiarę całopalną?*

Izaak nie pyta: „Co zamierzasz zrobić?” Izaak nie pyta: „Dlaczego tam idziemy?” Izaak zadaje pytanie w którym jest wszystko, i w którym jednocześnie jest pełne zaufanie do ojca. „Oto ogień i drwa, a gdzie jest owieczka na ofiarę?” pyta.

Vayomer Avraham
Elohim yir'eh-lo hasheh le'olah beni

*Odpowiedział Abraham
Bóg upatrzy sobie owieczkę na ofiarę, synu mój.*

Czy Abraham skłamał? Nie! Czy powiedział pełną prawdę? Tak! Ale czy powiedział ją tak, żeby Izaaka dotknąć, zaniepokoić? Nie! Powiedział wszystko, co miał do powiedzenia, ale w sposób, który szanował wyjątkowość tego, co miało się zdarzyć, i jednocześnie wrażliwość tego, którego to dotyczyło. Bóg upatrzy sobie owieczkę na ofiarę, synu mój. Powiedział prawdę. To jest przeogromna umiejętność, gdy człowiek w trudnej sytuacji potrafi powiedzieć prawdę i nie ranić, nie niepokoić, nie smucić, nie martwić tego, kogo to dotyczy. Być może byliśmy stawiani wobec takiej sytuacji, takiej konieczności. Ona zawsze jest bardzo osobista i zawsze absolutnie wyjątkowa. Więc Abraham odpowiada Izaakowi. Mówi prawdę ale jednocześnie każe mu pomyśleć. Mało tego — każe mu przewidywać. Czytamy:

vayelchu shneyhem yachdav

i szli obaj razem

Powtarza się to [yachdav] — *razem*. Kiedy milczeli, szli razem. Kiedy teraz rozmawiają, też idą razem. Szli obaj razem, a więc obaj zgadzają się na to, co miało się wydarzyć.

Vayavo'u el-hamakom asher amar-lo
ha'Elohim
vayiven sham Avraham et-hamizbe'ach
vaya'aroch et-ha'etsim
vaya'akod et-Yitschak beno

*I tak doszli do miejsca, o którym powie-
dział mu Bóg
i zbudował tam Abraham ołtarz,
i przygotował drewna
i związał Izaaka, swojego syna*

[Vayakoakad] — *związać* tak, jak się wiąże zwierzęta, które miały być składane na ofiary. To *związanie* po hebrajsku nazywa się [Akeda]. I cały ten epizod nosi nazwę w tradycji hebrajskiej właśnie [Akeda]. I pod taką nazwą występuje też na kartach Nowego Testamentu i tradycji chrześcijańskiej. Związał Izaaka, swojego syna

vayasem oto al-hamizbe'ach
mima'al la'etsim

*i umieścił go na ołtarzu
powyżej drzew*

Znów gdybyśmy mieli z tego zrobić scenę w filmie to to, co tak czytamy gładko, wyglądałoby prawdziwie okrutnie. Oto Abraham zdejmuje te drewna z Izaaka, buduje ołtarz, drzewo umieszcza na ołtarzu, wiąże Izaaka. Przecież Izaak miał trzynaście lat! Nie słyszymy, żeby uciekał, żeby się wzbraniał, żeby nie chciał. Wiąże Izaaka i umieszcza na drwach. Tylko ludzie o wielkiej wrażliwości, artyści, malarze próbowali przedstawiać tę scenę, i zawsze ona miała charakter niesłychanie dramatyczny. Tutaj próba, przed którą stanął Abraham, osiąga swój zenit, osiąga swój szczyt. Można by powiedzieć: czy Bóg mógł pójść dalej? Czy Abraham mógł pójść dalej? Mógł! Pozostał tylko jeszcze jeden krok.

Vayishlach Avraham et-yado
vayikach et-hama'achelet
lishchot et-beno

*Wtedy wyciągnął Abraham rękę
wziął za nóż
aby uśmiercić swojego syna*

Pamiętajmy: został wezwany do ofiary z miłości. Dlaczego Bóg od niego tak wiele wymagał, i dlaczego on posunął się do końca — tego nie zrozumie nikt, kto nie otarł się o tajemnicę heroizmu, bohaterstwa w wyznawaniu Boga. Abraham zawierzył Bogu do tego stopnia, w takim stopniu, że gotów jest wykonać wszystko tak, jak Bóg chciał. A może, tak, jak powiedział później Jezus, miał na myśli to, że nawet z tych kamieni Bóg wskrzesi dzieci Abrahamowi. A może miał nadzieję, że gdyby nawet tego noża użył, to Bóg i tak nie odbierze życia temu, którego mu dał. Ale nie cofnął się przed tym wymaganiem.

Vayikra elav mal'ach Adonay min-
hashamayim
vayomer
Avraham Avraham
vayomer hineni

*A wtedy zawołał do niego Wysłaniec Boży,
Anioł Boży z niebios
i rzekł
Abrahamie — dwa razy
a on rzekł: oto jestem*

Trzecie [hineni]. Bóg — odpowiada Abraham *jestem*, Izaak — odpowiada Abraham [hineni veni] — *jestem mój synu*. I teraz, w tym krytycznym momencie anioł z nieba: *Abrahamie, Abrahamie*. A Abraham: [hineni] — *oto jestem* czyli jestem gotowy.

Vayomer
al-tishlach yadcha el-hana'ar
ve'al-ta'as lo me'umah
ki atah yadati
ki-yere Elohim
atah
velo chasachta et-bincha et-yechidecha mi-
meni

i rzekł
Nie podnoś ręki na chłopca
ani nie czyn mu czegokolwiek
bo teraz poznałem
że boisz się Boga
właśnie ty
i nie wzbraniałeś się dać Mi twojego jedy-
negu syna, twojego umiłowanego syna

Abraham przeszedł przez tę próbę zwycięsko. Zawierzył do końca, i stał się cud. Cud polegający na tym, że oto Bóg dał mu poznać, że nie chce śmierci jego dziecka, natomiast potrzebna Mu była ofiara z miłości. Potrzebna była, żebyśmy i my o tym rozważali. A z perspektywy Nowego Testamentu, kiedy zastanawiali się nad tym epizodem autorzy Ewangelii i autorzy pism apostołskich, to napisali tak w nawiązaniu do tego fragmentu: Bóg, który własnego Syna nie oszczędził, ale Go za nas wydał. Zwróćmy uwagę na paradoks. Bóg wymaga od Abrahama ofiary ze swojego syna — ale do niej nie doszło. To jest logika Starego Testamentu. A w Nowym Testamencie jest na Kalwarii ofiara z Syna, do której doszło. Ale to nie jest pierwszy lepszy syn człowieczy, chociaż prawdziwy człowiek — to jest Syn Boży. To, przed czym Bóg powściągnął rękę Abrahama, tego nie oszczędził Jezusowi Chrystusowi. Otóż męka i śmierć Jezusa Chrystusa, który jak Izaak dźwigał drzewo na ofiarę, dopełniły się, i nikt nie zatrzymał tej ręki. Nikt nie powstrzymał ręki tych, którzy przybijali do krzyża ręce i nogi. Nikt nie powstrzymał ręki tego, który przebijał bok. Nikt! Taka jest cena, jaką Syn Boży miał zapłacić za zbawienie ludzi.

Tak dochodzimy do największej tajemnicy naszej wiary. Przeniknąć krzyż, to jakby zrozumieć tę właśnie tajemnicę miłości Bożej. Myślę, że nigdy nie będzie tak, że będziemy mogli powiedzieć, że zrozumieliśmy ten fragment. Natomiast byłoby dobrze tak, żeby w momencie, który dla każdego, dla każdej z nas będzie trudny, a takie momenty mogą być, żeby sobie przypomnieć to, co wydarzyło się na górze Moria. I to wydarzyło się dwakroć — raz z Abrahamem i Izaakiem, i drugi raz z Jezusem Chrystusem. Myślę, że listopad sprzyja takiej refleksji.

A na następną konferencję, gdzie będziemy mieli nowy wizerunek powołania, nowy obraz powołania, tym razem Mojżesza, i związanej z tym odpowiedzialności, zapraszam państwa bardzo serdecznie na pierwszy poniedziałek grudnia, 7 XII. Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję za to wspólne zamyślenie nad Akeda.

Pod Twoją obronę ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

3 Powołanie Mojżesza (7 grudnia 2009)

Pochwalony Jezus Chrystus ... Dobry wieczór państwu, witam bardzo serdecznie. Zaczniemy, jak zawsze, od modlitwy. W Imię Ojca ... Ojciec nasz ... Stolico Mądrości ...

Spotykamy się zatem kolejny raz, tym razem w Adwencie. Bardzo serdecznie wszystkich państwa witam. Jak państwo zapewne wiedzą odbywają się w tym roku jesienią dwie równoległe tury tych konferencji biblijnych. Jedna tutaj, gdzie przedmiotem naszej refleksji są obrazy powołania w Piśmie Świętym, druga w Centralnej Bibliotece Rolniczej. A tam tematem naszej refleksji są Ewangelie, wprowadzenie do czterech Ewangelii kanonicznych, i tam refleksji towarzyszy również – tak przynajmniej sędzę – czytanie Ewangelii w domu. Tutaj natomiast te przerwy są dłuższe, bo tam co dwa tygodnie, tutaj co miesiąc, i nie mamy bezpośrednio powiązanych tych konferencji z czytaniem Pisma Świętego. Ale mam nadzieję że ta nasza refleksja nad tematem powołania też ułoży się w pewną całość. Kiedy zastanawiam się najpierw nad doбором tematów, a później nad tym, jak dany epizod ewangeliczny przedstawić, to bardzo chciałbym żeby ta nasza refleksja miała charakter z jednej strony oparty na Piśmie Świętym, na jego treści i zawartości uwzględniającej realia geograficzne, historyczne, społeczne, religijne. Natomiast z drugiej strony żeby to była również refleksja o charakterze duchowym. Dlatego, że nasze czytanie i rozważanie Pisma Świętego ma być chrześcijańskie, a więc robione w tej perspektywie, która opiera się na uznaniu i na wyznaniu Jezusa Chrystusa. I nawet wtedy, kiedy przyglądamy się księgom Starego Testamentu, to przyglądamy się tym księgom z naszego chrześcijańskiego punktu widzenia. Zapewne zauważyli państwo podczas dwóch poprzednich konferencji tutejszych, mianowicie w październiku i w listopadzie, że gdy przyglądaliśmy się osobie i powołaniu Abrahama, to wydobyliśmy z tekstu biblijnego tę zawartość, tę treść, która dotyczy również i naszego życia. Byłoby dobrze, gdyby w odpowiednim czasie, czy to już, czy w tym czasie, który jeszcze został nam dany, żebyśmy umieli do tego zwłaszcza, co jest jakoś głębokie i trafione, żebyśmy umieli się odwoływać i to w naszym życiu wykorzystywać. Zwróciliśmy więc uwagę na powołanie Abrahama, to, które miało miejsce u początków jego dorosłego życia, kiedy to wyszedł z Charanu opuszczając swoje miasto, swój kraj i swój dom rodziny. A miesiąc temu zwróciliśmy uwagę na jego szczególniejsze powołanie, mianowicie powołanie do współcierpienia i do złożenia ofiary z miłości. Wiem dobrze, wiem także to od państwa, że ta refleksja była jakoś wielu potrzebna. A skoro tak, no to tym bardziej uzasadnia to potrzebę naszych konferencji.

Dzisiaj przechodzimy do postaci innej, jakże odmiennej od tej, o której do tej pory traktowaliśmy podczas naszych konferencji. Mianowicie zastanowimy się nad powołaniem Mojżesza. Mojżesz żył w XIII w. przed Chr. Powiedzmy dla równowagi, żeby zapamiętać łatwiej tę datę — żył ok. 1250 lat przed Chr., czyli mówiąc inaczej ponad 3250 lat temu. Kiedy będziemy przyglądać się jego powołaniu, to zaskoczy nas z pewnością wiele rzeczy. Zaskoczy nas przede wszystkim niezwykle pedagogika Boga. Bo to jest tak, że kiedy myślimy o powołaniu, to traktujemy powołanie jako swoiste wybranie. I wydawać by się nam mogło, że jest to wybranie, które niesie ze sobą perspektywę życia łatwego. Tymczasem już w przypadku Abrahama, a także dzisiaj w przypadku Mojżesza stanie się jasne, że jeżeli Bóg od nas czegoś wymaga, jeżeli nas powołuje, jeżeli nas do czegoś uzdalnia, to nie po to, żeby obiecać nam i prowadzić nas ku jakiejś życiowej łatwiznie. Pan Bóg nie obiecuje nam życia łatwego. Ale to, które staje się udziałem powołanych, jest na pewno życiem bardzo ciekawym, i stanowi wielkie wyzwanie, i oznacza także wielką odpowiedzialność.

Widać to dokładnie na przykładzie dzisiejszego tytułowego bohatera. Przede wszystkim wiemy o nim — przynajmniej tak, jak przedstawia to Księga Wyjścia, druga księga Starego Testamentu — znacznie więcej, niż o Abrahamie. O ile dzieciństwo i młodość Abrahama pozostawały nam zupełnie nieznane, i one są przedmiotem tylko pewnych domysłów, zwłaszcza w tradycji żydowskiej są rozmaite haggady, podania, opowiadania, które dotyczą dzieciństwa i młodości Abrahama, o tyle dzieciństwo i młodość Mojżesza na kartach Księgi Wyjścia zostały przedstawione trochę szerzej. Wiemy o nim, że cudownie wręcz wybawiony z wód Nilu, ocalony przed gniewem faraona który nakazał zabijać wszystkich nowo narodzonych chłopców hebrajskich, wychował się na dworze faraona — a więc mamy taki kontrast między słabymi, dramatycznymi początkami a późniejszą jego historią. Natomiast ta historia nabiera przyspieszenia wtedy, kiedy Mojżesz jest człowiekiem młodym. Otóż przydarza mu się wtedy coś, co w zasadzie nie powinno przydarzać się młodym ludziom. Bo oto Mojżesz przeżywa dwa epizody, które zadecydowały o dalszym kształcie jego życia. Najprzód

jeden: kiedy jako przedstawiciel faraona czy władz egipskich ogląda roboty, do których przymuszano Hebrajczyków — wie zresztą, że jest jednym z nich. To pewnego dnia widzi Egipcjanina, który bije Hebrajczyka. Wzburzył się Mojżesz i tak nieszczęśliwie uderzył Egipcjanina, że go zabił. Jakkolwiek by było to proszę popatrzeć: u początku życia Mojżesza jest krew, jest zabójstwo. To, że ono było niechciane, po części nieświadome, to jest osobna sprawa. Ale Mojżesz u początków swojego życia, od wczesnej swojej młodości ma taki właśnie dramatyczny epizod. Księga Wyjścia mówi, że nazajutrz Mojżesz wychodzi i widzi dwóch kłócących się Hebrajczyków. Powiada do nich: „Dlaczego się kłóćcie? Przecież braćmi jesteście!” I w odpowiedzi na to słyszy: „A może chcesz mnie zabić tak, jak zabiłeś tego Egipcjanina?” Uświadamia sobie, że ta sprawa jest znana i że musi uciekać znad Nilu, że będzie od tej pory banitą.

Dokonuje się kolejny wielki zwrot w jego życiu. On, skazany na śmierć, został ocalony i był wychowywany w dobrobycie. Natomiast ten wychowywany w dobrobycie młody człowiek musi teraz opuścić kraj nad Nilem, który był jego ojczyzną, i szukać schronienia. Takim schronieniem w starożytności był Półwysep Synajski. Tam się udawali różnego rodzaju banici zarówno z Afryki, z którą Półwysep Synajski graniczy przez Morze Czerwone, jak i z Azji, z którą jest połączony łądem. Otóż na Półwysep Synajski trafiali bardzo różni ludzie, i tak było w zasadzie do XX wieku. Mojżesz chroni się tam zatem przed gniewem tych, których gniewu się obawiał, i chce rozpocząć nowe życie. Państwo zwrócą uwagę — gdybyśmy prowadzili kalendarz poczynając od czasów, kiedy używamy rozumu, czyli gdzieś od początku szkoły podstawowej, i gdybyśmy każdego roku zapisywali sobie najważniejsze wydarzenia swojego życia, to po pierwsze wielu z nas miałoby już całą półkę tych kalendarzy obok siebie, a po drugie gdybyśmy go przeglądali to wtedy można zobaczyć, że nasze życie układa się w pewien ciąg. Tak długo, jak długo coś przeżywamy, to nie zdajemy sobie z tego sprawy. Ale kiedy oglądamy się wstecz, to rozmaite wydarzenia przybierają zupełnie inne znaczenie po latach. A więc coś, co było np. radosne, co przeżywaliśmy jako bardzo wzniosłe i bardzo przyjemne, z jakiejś perspektywy okazało się wcale nie takie miłe i nie takie owocne. Dla odmiany coś, co przeżywaliśmy jako bolesny zakręt życiowy, co nas wtedy dotknęło i bolało, okazało się początkiem czegoś oczyszczającego i zbawiennego, co z jakiejś perspektywy miało błogosławione skutki, itd.

Otóż coś podobnego wydarzyło się w życiu Mojżesza. Jego życie można by przedstawić na kształt takiej sinusoidy. Raz na wozie, mówimy w polskim przysłowiu, raz pod wozem. Tym razem Mojżesz znalazł się wyraźnie pod wozem. Okazało się jednak, że to pod wozem też ma swoje dobre strony. Bo czytamy dalej Księgę Wyjścia i streszczamy tę księgę: Mojżesz udaje się na Synaj i tam, przy źródle wody, spotyka dziewczęta, i to obfitość dziewczyn, bo aż siedem. Okazuje się, że te siedem dziewcząt to są córki niejakiego Reuela. Przyszły tam, bo były pasterkami. Kto z państwa był na Synaju, a jest tutaj sporo takich osób, to zapewne pamięta, jak z okien autokaru czy gdzieś tam spod klasztoru Św. Katarzyny, czy z Morgenlandu widać było takie dorastające dziewczyny, rzadziej chłopców, które w porze zwłaszcza wieczornej spędzały owce czy kozy do domu. Po dzień dzisiejszy życie pod tym względem na Synaju się nie zmieniło. Jeszcze parę lat temu kiedy udawaliśmy się tam z pielgrzymkami to do tego miejsca, gdzie zatrzymywaliśmy się na noc, przychodziły takie właśnie dziewczyny, takie od 6 - 7 do 12 - 14 lat, i bez przerwy o coś prosiły naszych pielgrzymów. Oczywiście dogadać się można było łatwo — bo one nie znały polskiego, my nie znaliśmy arabskiego, więc obie strony stosunkowo dobrze się rozumiały. I najbardziej poszukiwanym towarem przez te dziewczęta był krem Nivea. Otóż to nie była sprawa przypadku dlatego, że one chodziły boso i miały nogi popękane, nieraz podrapane na cierniach, pokaleczone, obolałe. I ten krem Nivea przynosił im ulgę. A w dodatku miały go jeszcze i do rąk, i do nóg. Dzisiaj, kiedy tam się podróżuje, już tych dziewczyn nie ma bo założono obok wioskę i ci Beduini, którzy do tej pory byli wędrowcami, już mieszkają w stałym miejscu. Ale jeżeli ktoś z państwa był w ostatnich latach to pamięta, że w drodze do Kairu jest taka oaza, która nazywa się Ain Mussa — Źródło Mojżesza, i tam są takie rasowe miejscowe Beduinki, i też dla ich najważniejszym towarem, który można im przywieźć, i najpiękniejszym upominkiem jest właśnie krem Nivea.

Wracamy do Mojżesza - kremu Nivea ze sobą nie miał, ale miał widocznie jakieś walory, skoro dziewczyny zaprosiły go do domu swojego ojca. Ojciec okazał się madianickim kapłanem. Madianicy to było plemię beduińskie, które tam wędrowało w starożytności po całym Synaju, przenosiło się z miejsca na miejsce. I kiedy pojawił się w domu ojca, upodobał sobie jedną z tych dziewcząt, która

miała na imię Sefora. Ożenił się z nią i w ten sposób zyskał i żonę, i trzodę, stał się pasterzem. To było wtedy, w starożytności bardzo ważne zajęcie z dwóch powodów. Po pierwsze zapewniało sposób na przeżycie. A po drugie panował taki zwyczaj, że jeżeli ktoś był pasterzem, pasł owce nie swoje — bo to były owce jego teścia, to nie było tak jak dzisiaj u nas, że jeżeli ktoś się wżeni to wszystko co nasze tobie oddamy. Tak nie, wtedy w starożytności panowało coś, co można by nazwać dzisiejszym językiem *rozdzielność majątkowa*. Otóż kiedy ktoś przychodził do rodziny to określano, co ma i czego nie ma. I jeżeli coś miał, to pamiętano o tym i to spisywano. Jeżeli nie miał, to musiał się po prostu dorabiać. W związku z tym jeżeli stawał się pasterzem to umawiano się, że np. co piąta czy dziesiąta owieczka czy koza, która przyjdzie na świat, należy do niego. I w jego interesie było to, żeby opiekować się dobrze trzodą żeby jak najwięcej tych owieczek przeżyło, i żeby dobrze się czuło i były zdrowe. Bo w ten sposób po jakimś czasie także ta trzoda, która do niego należała, po prostu obrastała w liczbę. I po jakimś czasie, po paru takich sezonach miał już kilka czy kilkanaście, czy nawet kilkadziesiąt owiec. I oczywiście czyniło to z niego człowieka coraz bardziej zamożnego.

Tak więc Mojżesz ułożył sobie życie. I wydawało się, że wszystko pójdzie taką właśnie koleją, jaką Mojżesz wybrał i jaka mu przypadła w udziale na Synaju. Właściwie można by powiedzieć, że w tej sinusoidzie jego życia z powrotem znalazł się na wozie. Że z powrotem jego życie zaczęło nabierać rumieńców. I właśnie wtedy, kiedy wydawało się że wszystko jest już na nowo przesądzone, że cóż może spotkać człowieka na Synaju, wtedy jego życie nabrało nowych rumieńców i przybrało nowy kierunek. Żeby to zrozumieć, to na pewno trzeba uwzględnić tamtejsze realia. Człowiek, który mieszka na Synaju, nie wybiera się stamtąd, nie podróżuje nigdzie — po dzień dzisiejszy. Synaj to jest ogromny półwysep i właściwie to jest świat, który jest zamknięty i który nie zna niczego, poza nim samym. Dla tamtejszych ludzi ich miejsce bytowania wyznacza horyzont, który oglądają. A ponieważ na tamtejszym horyzoncie są bez przerwy góry, no to ten horyzont zbyt rozległy nie jest.

Mojżesz, jak się wydawało, miał na Synaju już nie tylko żyć, ale także i dożyć. Ale stało się inaczej. I teraz sięgam do Pisma Świętego i będziemy kawałek po kawałku czytać. Ja mam przed sobą tekst hebrajski, ale będę państwu czytał po polsku z tej przyczyny, że tekst hebrajski lepiej wyraża rozmaite niuansy i myśli niż to, co mamy w naszym ojczystym języku. Więc w Księdze Wyjścia, w trzecim rozdziale czytamy tak:

A Mojżesz był pasterzem trzody, która należała do Jetro, jego teścia, kapłana madianickiego. Pasał trzodę na pustyni i przyszedł, i przybył do świętej góry Horeb.

Zwróćmy uwagę: mamy zatem tę zupełnie spokojną atmosferę. Mojżesz był pasterzem. Pasterz nazywa się po hebrajsku [ro'eh] tzn. *ten, który strzeże, który dogląda*. Ale strzeże, dogląda w znaczeniu *odpowiedzialności*. Otóż kiedy my myślimy o pasterzach, to myślimy inaczej, niż rzeczywistość na Bliskim Wschodzie czy w krajach Orientu tych pasterzy przedstawia i stanowi. Otóż dla nas pasterz jest bliższy pastuchowi, który pasie krowy. Jak się pasie krowy? Krowy przed nim, a on za krowami z kijem. Krowy jak mogą, to po lewej czy po prawej coś tam skubną. A jego zadaniem jest pilnować, żeby było inaczej, albo też tolerować to, co jest. Pasterz krów to taki, który raczej pogania, a one i tak wiedzą w jakim kierunku mają pójść. Pasterz owiec na Bliskim Wschodzie to zupełnie inna rzeczywistość. On idzie pierwszy, natomiast owce idą za nim, znają jego głos. Idą tam, dokąd on je prowadzi, bezgranicznie mu ufają. A na czele stada jest zawsze jeden baran, który prowadzi owce tam, gdzie chce pasterz. A pasterz z kolei pokazuje kierunek temu baranowi. Owce idą, pójdą nawet na rzeź. A więc mają bezgraniczne zaufanie. Być może wśród państwa są osoby, które pamiętają przeżycie, które mieliśmy kiedyś w północnej Grecji. Otóż podróżowaliśmy wtedy autokarem po północnej Grecji, jechaliśmy z Filippi i Kavalli do hotelu, który był na Półwyspie Chalcedyckim. To było jakieś 6 - 7 lat temu. I autokar sobie spokojnie jedzie przez te góry, bardzo wąska droga, po obydwu stronach las, po obydwu stronach rozmaite góry. I w pewnym miejscu, kilkaset metrów przed nami widać bardzo duże stado owiec. Widać człowieka wśród tych owiec. I autokar podjeżdża. Kierowca był przekonany, że owce mu zejdu. Ale owce nie schodzą. Stały w jednym miejscu na tej drodze i otoczyły ze wszystkich stron pasterza — tak to przynajmniej wyglądało z autokaru. Autokar musiał się zatrzymać, bo owce ani drgnęły. Chociaż kierowca trąbił, one nie ruszyły się na krok. Mało tego, z tych owiec wyszedł pasterski pies, taki sam biały, jak te owce, i zaczął autokar obszczekiwać co było znakiem, że trzeba zaczekać. I stanęliśmy, wyszliśmy

z autokaru — i okazało się że przy tym pasterzu, w środku tego stada, jedna owca rodzi małe. Trwało to dziesięć, może piętnaście minut. Ta owieczka urodziła swoje dziecko, pasterz wziął nowo urodzone jagnię na ramiona, ta owcza mama szła przy nim, i całe stado wyruszyło, ustąpiło miejsca autokarowi, mogliśmy przejechać.

Otóż jeżeli chcemy zrozumieć rzeczywistość życia pasterskiego, to dobrze jest mieć ten obrazek w pamięci. Ta niezwykła solidarność pasterza i owiec, owiec ze sobą — przecież to zwierzęta, ale chroniły czy broniły tę jedną, żeby mogła spokojnie wydać na świat swoje dziecko. I ten pies, który wszystko rozumiał — tylko ludzie musieli dowiedzieć się czegoś nowego. To był świat Mojżesza. Świat który, jak widzimy, niósł ze sobą także bardzo dużo takiego wzruszenia, ciepła, życzliwości, serdeczności. Państwo pamiętają, że jest na kartach Pisma Świętego bardzo piękny obraz pasterski. Ten obraz to jest przypowieść proroka Natana, który udaje się do króla Dawida w momencie, kiedy Dawid zabrał swojemu podwładnemu Uriaszowi żonę imieniem Batszeba, i podstępnie go uśmiercił. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. I wtedy prorok Natan przychodzi i powiada, że był bogacz, który miał bardzo wiele owiec, i był biedak, który miał jedną maleńką owieczkę. I była mu jak córka, bardzo się do niej przywiązał, spał z nią. I wtedy bogacz przychodzi do niego i zabiera mu tę owieczkę, bo potrzebuje urządzić ucztę swoim gościom. Dawid się na to strasznie oburzył, na co Natan powiada: „To ty jesteś tym człowiekiem!” Obrazy z życia pasterskiego służyły ludziom starożytnego Bliskiego Wschodu do wyrażenia prawd o wiele głębszych niż te, które można było wyrazić bez tych obrazów.

Mojżesz więc był pasterzem owiec swojego teścia Jetro. Jetro był kapłanem madianickim. Cóż to była ta religia Madianitów? To były tzw. religie astralne czyli religie, w których czczono ciała niebieskie: słońce, księżyc i gwiazdy dlatego, że według ciał niebieskich odbywało się podróżowanie i one wyznaczały w ogóle cały rytm życia. Więc przemieszczał się z tymi owcami po pustyni i przyszedł do Bożej góry Horeb. Zawsze dla nas największym zdziwieniem jest to, kiedy pojedziemy w tamte okolice, patrzemy na Pustynię Judzką, jedziemy z Jerozolimy do Jerycha, dookoła same piaski i kamienie — a na tych piaskach chodzą owce. I oczywiście pojawia się pytanie: z czego one tu żyją? Jak one tutaj mogą żyć? Odpowiedź jest taka: inaczej niż nasze owce, one z samego rana, zanim jeszcze wstanie słońce, idą na tę pustynię. Na kamieniach jest wilgoć, jest rosa. Ta rosa zawiera rozmaite minerały. I te owce w porze, kiedy jest sucho, liżą te kamienie i w ten sposób się pasą, jeżeli to słowo jest tutaj właściwe. Bo oczywiście do pełnego zaspokojenia głodu to daleko, ale pozwala im to przetrwać. Dopiero wtedy, kiedy przyjdą deszcze, pustynia się zazieleni, to będą miały dostatek. Ale w czasie zimowym, deszczowym, kiedy one dużo jedzą trawy i rozmaitych korzonków, i drobnych krzewów, to cały tłuszcz odkłada się w ogonach. I na wiosnę mają takie bardzo duże ogony. A potem latem, kiedy jest głód i można tylko żyć z rosy, to z tego ogona pobierają sobie tłuszcz tak, że pod koniec pory letniej ogon jest już bardzo cieniutki. Jeżeli ta pora sucha się przedłuża, to oczywiście dla owiec, dla zwierząt oznacza to katastrofę. Takie było życie Mojżesza.

I ujrzał Anioła Pańskiego

czy

Anioł Pański objawił się mu w płomieniu ognia, ze środka krzewu. I zobaczył: a oto krzew płonie ogniem, ale się nie spala.

Przedziwne zjawisko — Mojżesz ogląda coś, czego do tej pory nie widział. Krzew, który płonie, ale się nie spala. I ukazał mu się Anioł Pański. Nie potrafimy powiedzieć, czy było to doświadczenie zewnętrzne, czy było to doświadczenie wewnętrzne. Trudno powiedzieć! Najprawdopodobniej to, co Mojżesz widział, to był ten płonący krzew. Natomiast to, co czuł, to czuł, że ma do czynienia ze zjawiskiem absolutnie niezwykłym. I znowu trzeba się odwołać do tych z państwa, którzy mieli szczęście być na Synaju. Wiemy, że w klasztorze Św. Katarzyny po dzień dzisiejszy rośnie krzew, który jest pokazywany jako krzew gorejący. Kiedy tam idziemy i mówimy, że zobaczymy krzew gorejący, to każdy spodziewa się jakiegoś krzewu, który kapie złotem albo wygląda w sposób zupełnie inny, niż pozostałe krzewy. Ale kiedy tam dojdziemy i oglądamy ten krzew — zresztą bardzo wysoko, bo ludzie go bez przerwy skubią — a rośnie tam od niepamiętnych czasów, właśnie z powodu

tego krzewu wybudowano ten klasztor w tym, a nie innym miejscu. Otóż kiedy patrzymy na ten krzew, nie wydaje się on być niczym nadnaturalnym. Ale to właśnie ten krzew jest pokazywany jako krzew gorejący z opowiadania, które mamy w Księdze Wyjścia. I próbowano odnózki z tego krzewu przeszczepić gdzie indziej, przynajmniej dwie takie próby znam: do Muzeum Biblijnego w Nymegen w Holandii, do muzeum w Stanach Zjednoczonych — ale nigdzie ten krzew nie chciał się przyjąć. Rośnie tylko tam! Oczywiście specjaliści od komentowania, zwłaszcza od racjonalizacji Pisma Świętego, na rozmaite sposoby próbowali wytłumaczyć przedziwne właściwości tego krzewu. Mówiono mianowicie że np. gdzieś w Tybecie rosną krzewy, które wydzielają z siebie taki olejek eteryczny, i on robi wrażenie płomieni. Ale w tekście biblijnym nie słyszymy o żadnym olejku eterycznym, tylko słyszymy o tym, że krzew płonął, ale się nie spalał. Więc nie mamy żadnego racjonalnego wytłumaczenia na to, co Mojżesz oglądał. Zresztą to jest tak że w tym, co dotyczy zjawisk nadnaturalnych, zwłaszcza wewnętrznych, wszelkie racjonalizacje nie mogą się udawać, bo nie da się wszystkiego sprowadzić do rozumu, do argumentacji, do tego, co z rozumem związane. Otóż rozum mówi, że wyłączenie poleganie na rozumie jest nierozumne. Rozum jest potrzebny, jest konieczny. Ale poprzestawanie na nim i ograniczanie się do niego jest bardzo ryzykowne. I w tym przypadku, w przypadku tego epizodu musimy też uznać, że oprócz rozumu, i oprócz próby racjonalizacji tego istnieje jeszcze głębia, która umyka wszelkiej racjonalizacji.

Powiedział Mojżesz:

powiedział do siebie

«Przybliżę się i zobaczę, co to za zjawisko, co to za wielka osobliwość. Dlaczego krzew płonie?»

Kieruje nim naturalna ciekawość. Dla pasterza, który coraz lepiej zna Synaj, jest to zjawisko dość osobliwe. A więc u początku tego, co okaże się powołaniem Mojżesza, leży zjawisko, które przynajmniej na tym poziomie wydaje się naturalne. Tak nieraz bywa i w naszym życiu. Że przeżywamy coś, co nas zaskakuje, co nas dziwi, co nas interesuje, co wyzwala jakąś energię. I okazuje się że to coś stanowi początek czegoś radykalnie nowego, czego nie sposób przewidzieć. Mojżesz postanawia podejść i przyjrzeć się temu dziwnemu zjawisku.

I zobaczył Pan, ujrzał Pan, że Mojżesz przybliżył się, by zobaczyć. I zawołał Bóg do niego ze środka krzewu. I rzekł:

Moshe Moshe — to już po hebrajsku słowa Boga. To jest hebrajska forma imienia Mojżesz. A więc: «Mojżeszu, Mojżeszu!» Kiedy Bóg zwraca się do człowieka, to nie zostawia wątpliwości, że to powołanie jest adresowane właśnie do niego. Kiedy człowiek spotyka Pana Boga to nie ma wątpliwości, że to, co przeżywa, jest czymś wyjątkowym. Bóg zwraca się do Mojżesza po imieniu, powtarza to imię dwa razy. Kiedy będziemy rozważali inne powołania, w styczniu, lutym itd. — jeżeli sobie spokojnie dożyjemy, to będziemy słuchać o czymś zupełnie podobnym. Bóg zwraca się po imieniu: Mojżeszu, Mojżeszu! I odpowiedział — właściwie już państwo powinni znać odpowiedź, bo ta odpowiedź jest dokładnie taka sama, jak przy powołaniu Abrahama — i za pierwszym razem, kiedy musiał opuścić Charan, i za drugim razem gdy Bóg wezwał go, aby ofiarował swojego syna. Ta odpowiedź po hebrajsku brzmi hineni. Hineni znaczy *oto jestem*. Oto jestem, oto ja. Otóż to *oto jestem* wyraża gotowość. Gotowość do przyjęcia tego, z czym Bóg się do niego zwraca. Właściwie człowiek powinien być zawsze gotów na coś nowego. To nie jest wcale takie proste, bo te nowości przychodzą w naszym życiu na rozmaite sposoby. Nieraz możemy je przewidzieć, nieraz nawet zaplanować. Ale czasem pojawiają się nowości, które nas zaskakują w dobrym, ale także w bolesnym tego słowa znaczeniu. Otóż umiejętność powiedzenia Bogu hineni — *oto jestem*, umiejętność wejścia w jakiś nowy, radykalnie inny etap swojego życia z tym zawierzeniem Bogu, to jest naprawdę wielka sprawa. Właśnie wiara ma to do siebie, że najważniejszym jej elementem, najważniejszym jej składnikiem jest uwiarygodnienie wiary wtedy, kiedy trzeba okazać Bogu zawierzenie, zaufanie. Ludzi, którzy wierzą w Boga, jest wielu. Ale ludzi, którzy wierzą Bogu, którzy potrafią zawierzyć Bogu, jest znacznie mniej. I tutaj pod tym względem cała mądrość życiowa polega na tym, żeby

zawsze prosić Boga by wspierał swoją łaską to, iżbyśmy w odpowiednim czasie, w odpowiedniej chwili kiedy tego będzie trzeba, umieli przejść od wiary do zawierzenia. Ci, którzy zatrzymują się i poprzestają wyłącznie na wierze, czasami tego drugiego kroku zrobić nie potrafią, nie umieją, nie mogą. Imieniem dojrzałej wiary jest zawierzenie.

Wtedy powiedział Bóg:

al-tikrav halom

Nie zbliżaj się tutaj, nie podchodź tutaj

Będę państwu to, co mówił Bóg, czytał po hebrajsku bo, jak mi się wydaje również wtedy, kiedy słuchamy tego języka to jakby lepiej — nawet gdy go nie rozumiemy — w przekładzie lepiej słyszymy to, o co chodzi.

shal-ne'aleycha me'al ragleycha

Prawie się rymuje. Znaczy to: *Zdejmij swoje sandały ze swoich nóg*

ki hamakom asher atah omed
admat-kodesh hu

*bo miejsce, na którym stoisz,
jest ziemią świętą*

To *miejsce* nazywa się po hebrajsku **makom**. Cała ziemia to jest **adama**, ale miejsce, gdzie Bóg działa w szczególniejszy sposób, to jest **makom**. Czasami sam Bóg w tradycji biblijnej, a później w tradycji żydowskiej, jest nazywany **Makom** — *Miejsce*. Tzn. Ten, ku Któremu należy się zwracać, Którego należy wielbić, Którego należy adorować. Ale teraz Mojżesz słyszy że to miejsce, do którego próbuje się zbliżyć, jest święte. Święte nie znaczy niewinne, nie znaczy czyste. Mojżesz też nie był niewinny. Pamiętajmy, że miał na swoich rękach przelaną krew. Otóż *święte* to znaczy inne, naznaczone Bożą obecnością, odmienne od reszty.

Zdejmij sandały z nóg twoich — i państwo zaczynają rozumieć, że to wezwanie dało początek praktyce, która istnieje w jednej z religii monoteistycznych, mianowicie w islamie, praktyce polegającej na tym, że podczas modlitwy, czy przy wejściu do miejsca modlitwy, wyznawcy islamu, muzułmanie zdejmują buty, zdejmują sandały. Wejście do meczetu, modlitwa, odbywają się właśnie bez butów. Nie tylko zresztą muzułmanie, także chrześcijanie arabscy, np. w Egipcie Koptowie też mają zwyczaj, by przy wejściu do kościoła zdejmować buty. **Vayomer** — *i mówi*, nadal mówi Bóg:

anochi Elohey avicha

Ja jestem Bogiem twoich ojców

Bóg przedstawia się jako Bóg przodków Mojżesza. Otóż Bóg zawsze stanowi spoiwo historii. Ileż to razy przypominaliśmy o tym, że myślenie Izraelitów, myślenie człowieka Biblii jest z natury swojej historyczne. Ile razy wspominaliśmy o tym, że większość z nas tego myślenia nie ma. Nasza pamięć rodzinna kończy się na dziadku, babci, czasami pradziadku i prababci — i koniec! Kiedy sięgamy dalej, to tylko nieliczni spośród nas mogliby powiedzieć dalsze dzieje swojej rodziny. Może wypisane na cmentarzu, może wypisane w jakiś inny sposób wśród rodzinnych pamiątek. Szczęśliwy jest ktoś, kto ma w domu u siebie dzieje swoich przodków sięgające kilku pokoleń wstecz. Kto może pokazać swych przodków z XIX, z XVIII wieku — nie sądzę, żeby ktokolwiek wcześniej mógł to zrobić. Otóż ta nasza pamięć historyczna jest krótka. Z tego prosty wniosek, że również i my będziemy żyć w pamięci potomnych stosunkowo krótko, to znaczy dwa, trzy pokolenia. Można by powiedzieć, że jednym z wielkich wyzwaniań, jakie stoją przed ludźmi religijnymi jest to, żeby uświadamiać tę potrzebę pamięci, żeby uświadamiać potrzebę troski o swoje korzenie, a także troski o to, byśmy i my zostali zapamiętani. Więc: *Ja jestem Bogiem twoich ojców*. I dalej państwo zrozumieją, chociaż będą czytał po hebrajsku:

Elohey Avraham
Elohey Yitschak
ve'Elohey Ya'akov

*Bogiem Abrahama,
Bogiem Izaaka
i Bogiem Jakuba*

Bóg przedstawił się Mojżeszowi jako Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba, Bóg patriarchów. Tymczasem od patriarchów do Mojżesza upłynęło ok. pięćset lat. To tak, jak gdyby Ktoś przedstawiał się nam: Ja jestem Bogiem Władysława Jagiełły, i Władysława Warneńczyka, a wcześniej Kazimierza Wielkiego. Otóż nam ta perspektywa wydaje się wręcz niedorzeczna. Nikt z nas tak się nie przedstawia. Nie myślimy też w ten sposób o sobie. Nie mówimy: Słuchaj, my mamy wspólnych przodków, wspólne pochodzenie od Piastów i Jagiellończyków. A tutaj to myślenie, ten sposób przedstawiania się Boga jest niezwykle mocno osadzony w przeszłości. I to nie w przeszłości niedawnej, tylko w przeszłości bardzo dawnej. Widocznie Mojżesz, pomimo tych wszystkich zawirowań,

które go w życiu spotkały, wiedział jednak cokolwiek o patriarchach, od których się wywodził. Bóg przedstawia się Mojżeszowi jako Ktoś, kto zabezpiecza ciągłość jego rodu.

I zakrył Mojżesz swoją twarz, ponieważ lękał się patrzeć, spojrzeć na Boga.

Zakrył Mojżesz swoją twarz, ponieważ lękał się spojrzeć na Boga. Tak będzie cały czas w Starym Testamencie. Ludzie Starego Testamentu zakrywali swoją twarz, by nie patrzeć na Boga, bo byli przekonani, że gdyby zobaczyli Boga, musieliby umrzeć. Na tym tle tym lepiej widać to, co dotyczy Jezusa Chrystusa. Otóż kiedy sam Bóg stał się w osobie Jezusa Chrystusa człowiekiem to ci, którzy byli świadkami Jego życia, widzieli oczywiście człowieka, człowieka Jezusa. Ale dlatego tak bardzo trudno było im uznać, i tak bardzo trudno było im przyjąć że Jezus, na którego patrzą, którego oglądają, którego widzą, że Jezus może być jednocześnie Synem Bożym. To właśnie dlatego nigdzie na kartach Ewangelii Jezus za swojego ziemskiego życia nie mówił o sobie, że jest Synem Bożym i Bogiem — bo brzmiałoby to dla tamtych ludzi jak swoista niedorzeczność. Dopiero męka, śmierć, a przede wszystkim zmartwychwstanie objawiły, kim On jest naprawdę. Dopiero po zmartwychwstaniu uczniowie zdali sobie sprawę w pełni z tego, z kim mieli do czynienia. I po zmartwychwstaniu jednocześnie zobaczyli, że całe to doświadczenie, które stało się ich udziałem, było jakoś radykalnie głębsze i odmienne od tego, co im się wtedy wydawało.

Człowiek w spotkaniu z Bogiem, człowiek Starego Testamentu, zawsze, można by powiedzieć, jest nie tylko nieśmiały, ale też zupełnie nieporadny. Mojżesz zakrył twarz. To zostało bardzo ciekawie przedstawione w klasztorze na Synaju. W niewielkim muzeum, pokazywanym dopiero od dwóch lat, jest ikona przedstawiająca Mojżesza, która nawiązuje do tego zakrycia twarzy. Zresztą to zakrycie twarzy, analogicznie jak u Mojżesza, jest też naszym udziałem chociaż nie zdajemy sobie sprawy z tego. Wiedzą państwo kiedy? Wtedy, kiedy kapłan bierze do ręki monstrancję z Najświętszym Sakramentem, to zawsze ma w ręku welon, żeby nie dotykać bezpośrednio. Ten welon jest symbolem właśnie zakrycia, oddzielenia, pokory, uznania majestatu Boga. Bo jakże to zwyczajny człowiek może wziąć do ręki Ciało i Krew Pana? I tam na Synaju przedstawiony jest Mojżesz, który bierze tablice dziesięciu Bożych przykazań. I te tablice są mu jakby podawane z góry od Boga, którego on nie widzi. I biorąc te tablice ma ręce spowite takim właśnie welonem. I tak ten welon jest ułożony przed nim, że gdy go trzyma w ręku, to nie ogląda Tego, kto mu się objawia. Jest jakaś przedziwna tajemnica objawienia Bożego. Bóg objawia się nam i ukazuje, ukazuje się wielkim bohaterom wiary, ale jednocześnie nie możemy Go zobaczyć, nie możemy Go dotknąć, nie możemy Go przeniknąć. I ta tajemnica tej biegunowości Objawienia Bożego jest jedną z największych tajemnic, przed jakimi staje wiara religijna.

I powiedział Pan: «Wiele napatrzyłem się na ucisk mojego ludu, który jest w Egipcie. Słuchałem ich narzekania z powodu ucisku. Bo widziałem ich biedę, ich nędzę.

Bóg jest zawsze po stronie cierpiących. W świecie jest wiele zła, w świecie jest wiele niesprawiedliwości, wiele krzywdy. Ale kiedy pytamy — ileż to razy zwracaliśmy uwagę na ten motyw — „Gdzie jest Bóg?”, to odpowiedź jest jedna: „Bóg jest zawsze po stronie prześladowanych i cierpiących.” Nigdy po stronie tych, którzy są prześladowcami i oprawcami. Przedziwna jest cierpliwość Boża i po naszymu niepojęta. Wiele razy przychodzi nam do głowy pytanie: „Dlaczego Bóg toleruje to zło? Dlaczego Bóg pozwala chodzić, i działać, i zabijać rozmaitego rodzaju zbrodniarzom, którzy posuwają się do zbrodni jednostkowych, a czasami zbrodni obejmujących tysiące i miliony ludzi?” Także tutaj, można by powiedzieć, że w tym objawieniu się Boga mamy nawiązanie do przedziwnej Bożej cierpliwości. W tradycji biblijnej jest taka intuicja, która nam wydaje się bardzo trudna i niemożliwa do zrozumienia. Mianowicie, że Bóg cierpi! To wydaje się znów niedorzeczne dlatego, że przecież cierpienie powinno być Bogu zupełnie obce. Cierpienie jest wynikiem tego, co złe. Ale jest nić, którą widać w różnych momentach Pisma Świętego, Starego i Nowego Testamentu, a później w tradycji żydowskiej i chrześcijańskiej, które z Biblii się wywodzą, że Bóg cierpi — na Boski sposób oczywiście, zawsze tam, gdzie dokonywana jest krzywda, cierpienie, nędza, wykorzystywanie, ucisk. Można by powiedzieć, że mamy w tym paradoks. Bo skoro Bóg z tego powodu czuje — nazwijmy to po ludzku — dyskomfort, to przecież jako wszechmocny mógłby temu położyć kres. Ale zawsze istnieje napięcie między wszechmocą Boga a wolnością ludzi. Właśnie ceną wolności, ceną, jaką

Bóg płaci za wolność ludzi jest to, że musi — nie można tego powiedzieć inaczej — w jakiś sposób ograniczyć swoją wszechmoc. Brzmi to znów jak niedorzeczność ale powiedzieliśmy, że w tym, co dotyczy wiary, polegać na rozumie wyłącznie nie można. Otóż Bóg, który jest wszechmocny, pełen miłosierdzia, jednocześnie jest świadkiem zła, które dzieje się w świecie. I dopiero w czasie, który sam uznaje za stosowny, postanawia działać. Tak jest i tutaj. *Dosyć napatrzyłem się na udrekę mego ludu w Egipcie*. I dalej:

Zstąpię, aby go wybawić z ręki Egipcjan. I wyprowadzić z tej ziemi do ziemi dobrej i przestronnej, do ziemi opływającej w mleko i miód, do ziemi Kananejczyka, Chetyty, Amoryty, Peryzzyty, Chiwwity i Jebusyty.

Zstąpię, aby ich wyprowadzić. I mamy perspektywę ziemi nowej. Ta ziemia nowa zostaje tutaj bardzo pięknie opisana. Jest to ziemia tovah — znaczy to po polsku dosłownie *dobra, piękna*, urechavah — *szeroka, przestronna, duża*. Jest to ziemia zavat chalav udevash — *ziemia, która opływa w mleko i miód, ziemia mlekiem i miodem płynąca*, ale ziemia, w której mieszka sześć narodów, sześć ludów, które tutaj zostały wyliczone. Mojżesz nie zna tej ziemi, nigdy jej nie widział. Tę perspektywę nowej ziemi tylko Bóg przed nim roztacza. Ta ziemia zostaje przedstawiona jako ziemia, którą ma posiąść, ale jednocześnie jako ziemia, która już ma swoich gospodarzy. Zatem przed Mojżeszem staje perspektywa przyszłości, której zupełnie nie zna. I tak zwróćmy uwagę, że zazębiają się ze sobą dwa wymiary. Z jednej strony Bóg przedstawia siebie samego jako Boga Abrahama, Izaaka i Jakuba. A więc jako tego Boga, do którego należy przeszłość Mojżesza. Z drugiej strony Bóg przedstawia siebie jako tego, który skutecznie wprowadzi Mojżesza i ludzi mu powierzonych do ziemi zupełnie nowej. A więc jawi się jako Bóg, w którego rękach jest przyszłość. Tak, bilansując to, Bóg ukazuje się jako Pan historii, jako Pan dziejów, całości ludzkich dziejów. Do Niego należy przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Ukazuje się jako ktoś, do kogo należy ostatnie słowo w historii świata i człowieka.

A oto teraz wołanie synów Izraela wznosi się do Mnie,

Wołanie synów Izraela wznosi się do Boga tak, jak wznosi się dym ofiar całopalnych. Mamy tutaj zresztą to samo słowo: wołanie synów Izraela idzie, wstępuje do Mnie. Zawsze jest tak, że prześladowani, bici, ciemiężeni krzyczą, wołają, narzekają, skarżą się. Bardzo często jest tak, że mają wrażenie, że ich skargi, ich poniewierki nikt nie widzi. I to jest chyba jeszcze gorsze cierpienie niż to, które ich spotyka fizycznie. Na murach w rozmaitych katowniach, choćby podczas okupacji niemieckiej i sowieckiej, ludzie paznokciami, palcami wydrapywali swoje imiona, by zostawić swój ślad. Wydawało się, że ich głos nigdzie nie był słyszany. Oglądałem kilkanaście lat temu w Oświęcimiu w dawnym obozie Auschwitz w podziemiu, w piwnicy takie właśnie ściany, gdzie paznokciami ryto swoje imiona, żeby te imiona nie zostały zapomniane. I tutaj mamy nawiązanie do tego właśnie krzyku umęczonych i udręczonych ludzi. Że ten krzyk umęczonych wznosi się do Boga. Nie jest tak, że nikt go nie słyszy. Nie jest tak, że Bóg pozostaje niemy. Nie jest tak, że Bóg nie zwraca na niego uwagi. Jest inaczej. Raz jeszcze ocieramy się też o tajemnicę Bożej cierpliwości. Więc:

Oto krzyk, oto płacz synów Izraela wznosi się do Mnie. I zobaczyłem też razy, którymi Egipcjanie ich naznaczają.

Dosłownie: *baty, którymi Egipcjanie ich karzą*. Izraelici doświadczają ucisku. I ten ucisk, ta krzywda, wznosi się do Boga.

Więc teraz idź. Oto cię posyłam do faraona, i wyprowadź mój lud, synów Izraela, z Egiptu.

Mojżesz dostaje konkretne polecenie. Najpierw wysłuchał dlaczego. A teraz wysłuchuje co ma zrobić: „Idź do faraona i wyprowadź synów Izraela z Egiptu”. Dysproporcja między sytuacją Mojżesza a tym, czego ma dokonać, jest przeogromna. Przecież w momencie, kiedy doświadczają tego powołania, jest nikim więcej, jak pasterzem. Okazuje się, że temu właśnie pasterzowi Bóg powierza niezwykle zadanie wyprowadzenia z Egiptu. Reakcja Mojżesza była naturalna:

Odpowiedział Mojżesz Panu Bogu: «Kim ja jestem, żebym poszedł do faraona i żebym wyprowadził synów Izraela z Egiptu?»

Człowiekowi, który jest powołany, wydaje się, że działając własną mocą nie osiągnie niczego. I zapewne tak jest. Też musimy nieustannie powtarzać, że jeżeli Bóg nas do czegoś powołuje, to jednocześnie daje siły. Jeżeli czegoś od nas chce, pragnie osiągnąć, to uzdalnia nas żebyśmy mogli to zdziałać. Mojżesz jeszcze tego nie wie, ale będzie się tego cierpliwie uczył przez cały najbliższy okres. Mojżeszowi wydaje się że w tym, czego ma dokonać, musi polegać wyłącznie na sobie. Ale jest inaczej.

I powiedział jeszcze: «To Ja będę z tobą. A to będzie ci znakiem, że Ja cię powołałem, że wyprowadzisz ten lud z Egiptu i przyprowadzisz ich do tej Bożej góry, którą ci ukazałem.»

Znakiem skuteczności ma być to, że Mojżesz wyprowadzi Izraelitów i przyprowadzi ich na to samo miejsce. I wtedy na tym samym miejscu uzmysłowi, uprzytomni sobie, że jego życie zatoczyło koło. Czy zdarzyło się państwu być kiedyś w miejscu, które w życiu było ważne, do którego wróciliśmy. I patrzyliśmy na to miejsce po jakimś czasie jako na miejsce takiego życiowego zakrętu. I zdawaliśmy sobie sprawę, że od tamtej pory nasze życie rzeczywiście zatoczyło koło. Z Mojżeszem ma być podobnie. Otrzymuje obietnicę, że wyjście będzie skuteczne. I że przekona się o tym wtedy, kiedy wróci na to miejsce, ale już nie sam, tylko z całym ludem Izraela wyprowadzonym z Egiptu. Może dlatego jest tak, że gdy udajemy się na Synaj, jeżeli ktoś ma takie szczęście, to uprzytamniamy sobie, że jesteśmy na śladach Mojżesza i tego niezwykłego Bożego działania.

Wtedy rzekł Mojżesz do Boga: «Oto ja pójdę do synów Izraela i powiem im: Bóg naszych ojców posłał mnie do was. A oni powiedzą: Jakie jest Jego imię? To co im odpowiem?»

Otóż żeby komuś zaufać, trzeba znać jego imię. Żeby z kimś wejść w zażyłość, trzeba tego imienia używać. Mojżesz pyta Boga: „Kiedy pójdę do nich i powiem, że posłał mnie Bóg naszych ojców, to przecież muszę przedstawić Boga po imieniu. Muszę Ciebie Boga przedstawić po imieniu. Trzeba, aby między człowiekiem a Bogiem nawiązał się bardzo intymny kontakt. Co im wtedy powiem?”

Odpowiedział Bóg Mojżeszowi:

eheyh asher eheyh

JESTEM, KTÓRY JESTEM

i powiedział:

koh tomar el-beney Yisra'el
eheyh shlachani aleychem

*Tak powiesz synom Izraela:
JESTEM posłał mnie do was.*

Imię Boga brzmi *Jahwe*, imię niewymawialne przez Żydów. Mógł tylko raz w roku wymówić je najwyższy arcykapłan w Jon Kipur, w Dzień Przebłagania. Imię które również i my, chrześcijanie, powinniśmy, jeżeli wymawiamy, robić to ze czcią. Imię, które w przekładach Pisma Świętego zastępowane jest słowem *Pan*. To imię znaczy po polsku JESTEM. Bóg przedstawia się, że Jego imieniem jest JESTEM. Mówiliśmy o tym wielokrotnie. I ci z państwa, którzy brali udział w tamtych konferencjach, pamiętają, że nie ma lepszego sposobu aby objaśnić to imię, niż odwołanie do obrazu matki. Matka, która ma dziecko. Dziecko cierpi, jest chore. Zrobiła wszystko, co do niej należało, jest przy łóżku dziecka, trzyma za rękę. Zresztą może to nie tylko dziecka może dotyczyć, może to dotyczyć każdej innej relacji, gdzie jest zaufanie, miłość, dobroć. Trzyma za rękę i to, co może zrobić, to mówi: „Jestem”. Jestem — czyli nie lękaj się, nie bój się, nie jesteś sam. Samotność jest wielkim wrogiem człowieka, każdego człowieka. Otóż tym antidotum, lekarstwem na samotność, jest obecność. Kiedy mówię komuś „Jestem”, zwłaszcza w dramatycznej chwili, w takiej chwili tragicznej, to znaczy jestem z tobą, zrobię, co mogę. Nie jesteś sam.

Takie właśnie jest imię Boga, który objawia się Mojżeszowi podczas powołania. To imię brzmi JESTEM. Jestem z ludem umęczonym, udręczonym. I jestem z tobą, którego powołuję i wyznaczam

do konkretnego zadania. Państwo pamiętaj, że do tego imienia nawiązał kardynał Józef Ratzinger w homilii pogrzebowej Jana Pawła II, i nawiązuje wiele razy w swoim nauczaniu mówiąc i przypominając, że wiara, zawierzenie Bogu polega na tym, że człowiek wkłada jak gdyby swoją rękę w rękę Boga, który nas prowadzi i stale nam towarzyszy. I właśnie papież Benedykt XVI ułożył taką przepiękną modlitwę, w której prosi Pana Boga by nigdy jego ręka, ręka papieża, nie wymknęła się z ręki Bożej, by zawsze towarzyszył Panu Bogu, bo Pan Bóg zawsze człowieka prowadzi. Prowadzi tzn. strzeże i zapewnia skuteczność tego, czego człowiek dokonuje.

Imieniem Boga jest JESTEM. Ile razy myślimy o Bogu, tyle razy powinniśmy mieć w pamięci, w sercu tę właśnie nadzwyczajną obecność. Dlatego, powiedział papież, kto wierzy w Boga, nigdy nie jest sam. Dodał: kto ufa Bogu, nigdy nie jest sam. Kto miłuje Boga, nigdy nie jest sam. I nie ma większej pociechy płynącej z wiary w Boga, niż właśnie ta — pewność Bożej obecności na wszystkich zakrętach naszego życia. Pewność Bożej obecności we wszystkim, co nas spotyka.

Wróćmy do tego, o czym mówiliśmy na początku. Bóg nie obiecuje nam łatwego życia. Ale przyrzeka nam, że gdy Mu zawierzemy, to we wszystkim, co nas spotyka, jest z nami. Bo jego imieniem jest właśnie to przedziwne JESTEM. W tym JESTEM jest jego obecność ojcowska i obecność macierzyńska, matczyna. W Bogu nie ma płci. Bóg nie jest mężczyzną, Bóg nie jest kobietą. Ale w Bogu jest miłość, która odwzorowuje i tę ojcowską, i tę macierzyńską. Dlatego na kartach Pisma Świętego mówi się o Bogu jako o Ojcu bardzo często, ale mówi się też o Bogu, jako o Matce. A czasami mówi się o Bogu jako o Ojcu i o Matce. A czasami mówi się jeszcze głębiej. Prorok Izajasz wołał: „Choćby ojciec twój i matka twoja zapomnieli o tobie, Ja o tobie nie zapomnę”. Bo JESTEM.

Powołanie Mojżesza uczy nas najprostszej z prawd. Tej mianowicie, że kto z Bogiem związał swoje życie, ma Go zawsze za towarzysza swojej życiowej drogi. Że Bóg zawsze jest w niej obecny. I na tym właśnie polega wymowa i piękno tego powołania. Mojżesz zawierzył Panu, przyjął tę obecność wbrew wszystkiemu, wbrew logice. Zawierzył całą swoją przyszłość Temu, który zapewnił go, że z nim będzie. I tak się stało.

Na kolejną konferencję bardzo serdecznie zapraszam państwa w drugi poniedziałek stycznia, czyli 11 I. Wtedy przedmiotem naszej refleksji będzie kolejny obraz powołania. A myślę, że czas Adwentu jest dobrym czasem by tę przygodę wiary Mojżesza lepiej przyjąć, lepiej pojąć i lepiej przyswoić. A na zbliżające się Święta Bożego Narodzenia i na Nowy Rok życzę wszystkiego, wszystkiego co najlepsze. Bardzo serdecznie życzę, żeby w każdym domu, w każdej rodzinie, wszędzie tam, gdzie państwo są, zagościła radość, spokój, zdrowie, pomyślność, a przede wszystkim poczucie tego, że cokolwiek nas spotyka, to nigdy nie jesteśmy sami. I ta prawda o Bogu, który jest z nami, znalazła swój najpełniejszy wyraz w Betlejem. Zawsze było tak, że człowiek szukał Boga. Natomiast największą, najgłębszą prawdą Betlejem jest to, że oto Bóg szuka człowieka. I dopiero gdy te dwie miłości się spotkają, dopiero wtedy można swoją przyszłość powierzyć Panu Bogu. I tego życzę również na Nowy Rok.

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

4 Powołanie Dawida (11 stycznia 2010)

Pochwalony Jezus Chrystus ... Witam państwa bardzo serdecznie. Dzisiaj zwątpiłem, czy w ogóle ktoś będzie — takiego śniegu to chyba podczas naszych konferencji nie pamiętamy. Tym bardziej, tym serdeczniej na progu Nowego Roku witam. W Imię Ojca ... Ojciec nasz ... Stolico Mądrości ...

Powtórzmy raz jeszcze, że kiedy wspólnie spotykamy się, i to spotykamy się tak tłumnie, to spotykamy się nie tylko żeby poznawać Biblię tzn. poznawać księgi święte, dowiadywać się czegoś więcej, ale żeby lepiej zrozumieć siebie. Na kartach ksiąg świętych Pan Bóg objawia nam to, kim On jest. Możemy Go poznać z natury, z przyrody. Możemy do Niego dochodzić na rozmaite sposoby. Ale na kartach Pisma Świętego On ukazuje nam siebie. Ukazuje nam coś więcej, do czego rozumem dojść nie moglibyśmy. I zapewne to spotkanie z Bogiem, który jest obecny na kartach ksiąg świętych, staje się tak atrakcyjne, ma w sobie coś tak przyciągającego że staramy się, żeby w tym spotkaniu bardzo osobiście, bardzo intymnie uczestniczyć. Tematem tegorocznych spotkań są obrazy powołania, z którymi mamy do czynienia na kartach ksiąg świętych. Do tej pory zwróciliśmy uwagę na dwie zaledwie postacie, chociaż konferencji było trzy — na postać Abrahama na okoliczność jego powołania, a następnie na powołanie jego do tego, by złożyć ofiarę z miłości, i to ofiarę z miłości ku swojemu synowi. I miesiąc temu poznawaliśmy Mojżesza. Każde z tych powołań było inne. I myślę że kiedy państwo biorą udział tak tłumnie, i każdy osobiście zastanawia się nad tym co z tego, co słyszymy i co przeżywamy, odnosi się do nas, to rozpoznaje w tych powołaniach coś z siebie. Ale te powołania są przedziwne. I kiedy przygotowuję te konferencje, kiedy o nich myślę i kiedy dobieram tematy, to czasami zastanawiam się czy to, co będziemy rozważali, nie wychodzi daleko poza schematy, do których przywykliśmy, poza te pewne stereotypy i utarte sposoby myślenia, do których żeśmy się przyzwyczaili. Tak również jest dzisiaj. Otóż proszę zwrócić uwagę, że według naszego sposobu pojmowania rzeczy powołanie to byłoby coś takiego, co stanowi ze strony Boga swoistą nagrodę dla człowieka. Wydaje nam się, że Pan Bóg powinien powoływać ludzi dobrych, tzn. ludzi, którzy są do tego odpowiednio przygotowani, którzy mają w sobie naturalną podatność na dobro. a zatem łaska Boża tylko rozwijałaby w nich to, co już jest w nich tak czy inaczej obecne. Natomiast Pismo Święte potrafi nas zaskoczyć. Otóż widzieliśmy na naszym pierwszym spotkaniu, że Bóg powołał Abrahama, i że właściwie o Abrahamie sprzed jego powołania nic nie wiemy. Nie możemy mu przypisać ani specjalnych zasług, ani specjalnych cnót. Dowiedzieliśmy się następnie że Bóg powołał Abrahama do tego, by złożyć ofiarę z miłości, i widzieliśmy do jakiego stopnia miała to być ofiara trudna. Jednocześnie towarzyszyliśmy Abrahamowi w tym, że temu powołaniu sprostał. Myślę, że kto z państwa pamięta naszą refleksję na temat Mojżesza, to mówiliśmy tam o sprawie zdumiewającej. Tej mianowicie, że Mojżesz, który został powołany przez Boga, miał w swoim życiowym dorobku — można by powiedzieć naszym językiem — na swoim koncie uczynek, postępek, którym w żadnym wypadku chlubić się nie mógł. Mianowicie to, że — przypadkowo co prawda, ale jednak — stał się zabójcą Egipcjanina. I to, że miał na rękach krew tego Egipcjanina, jakoś — powiedzmy to po ludzku — nie przeszkadzało Bogu, żeby właśnie z Mojżesza uczynić narzędzie swojego powołania. Dziwne to jest bo zapewne było tak, że i w czasach Mojżesza, i przed nim, i później było wielu ludzi, którzy od strony moralnej i etycznej byli lepsi od niego. Ale jednak Pan Bóg chodzi w tych relacjach z człowiekiem swoimi własnymi drogami. A więc powołał kogoś, czyj życiorys był już tak czy inaczej splamiony.

Dzisiaj przechodzimy do powołania nowego. Mianowicie zobaczymy powołanie osoby, o której słyszymy bardzo często na kartach Pisma Świętego. Ale tak się złożyło, że chociaż te konferencje — przedtem na Dickensa, a także tutaj na ul. Gorlickiej — trwają już 24 lata, to tych tekstów, które dzisiaj mamy rozważyć, nigdy to tej pory nie rozważaliśmy. Chodzi o postać Dawida. Otóż z Dawidem mamy sytuację inną, jeżeli chodzi o powołanie, można by powiedzieć odwrotną niż ta, z jaką mamy do czynienia w przypadku Mojżesza. Powiedzieliśmy: Mojżesz miał w swoim życiu tę plamę wynikającą z zabójstwa Egipcjanina, ale później starał się być pod każdym względem wierny Panu Bogu. Dopiero pod koniec życia okazał słabość, kiedy to na pustyni, prowadząc Izraelitów, miał uderzyć w skałę raz jeden łaską, aby wyprowadzić wodę. Nie dowierzał, pytał: „Słuchajcie wy buntownicy, czy Bóg jest mocen wyprowadzić wodę z tej skały?” Zapytywał nie Izraelitów, zapytywał raczej siebie — bo zwątpił. I to zwątpienie stało się przyczyną tego, że nie wszedł do Ziemi Obiecanej, zobaczył ją tylko z góry Nebo.

Z Dawidem mamy do czynienia z sytuacją nową. Tą mianowicie, że zostaje powołany przez Boga w okolicznościach dość niezwykłych. Następnie dokonuje wielkich rzeczy i otrzymuje wielką obietnicę, o której za chwilę. I okazało się że ten wielki człowiek jest jednocześnie i słaby. Zapewne to jest tak, że nawet najwięksi mocarze ducha mają swoje słabości. Zapewne to jest tak, że nawet ci, którzy cieszą się w powszechnej opinii uznaniem, a także ci, od których Pan Bóg wymaga sporo i których cierpliwie prowadzi i z którymi wiąże Swoje losy, i oni mają swoje achillesowe pięty. Jak ta historia z Dawidem wygląda – od początku aż do jego właśnie upadku – będziemy starali się dzisiaj pokrótce prześledzić.

Najpierw w naszej refleksji przenosimy się do Betlejem, i przenosimy się ponad trzy tysiące lat wstecz. Kto z państwa był w Betlejem, czy w ogóle w Ziemi Świętej, to może oczami swojej wyobraźni przenieść się tam i przypomnieć sobie ten krajobraz, który do dnia dzisiejszego uległ znacznym przemianom dlatego, że miasto dzisiaj się bardzo rozrosło i właściwie się spotyka z Jerozolimą. Tak, że nie ma już takiego małego miasteczka, które istniało kiedyś w czasach starożytnych, ale tam właśnie się przenosimy. Otóż w starożytności wokół Betlejem były pastwiska, dalej była pustynia. Ale nawet pustynia, kiedy przychodzi pora deszczowa, pora zimowa tak jak teraz — u nas śnieg, natomiast tam deszcze — nawet pustynia wtedy zakwita, obrasta trawą i wtedy owce mają doprawdy bardzo dużo pożywienia.

Królem, pierwszym królem w ówczesnym starożytnym Izraelu był Saul. Ale okazało się, że ten pierwszy król, wybrany zresztą przez Boga i namaszczony przez proroka Samuela, okazał się zbyt egoistyczny w królowaniu, w swojej władzy nad ludźmi, którzy byli mu powierzeni. Przeprowadzał swoje własne plany, szukał dość egoistycznie swoich własnych pomysłów i koncepcji, żeby je zrealizować. Dlatego coraz bardziej oddalał się od tej rzeczywistości królowania tak, jak powinien ją spełniać. Co więcej — z Saulem był jeszcze jeden kłopot. Mianowicie wygląda na to, kiedy czytamy uważnie Pierwszą Księgę Samuela, że ten pierwszy król, który objął władzę nad Izraelem, bardzo szybko stał się psychicznie chory, miał psychiczne trudności. Nie ma innego, lepszego wyjaśnienia dla tych wszystkich kłopotów, o których czytamy w Pierwszej Księdze Samuela. I właśnie wtedy, kiedy ten król okazuje się niezdolny do królowania, chociaż nadal sprawuje swoją władzę, jest królem ale jest odrzucony, właśnie wtedy został powołany Dawid, który wówczas był zwyczajnym pasterzem. Otóż to opowiadanie o jego powołaniu znajdujemy w 16 rozdziale Pierwszej Księgi Samuela. I przeczytamy sobie to opowiadanie i krótko je skomentujemy po to, żeby przejść do drugiego etapu, mianowicie żeby zobaczyć, że ten zwyczajny pasterz z wielodzietnej rodziny został powołany przez Boga do celu, który tylko Pan Bóg zamierzył. I że ten cel, właściwie charakter tego powołania, był tak głęboki, że jego skutki trwają po dzień dzisiejszy. Czytamy w Księdze Samuela tak (1Sm 16,1):

Rzekł Pan do Samuela: «Dokąd będziesz się smucił z powodu Saula?»

Powiedzieliśmy: Saul, to pierwszy król. Samuel to wielki prorok, i jest jednocześnie ostatnim sędzią biblijnego Izraela. To wielki mędrzec, wielka charyzmatyczna postać, który stara się żeby wśród tego ludu Bożego wybrania panowała wierność Bogu. Saul się temu sprzeciwia, Samuel więc się smuci. Sądzi, że nie można zmienić tej sytuacji, że trzeba czekać po prostu, aż król umrze. Ale w tym swoim proroczym uniesieniu, w tym proroczym natchnieniu przeżywa spotkanie z Bogiem i dowiadyuje się, że:

Uznałem go przecież za niegodnego, by panował nad Izraelem.

Otóż musimy powiedzieć sobie jasno, chociaż czasami brzmi to rewolucyjnie — że nie wszyscy ci, którzy sięgają po władzę i którzy tę władzę sprawują, nadają się do sprawowania władzy. Ale na ogół wszyscy, którzy władzę sprawują, tak dalece przywiązują się do wszystkich możliwości, jakie ona ze sobą niesie, że ich odsunięcie od władzy bywa bardzo trudne, a czasami wiąże się z przelewem krwi. Otóż władza jest jak magnes.. Niektórych ludzi tak to przyciąga, tak to dotyczy, tak to – można by powiedzieć – wabi, że nie potrafią się z władzą rozstać. W Piśmie Świętym na ten temat jest bardzo dużo. Kiedy się uważnie czyta Pismo Święte, można znaleźć przykłady władców dobrych, ale znacznie więcej jest przykładów władców złych. Nie sposób oczywiście nie poczynić aluzji – bo my nie uprawiamy tylko historii starożytnej – do współczesnego, do dzisiejszego świata.

Państwo doskonale widzą, jak w naszej ojczyźnie władza smakuje ludziom. Bądź co bądź od dobrych dwudziestu lat właściwie rządy sprawują jedni i ci sami ludzie, którzy tylko tasują się między sobą. I dojdzie kogoś nowego, kto nawet się nadawałby do tego znacznie lepiej, jest wręcz niemożliwe. Proszę popatrzeć że już teraz choćby, na prawie rok przed wyborami prezydenckimi, już w zasadzie jest rozstrzygnięte kto ma do tego kandydować tak, jak gdyby żadnych innych kandydatów w Polsce nie było prócz tych, którzy zostali już namaszczeni niejako i przedstawieni.

A więc władza jest jak magnes. Ale ci, którzy są rządzeni, mają jednocześnie pełne prawo, żeby od sprawujących władzę wymagać nie tylko wywiązania się z obowiązków, bo to bywa bardzo trudne, ale przede wszystkim podstawowej rzetelności i uczciwości, a nade wszystko sprawiedliwości, która powinna łączyć się ze sprawowaniem władzy. I tu w przypadku Pierwszej Księgi Samuela słyszymy że Saul, który jest złym władcą, powinien być od władzy odsunięty.

Napełnij oliwą twój róg i idź: Posyłam cię do Jessego Betlejemity, gdyż między jego synami upatrzyłem sobie króla».

Samuel otrzymuje misję niezwykłą. Jest już człowiekiem starszym, posuniętym w latach. I oto ma udać się do Betlejem, na południowych przedmieściach dzisiejszej Jerozolimy, tam wyszukać rodzinę Jessego. I u Jessego w rodzinie poszukać chłopca, którego ma namaścić na króla. Rozdzwięk pomiędzy tą początkową rzeczywistością a jej skutkami, które są przewidywane, jest przeogromny. Bo oto w Jerozolimie panuje legalny król, a Samuel ma udać się w pobliże Jerozolimy i tam wskazać następcę tego króla, ale następcę wywodzącego się z prostego ludu, bo przecież takim był Jesse Betlejemita.

Samuel odrzekł: «Jakże pójdę? Usłyszy o tym Saul i zabije mnie».

Samuel patrzy bardzo realistycznie. Otóż każdy tego rodzaju krok jak ten, którego miał się podjąć, wiązał się z ogromnym niebezpieczeństwem grożącym mu ze strony Saula, czyli legalnego króla. Państwo doskonale wiedzą że ci, którzy władzę mają, oddawać jej nie chcą. I tak, jak w starożytności, tak i dzisiaj, mają cały aparat który troszczy się o to, by nie stało się im nic złego i by porządek nie został zachwiany. Tak samo było i w tym czasie. A cały ten epizod ma miejsce na ok. 1010 lat przed Chr. czyli ponad 3000 lat temu.

Pan odpowiedział: «Weźmiesz ze sobą jałowicę i będziesz mówił: „Przybywam złożyć ofiarę Panu”. Zaprosisz więc Jessego na ucztę ofiarną, a Ja wtedy powiem ci, co masz robić: wtedy namaścisz tego, którego ci wskażę».

Samuel ma użyć pewnego wybiegu. Mianowicie jego podróż do Betlejem wiąże się ze złożeniem ofiary i wyprawieniem uczty ofiarnej. I na tę właśnie ucztę ma być zaproszony Jesse, i przy tej sposobności zostanie wskazany następca Saula.

Samuel uczynił tak, jak polecił mu Pan, i udał się do Betlejem. Naprzeciw niego wyszła przelękniona starszyczna miasta. [Jeden z nich] zapytał: «Czy twe przybycie oznacza pokój?» Odpowiedział: «Pokój. Przybyłem złożyć ofiarę Panu. Oczyszćcie się i chodźcie złożyć ze mną ofiarę!»

Mieszkańcy Betlejem, starszyczna Betlejem niepokoją się. Dlatego że doskonale wiedzą, że przybycie owego starego Samuela nie jest sprawą przypadku. Przeczują, że coś wisi w powietrzu. Boją się, że jeżeli dojdzie do czegoś nieprzewidywanego, ściągnie to na nich zemstę króla Saula. Oczywiście mają w tym rację. Istnieje tutaj, jak państwo widzą, bardzo wyraźny splot między wiarą religijną a polityką. Od tego splotu nigdy nie sposób się wyzwolić. Otóż wiele razy powtarzamy, że religia i wyznawanie wiary nigdy nie jest, nie było, i nie będzie sprawą prywatną człowieka. Jest jego sprawą osobistą, ale to znaczy coś innego, niż sprawa prywatna. w związku z tym życie według zasad religii, postępowanie według zasad etycznych zawsze rodzi konsekwencje i skutki polityczne. Tak było dawniej, tak jest dzisiaj — i stąd to napięcie między sferą religijną i sferą życia publicznego. Starsi Betlejem obawiają się tego przybycia i szukają uspokojenia od Samuela. Nie chcą bowiem ściągnąć na siebie żadnych kłopotów.

Kiedy przybyli, spostrzegł Eliaba

to jeden z synów Jessego

i mówił: «Z pewnością przed Panem jest jego pomazaniec».

Pomazaniec czyli ten, który ma zostać namaszczoney. Samuel przybywa bowiem z takim rogiem, w którym była oliwa, aby dopełnić starożytnego obrzędu pomazania, namaszczenia. Po hebrajsku *namaścić* brzmi [naszah], a osoba *namaszczonea, pomazany, pomazaniec* to po hebrajsku [naszjah]. Namaszczano królów, namaszczano proroków i namaszczano kapłanów. I teraz Samuel ma namaścić przyszłego króla. Widzi jednego z synów Jessego. Ten ma na imię Eliab. A ponieważ jest najstarszy i zapewne wyróżnia się wśród innych, sądzi, że to jego właśnie ma namaścić.

Pan jednak rzekł do Samuela: «Nie zważaj ani na jego wygląd, ani na wysoki wzrost, gdyż nie wybrałem go, nie tak bowiem człowiek widzi (jak widzi Bóg), bo człowiek patrzy na to, co widoczne dla oczu, Pan natomiast patrzy na serce».

Oto jest fundamentalna zasada powołania, którą odnajdujemy na kartach Pisma Świętego wielokrotnie — nawet, jeżeli nigdy nie została tak wyraźnie sformułowana, jak tutaj. Człowiek sądzi po ludzku. Patrzy na to, co widoczne dla oczu. Państwo dobrze wiedzą, co w życiu publicznym, społecznym, kulturalnym, ekonomicznym znaczy reklama. Jest dzisiaj cała dziedzina, która wręcz jest dziedziną nauki, by nie powiedzieć także — użyteczności, która nosi nazwę PR (pijar) — *public relations*, czyli budowanie swojego obrazu, budowanie swojego wizerunku. Zanim ktoś, kto sprawuje władzę, wyjdzie publicznie do telewizora i pokaże się, to ma za sobą grupę tych, którzy uważnie dbają jak wygląda. Jaki ma krawat, jaką ma sukienkę, gdzie jest guzik, jak ma się uśmiechać, ile ma się uśmiechać, co ma mówić, jaką ma mieć minę, gdzie ma trzymać rękę — wszystko jest określone. Bardzo wielu z tych ludzi jest niewolnikami tych, którzy są na drugim planie, jest aktorami, którzy odgrywają swoją krótką rolę. I to, co my widzimy, to widzimy właśnie tę minutę, dwie, trzy, kiedy ten przygotowany człowiek występuje i mówi to, co do niego należało.

Ale nie tak patrzy Bóg, jak patrzy człowiek. Jesse przyprowadza do Samuela swojego najstarszego syna i sądzi, że to najstarszemu synowi będzie się należał przywilej powołania. Ale na samym początku słyszy, że Bóg patrzy inaczej, Bóg patrzy w serce. Otóż ten sposób widzenia jest nam czasami dostępny bo przeczuwamy, że ktoś jest wielki, ktoś jest człowiekiem duchowym, ktoś jest człowiekiem godnym zaufania. Ale znacznie częściej bywa tak, że Bóg powołuje do spełnienia specjalnej, szczególnej roli kogoś, kto według ludzkiego sposobu patrzenia do tej roli, na pierwszy rzut oka przynajmniej, nie przystaje.

Następnie Jesse przywołał Abinadaba i przedstawił go Samuelowi, ale ten rzekł: «Ten też nie został wybrany przez Pana».

Mamy więc drugiego syna Jessego, imieniem Abinadab, ale nie on został wybrany.

Potem Jesse przedstawił Szammę. Samuel jednak oświadczył: «Ten też nie został wybrany przez Pana».

A więc już trzeci.

I Jesse przedstawił Samuelowi siedmiu swoich synów, lecz Samuel oświadczył Jessemu: «Nie ich wybrał Pan».

Siedmiu kolejnych synów, z których każdy według zdania ojca nadawał się do spełnienia funkcji, do której Samuel szukał kandydata — ale sposób widzenia Boga był zupełnie inny. Coś podobnego ma miejsce również i dzisiaj. Otóż kiedy ma się możliwość przyglądania się tym, którzy odczuwają głos powołania, zarówno mężczyznom jak i kobietom, to można stwierdzić, że drogi Boże są prawdziwie niezbadane. Jest tak że wydaje się, że ktoś wypełnia bardzo gorliwie obowiązki religijne, prowadzi życie religijne, jest pod każdym względem dobry. I okazuje się, że tej drogi powołania

nie czuje. Jest ktoś inny, o kim mogliby sąsiedzi zaświadczyć, że ostatni jest do wstąpienia na tę drogę — a okazuje się, że czuje w sobie to, co nazywamy obiegowo głosem Bożym. I za tym głosem powołania idzie. Śledzenie tych losów jest naprawdę przedziwne. Widać to dobrze np. w seminariach duchownych na pierwszym, drugim roku, widać to w rozmaitych postulatach zakonnych. Ja kiedyś przez kilka dobrych lat prowadziłem konferencje, właściwie wykłady z Pisma Świętego dla tych dziewcząt, które zdecydowały się na pójście do zakonu, ale były jeszcze przed ślubami wieczystymi. Jak człowiek patrzył na nie, to zawsze zadawał sobie pytanie: jak przedziwne są Boże drogi. I to widać tutaj też. Siedmiu synów zostaje przedstawionych Samuelowi, ale w żadnym z nich nie upodobał sobie Bóg jeżeli chodzi o spełnienie tych planów, które zamierzył.

Samuel więc zapytał Jessego: «Czy to już wszyscy młodzieńcy?» Odrzekł: «Pozostał jeszcze najmniejszy, lecz on pasie owce».

A więc nawet ojciec nie zwracał na niego szczególnej uwagi. Paść owce to był obowiązek najmłodszych synów — ewentualnie, gdy ich nie było w rodzinie, to najmłodszych córek. Tak i tutaj jest, to jest jego podstawowe zajęcie: pasterz. I dalej:

Samuel powiedział do Jessego: «Poślij po niego i sprowadź tutaj, gdyż nie rozpoczniemy uczty, dopóki on nie przyjdzie». Posłał więc i przyprowadzono go: był on rudy, miał piękne oczy i pociągający wygląd.

Mamy opis wyglądu młodego Dawida, bo to o nim mowa. Opis, którego wysłuchaliśmy, stał się później natchnieniem dla artystów, zwłaszcza dla malarzy, także dla rzeźbiarzy. Na pewno państwo znają wyobrażenia Dawida, bodaj najbardziej znane, znajdujące się w Rzymie, we Florencji, wyobrażenia dokonywane przez wielkich artystów, a także przełożone na język muzyki. Rudy, miał piękne oczy i pociągający wygląd. Ale był wciąż jeszcze chłopcem.

Pan rzekł: «Wstań i namaść go, to ten». Wziął więc Samuel róg z oliwą i namaścił go pośrodku jego braci. Począwszy od tego dnia duch Pański opanował Dawida. Samuel zaś udał się z powrotem do Rama.

Dawid staje się powołany i namaszczony. Namaszczony do tego, by stać się królem nad Izraelem. Nie mamy czasu, żeby teraz przeglądać kolejne etapy jego dochodzenia do władzy. Otóż te etapy dochodzenia do władzy były bardzo trudne dlatego, że gdy Saul dowiedział się, że Dawid jest jego rywalem, kandydatem na przyszłego króla, ściągnęło to na Dawida prześladowania. Nie możemy tutaj streścić wszystkich wydarzeń, mogą państwo je przeczytać w Pierwszej i Drugiej Księdze Królewskiej, ale potoczyły się one tak, że wkrótce potem wybuchła wojna z Filistynami. To był lud, który przybył na teren Kanaanu, bo cały ten kraj nazywał się wtedy Kanaan, z Krety. I od Filistynów powstała nazwa Palestyna. Potem ci Filistyni zupełnie z historii zniknęli, nie ma już o nich wzmianki. Chociaż byli jeszcze w czasach Pana Jezusa, ale później, zwłaszcza z przybyciem Arabów, zniknęli zupełnie. I podczas takiej wojny z Filistynami Saul i jego trzej synowie ponieśli śmierć. Można by powiedzieć, że sprawa rozwiązała się sama tzn. Dawid, który dojrzał do królowania, mógł ten tron królewski objąć.

I rzeczywiście stało się tak, jak dzieje się zazwyczaj wtedy, kiedy Pan Bóg przejmuje inicjatywę. Gdy kogoś wzywa, gdy kogoś powołuje, to daje mu zarazem dość siły do tego, by temu powołaniu sprostać. Jeżeli komuś wyznacza jakiś cel i zadania, to towarzyszy mu, by w wypełnianiu tego celu nie pozostał sam. Jeżeli komuś ukazuje drogę, to bierze go też za rękę i prowadzi. I z Dawidem właśnie tak było. Dawid, cierpliwie prowadzony przez Boga, dochodzi do tronu. Mało tego, układa się z innymi plemionami izraelskimi, radzi sobie dobrze z wrogami, a przede wszystkim ustanawia Jerozolimę stolicą swojego królestwa. Saul o to nie zadbał, nie starał się o to, nie rozumiał symbolicznej wagi stolicy. Natomiast Dawid, a miało to miejsce ok. roku tysięcznego przed Chr., czyni z Jerozolimy, która przedtem była miastem kanaaneńskim, stolicę Izraela do tego stopnia, że zwykła ona się nazywać Miastem Dawidowym. I tak jest po dzień dzisiejszy. Kiedy chrześcijanie obchodzili Wielki Jubileusz Roku 2000, to Żydzi w tym czasie obchodzili 3000 lat żydowskiej Jerozolimy, czyli 3000 lat Jerozolimy ustanowionej stolicą przez króla Dawida. Zapewne państwo wiedzą, że przy tej

sposobności nasz kompozytor Krzysztof Penderecki stworzył potężne oratorium, które nosi nazwę *Siedem bram Jerozolimy*.

Wróćmy jednak, cofnijmy się te 3000 lat. Dawid dochodzi do tronu, wszyscy przysięgają mu lojalność, staje się następcą Saula. Wykorzystuje swoje naturalne przymioty do tego, by zintegrować naród, który został mu powierzony. I wtedy dochodzi do wniosku, do którego nie wszyscy dochodzą, gdy przejmują władzę. Mianowicie dochodzi do wniosku, że powinien podziękować Panu Bogu, że powinien Bogu wyrazić wdzięczność. Umiejętność wdzięczności to jest wielka rzecz. On umiał być wdzięczny wobec ludzi, którzy go otaczali, ale postanowił również podziękować Panu Bogu. Wielu z tych, którzy doświadczają wielu dóbr od Boga, zapomina o podziękowaniu. Tymczasem niewdzięczność jest czymś bardzo dotkliwym. Myślę, że i Pan Bóg też cierpi z powodu niewdzięczności.

Jak Dawid postanowia podziękować Bogu? Zdaje sobie sprawę z tego, że został powołany jako prosty pasterz, zdaje sobie sprawę z tego, że doszedł do wszystkiego dzięki Bożej łasce, Bożej pomocy. I w związku z tym podejmuje pewne postanowienie. I to wyglądało tak: czytamy Drugą Księgę Samuela, Rozdział 7.

Gdy król zamieszkał w swoim domu, a Pan poskromił wokoło wszystkich jego wrogów, rzekł król do proroka Natana: «Spójrz, ja mieszkam w pałacu cedrowym, a Arka Boża mieszka w namiocie».

Dawid wybrał Jerozolimę, w Jerozolimie wznosił pałac, i to pałac cedrowy, z cedrów sprowadzanych z Libanu. Sam, można by powiedzieć, doświadczył tych wszystkich dóbr, które wynikają ze sprawowania władzy. I dochodzi do wniosku, że nie może być tak, że Arka Boża, która towarzyszyła Izraelitom podczas wyjścia z Egiptu, od Synaju aż do Ziemi Obiecanej, w której zostały złożone tablice z Dziesięcioma Bożymi Przykazaniami, ma nadal przebywać w prowizorycznym sanktuarium. Otóż skoro on mieszka w pałacu, to coś Bogu należy się od niego, i od ludu Bożego wybrania. I zwraca się z tym do proroka Natana.

Natan powiedział do króla: «Uczyni wszystko, co zamierzasz w sercu, gdyż Pan jest z tobą». Lecz tej samej nocy Pan skierował do Natana następujące słowa:

Zwróćmy uwagę na ten szczegół, bo coś podobnego zdarza się i w naszym życiu. Mianowicie Dawid postanowił podziękować Bogu. Spotyka się z mężem Bożym — Samuel już nie żyje, teraz tym prorokiem, który jest obok Dawida, jest Natan — przedstawia mu swoją propozycję, i Natan mówi: «Tak, zrób to, co zamierzasz.» Ale okazuje się, że ten dowód wdzięczności, który chce okazać Dawid, Bóg wyobraża sobie i potrzebuje go zupełnie inaczej. Bo oto Bóg w nocy, we śnie, w widzeniu kieruje do Natana takie słowa:

«Idź i powiedz mojemu słudze, Dawidowi: To mówi Pan: Czy ty zbudujesz Mi dom na mieszkanie? Nie mieszkałem bowiem w domu od dnia, w którym wywiodłem z Egiptu synów Izraela, aż do dziś dnia. Przebywałem w namiocie albo przybytku. Przez czas, gdy wędrowałem z całym Izraelem, czy choćby do jednego z sędziów izraelskich, którym nakazałem paść mój lud, Izraela, przemówiłem kiedykolwiek słowami: Dlaczego nie zbudowaliście Mi domu cedrowego?»

Bóg mówi: «Nigdy nie skarżyłem się, że w tej Arce przenośnej jest Mi niejako źle. Dostosowałem tę Moją obecność do sytuacji, o której to wy zdecydowaliście». Moglibyśmy to porównać — to porównanie jest ryzykowne, ale chyba najbliższe prawdy — do eucharystycznej obecności Jezusa. Otóż można by powiedzieć, że w Eucharystii, w tym skromnym Chlebie Bóg jest zdany na łaskę i niełaskę człowieka. Oglądamy Eucharystię w procesji, mamy tabernakulum w kościele. *Tabernakulum* znaczy po polsku *namiot*, to jest nawiązanie do tamtego właśnie namiotu. Ale tak na dobrą sprawę to Bóg powierza samego siebie w ręce ludzi. I można byłoby z Nim zrobić wszystko. I niestety czasami dzieją się przeróżne, dramatyczne rzeczy, o których tutaj lepiej nie mówić.

Otóż Bóg powiada: «Zawsze było tak, że wystawiałem się na waszą łaskę i niełaskę. Postępowaliście ze Mną tak, jak chcieliście. Nigdy się nie skarżyłem». Czy państwo zauważają, że przy

różnych okazjach kiedy Bóg objawia Siebie to tym przymiotem, który najbardziej wyraźnie staje się widoczny, jest Jego pokora. Pokorny Bóg stoi, można by powiedzieć, na antypodach, jest przeciwagą dla egoizmu, dla pychy, dla chciwości człowieka. Ta pokora Boga znajdowała wyraz już w Starym Testamencie wtedy, kiedy Bóg przebywa w Przybytku, w namiocie przenośnym, ale znalazła również wyraz w Nowym Testamencie, co czciliśmy raz jeszcze niedawno, kiedy Bóg przychodzi na świat jako zwyczajne dziecko w tym właśnie Betlejem, o którym teraz dzisiaj czytamy. Więc Bóg mówi do proroka Natana: «Nigdy nie skarżyłem się na to, jak się ze Mną obchodziliście».

A teraz przemówisz do sługi mego, Dawida: To mówi Pan Zastępów: Zabrałem cię z pastwiska spośród owiec, abyś był władcą nad ludem moim, nad Izraelem. I byłem z tobą wszędzie, dokąd się udałeś, wytraciłem przed tobą wszystkich twoich nieprzyjaciół. Dam ci sławę największych ludzi na ziemi. Wyznaczę miejsce memu ludowi, Izraelowi, i osadzę go tam, i będzie mieszkał na swoim miejscu, a nie poruszy się więcej, a ludzie nikczemni nie będą go już uciskać jak dawniej. Od czasu kiedy ustanowiłem sędziów nad ludem moim izraelskim, obdarzyłem cię pokojem ze wszystkimi wrogami. Tobie też Pan zapowiedział, że ci zbuduje dom.

I tu dochodzimy do sedna sprawy, którą winien jestem państwu wytłumaczyć. Dawid zwraca się do Boga i powiada, że chce Mu wybudować dom. Dom nazywa się po hebrajsku bait. Ten dom to świątynia, okazała świątynia, która ma być bardziej okazała rzecz jasna, niż królewski pałac Dawida. Bo Dawid dochodzi do wniosku, że nie może być tak iż on, król, mieszka w pałacu, a Bóg ma swoje mieszkanie, choćby symboliczne ale jednak, w dość marnym przybytku. Bóg odpowiada na to: «Dobrze, ty chcesz zbudować Mi dom. Ale to Ja zbuduję ci dom». I ten dom, który obiecuje Bóg, też po hebrajsku nazywa się bait. Ale to już nie jest budowla, to już nie jest świątynia, to już nie jest sanktuarium, i to nie jest pałac. Tylko ten *dom* jest pojmowany w sensie następstwa pokoleń. Bo oto czytamy dalej:

Kiedy wypełnią się twoje dni i spocznieś obok swych przodków, wtedy wzbudzę po tobie potomka twój, który wyjdzie z twoich wnętrzności, i utwierdzą jego królestwo. On zbuduje dom imieniu memu, a Ja utwierdzą tron jego królestwa na wieki.

Dawid słyszy zapowiedź że tym, który zbuduje świątynię, będzie jego syn. Ten syn ma na imię Salomon. I przyjdzie na świat w okolicznościach, o których za chwilę — bo jeszcze go na świecie nie ma. Bóg wzywa Dawida do wierności, do zawierzenia, do zaufania. Powiada: «Chcesz Mi zbudować dom? Nie, nie ty! Ten dom dla Mnie zbuduje twój syn. Ale Ja zbuduję tobie dom, tzn. utwierdzą twoich potomków, utwierdzą twoją dynastię». Człowiek chce się odwzajemnić Bogu. Bóg przyjmuje tę wdzięczność ale urzeczywistnia na taki sposób, o którym On sam postanowił. My chcemy dziękować Panu Bogu po swojemu a czasami okazuje się, że Bóg przyjmuje to dziękczynienie, ale jednocześnie je odmienia. Że powołuje nas do czegoś nowego i wzniosłego. Zauważmy: Bóg wspierał Dawida, Bóg prowadził Dawida. Bóg utwierdził Dawida w jego królowaniu, ale świątyni od niego nie chce. Chce, by świątynię zbudował jego syn. Ileż razy dociekano dlaczego tak się stało! Mówiono że może dlatego, że Dawid prowadził wiele wojen, że przelał wiele krwi. Że ci, którzy prowadzą wojny, nie mogą jednocześnie budować sanktuarium. Włączenie się w wojnę pociąga za sobą bardzo radykalne skutki. Może dlatego — może z innych względów. Ale cały ten epizod kończą słowa:

On zbuduje dom imieniu memu, a Ja utwierdzą tron jego królestwa na wieki. Ja będę mu ojcem, a on będzie Mi synem, a jeżeli zawini, będę go karmił różgą ludzi i ciosami synów ludzkich. Lecz nie cofnę od niego mojej życzliwości, jak ją cofnąłem od Saula, twego poprzednika, którego opuściłem. Przede Mną dom twój i twoje królestwo będzie trwać na wieki. Twój tron będzie utwierdzony na wieki».

Dawid, którego Bóg powołał jako pasterza i który chce odwzajemnić się Bogu wybudowaniem świątyni, wybudowaniem domu, dowiadyuje się, że świątynię wybuduje jego syn. Natomiast Bóg zbuduje mu dom w postaci trwałej dynastii, trwałych potomków, którzy od niego będą się wywodzić. I

że spośród tych potomków będzie wywodził się ktoś absolutnie szczególny. Od tej pory pojawia się w biblijnym Izraelu tzw. *idea mesjańska*, tzn. oczekiwanie na nowego Bożego pomazańca, oczekiwanie na nowego Dawida, na kogoś, kto spełni obietnicę daną Dawidowi. Od tego momentu na tysiąc lat przed Chr. z potomkami Dawida związana jest szczególna obietnica niezwyklej obecności Bożej, niezwyklej bliskości Bożej. Jeszcze nie wiemy wszystkiego. I tamci Izraelici nie wiedzieli wszystkiego. To jest tak, jak małeńki płomyk, który później będzie stawał się coraz większym ogniem. Ale pojawia się jakaś nadzieja, że skoro Bóg wziął sprawy w swoje ręce powołując Dawida, to nie tylko o doczesne królestwo chodzi. Ale chodzi o to, żeby w tym ludzkim świecie budować coś, co jest prawdziwie Boże, i co stanie się przejawem niezwyklej Bożej obecności. Ta postać zapowiadana tutaj otrzyma w nieco późniejszej tradycji nazwę *Mesjasz*. I od tej pory Izraelici będą dochodzili tego, kto będzie tym Mesjaszem, i jaki ów Mesjasz będzie. I ta obietnica mesjańska od tej pory związana jest nierozdzielnie z Betlejem. Mianowicie wierzone w biblijnym Izraelu że ten, który przyjdzie, którego Bóg w szczególny sposób namaści, ten nowy Dawid, przyjdzie na świat właśnie w Betlejem.

Wrócimy jeszcze zapewne do tych mesjańskich oczekiwań i do powołania z nim związanego. Musimy jeszcze pokrótce omówić jeden szczegół. Bo w życiu ludzi powołanych przez Boga nie brakuje radykalnych paradoksów. Otóż ten paradoks dotyczy także króla Dawida. Został powołany jako pasterz, i to biedny, najmłodszy w rodzinie, ósmy z kolei chłopiec — być może były jeszcze dziewczynki. Doświadczył Bożej obecności, Bożej pomocy i Bożego poparcia, chciał okazać Panu Bogu wdzięczność, otrzymuje od Boga więcej, niż chciał Bogu dać — tak zawsze jest w naszych relacjach z Bogiem. Bóg zawsze daje nam więcej, niż jesteśmy w stanie przyjąć. Bóg zawsze udziela nam więcej, niż jesteśmy w stanie Go prosić. Ale nie zawsze, jak dowodzi tego również przykład Dawida, robi to tak, jak my to sobie wyobrażamy. Czyni to nie tak, jak my byśmy chcieli, odpowiada na swój własny sposób. I cała mądrość wiary polega na tym, żeby przyjąć Boga nie takiego, na jakim działanie chcielibyśmy wymusić, ale takiego, jaki rzeczywiście się nam udziela. Więc Dawid tego wszystkiego doświadczył. Można by powiedzieć: okazuje się wielkim mężem wiary, zaufania, wielkim bohaterem wiary — ale i w życiu Dawida pojawia się słabość. Państwo doskonale znają to opowiadanie zamieszczone w 11 rozdziale Drugiej Księgi Samuela, opowiadanie o Dawidzie i Batszebie. Opowiadanie które po tym, co powiedzieliśmy, nabiera szczególnego znaczenia — bo rozważmy je tylko pod tym kątem. Otóż Dawid otrzymał obietnicę trwałej dynastii, która od niego się będzie wywodziła. Miał już dzieci ze swoją żoną pierwszą i drugą. Ale okazało się, że Boża obietnica była związana z tym, który miał przyjść dopiero na świat, i przyszedł na świat w okolicznościach niezwyklej. Mianowicie pewnego dnia król Dawid zobaczył ze swego pałacu na dachu kąpiącą się kobietę. Oczywiście musimy to wyobrazić sobie w realiach bliskowschodnich, bo tam dachy wyglądają zupełnie inaczej, niż u nas, i służą m.in. do tych właśnie celów. Otóż sprowadził ją do siebie, bardzo mu się podobała. Miała na imię Batszeba. Jedną była tylko trudność, za to przeogromna — mianowicie była żoną Uriasza. A Uriasz był Chetytą czyli przynależał do zupełnie innego ludu, i był żołnierzem, który w tym czasie pełnił służbę żołnierską w Ammanie, oblegał Amman. To jest dzisiejsza stolica Jordanii, mniej więcej 60 km od Jerozolimy. Otóż Dawid nie przejmował się tym wszystkimi — nazwijmy je w cudzysłowie „szczegółami” — skorzystał z obecności pięknej Batszeby więcej, niż mógł sobie na to pozwolić. A ona pewnego dnia przysłała mu wiadomość, że oto spodziewa się dziecka. Takich sytuacji w każdym pokoleniu są tysiące, a w pokoleniach, które już są za nami, były z pewnością miliony. I o takich sytuacjach się dowiadujemy wcześniej czy później wielokrotnie. Nie to jest w tym wszystkim najważniejsze. Najważniejsze jest to, że Dawid zachował się w tym momencie nie jak władca, który powinien mieć swój honor, swoją ambicję, swoją godność, ale jak ktoś podły i jak najwyższej miary tchórz. Mianowicie polecił ściągnąć do siebie Uriasza, który przybył z Ammanu, ugościł go, a następnie powiada: «Idź do swojej żony, do swojego domu». Uriasz odmówił Dawidowi. Powiedział: «Nie mogę pójść do swojego domu i cieszyć się obecnością z żoną wtedy, kiedy moi żołnierze są na froncie». Takie było starożytne prawo wojny. Więc nie poszedł. Na drugi dzień Dawid próbuje tego samego fortelu. Ale Uriasz też nie udał się do swojego domu. Na trzeci dzień Dawid postanowił go upić — ale przesadził, i cały fortel się nie udał, nie powiódł. Widząc, że te zabiegi są na nic, posunął się jeszcze dalej. Państwo doskonale wiedzą, na czym jego plan polegał. Jeżeli Uriasz wróciłby do swojego domu i dowiedział się za jakiś czas, że jego żona spodziewa się dziecka, to przyszedłoby na świat, a mówiąc tutaj takim

ludzkim językiem Uriasz byłby przekonany, że to wcześniak. Na tym sprawa by się tak czy inaczej zakończyła, bo w interesie Batszeby też nie była zbyt szczerą pod tym względem. Ale fortel się nie powiódł, więc Dawid posunął się do zła znacznie większego. Dał Uriaszowi list w kopercie — pewnie tak, jak to pisano w starożytności: glinianej. A list był adresowany do jego dowódcy. Napisał w tym liście, że człowieka, który odda ci ten list, postaw w najgorętszym polu bitwy. I tak się stało. Uriasz zawiódł do Ammanu wyrok śmierci na siebie. Przekazał ten list swojemu dowódcy, dowódca przeczytał i bardzo szybko postawił Uriasza w najbardziej niebezpiecznym miejscu tej bitwy. Uriasz zginął.

I wtedy Dawid posuwa się do nowego fortelu. Tego mianowicie, że ściąga młodą wdowę do siebie. W ten sposób uchodzi za opiekuna wdów poległych żołnierzy. W ten sposób dziecko, które ma się urodzić, będzie postrzegane jako dziecko Uriasza, a on jako opiekun wdowy, która opłakuje swojego męża. Trzeba powiedzieć, że intryga została bardzo sprytnie obmyślana. Ale państwo popatrzą: kto to wszystko obmyślił? Człowiek powołany przez Boga, uzdolniony przez Boga, prowadzony przez Boga. Człowiek, który chciał się Bogu odwdziżyć, i jednocześnie człowiek, który otrzymał Bożą zapowiedź trwałości swojej dynastii. Zwróćmy uwagę, że granica między dobrem i złem nie przebiega między ludźmi. Granica między dobrem i złem przebiega w każdym człowieku. I że czasami jest tak że to, co złe, co mroczne, wychodzi także w tych, którzy są dobrzy.

Ale gdyby to był koniec tego opowiadania, to konkluzja byłaby również zbyt prosta, chociaż w pewnym sensie dramatyczna. Kiedy Dawidowi wydaje się, że wszystko mu się, po ludzku mówiąc, powiodło, że cały fortel się udał, wtedy:

Pan posłał do Dawida [proroka] Natana.

tego samego, do którego zwrócił się w sprawie budowy świątyni.

Ten przybył do niego i powiedział: W pewnym mieście było dwóch ludzi,
jeden był bogaczem, a drugi biedakiem.
Bogacz miał owce i wielką liczbę bydła,
biedak nie miał nic, prócz jednej małej owieczki, którą nabył.
On ją karmił i wyrosła przy nim wraz z jego dziećmi,
jadła jego chleb i piła z jego kubka,
spała u jego boku i była dla niego jak córka.
Raz przyszedł gość do bogacza,
lecz jemu żal było brać coś z owiec i własnego bydła,
czym mógłby posłużyć podróżnemu, który do niego zawitał.
Więc zabrał owieczkę owemu biednemu mężowi
i tę przygotował człowiekowi, co przybył do niego».

Dawid oburzył się bardzo na tego człowieka i powiedział do Natana: «Na życie Pana, człowiek, który tego dokonał, jest winien śmierci. Nagrodzi on za owieczkę w czwórna-sób, gdyż dopuścił się czynu bez miłosierdzia». Natan oświadczył Dawidowi: «Ty jesteś tym człowiekiem.

Gdyby Natan przybył i upomniał Dawida wyliczając mu jego podłości otwarcie, prawdopodobnie nie zdążyłyby wyjść z królewskiej komnaty, bo wywołałyby nową furię, gniew, i zło ze strony króla. Ale opowiedział królowi przypowieść. Opowiedział królowi przypowieść tak, jak później przypowieści opowiadał Pan Jezus. I słuchając tej przypowieści Dawid sam wydał wyrok na siebie. Do tego stopnia, że usłyszał: „To ty jesteś tym człowiekiem.” I dalej:

To mówi Pan, Bóg Izraela: Ja namaściłem cię na króla nad Izraelem. Ja uwolniłem cię z rąk Saula. Dałem ci dom twojego pana, a żony twego pana na twoje łono, oddałem ci dom Izraela i Judy, a gdyby i tego było za mało, dodałbym ci jeszcze więcej. Czemu zlekceważyłeś słowo Pana, popełniając to, co złe w Jego oczach? Zabiłeś mieczem Chetytę Uriasza, a jego żonę wzięłeś sobie za małżonkę. [...] Dlatego właśnie miecz nie oddali się od domu twojego na wieki, albowiem Mnie zlekceważyłeś,

Tak widać dramat powołanego, i widać jednocześnie wielką pedagogię Boga i pedagogię tych, którzy byli mężami Bożymi w czasach Dawida — tutaj pedagogię Natana. Wkrótce na świat przyszło dziecko Dawida i Batszeby. To, które było, można by powiedzieć, punktem wyjścia całego tego konfliktu. To dziecko zmarło wkrótce po urodzeniu. Dawid przeżywał to bardzo. Ale polecił zostawić Batszebę przy sobie, odsunął wszystkie inne kobiety, i na świat przyszło ich drugie dziecko. To dziecko miało na imię Salomon. I to właśnie z tym drugim dzieckiem, zrodzonym z Dawida i Batszeby, związana była realizacja obietnicy, która ziściła się właśnie przez Salomona. Przedziwne są drogi Boże — bo państwo zauważą, że nawet to, co złe, nawet występki, został w przedziwny sposób włączony w Boży plan zbawienia. Nie dlatego, iżby Bóg go chciał. Tylko dlatego, że nawet krzywe drogi Bóg postanowił uczynić prostymi. Otóż to dziecko zrodzone z ich związku stało się następcą Dawida, stało się synonimem, symbolem wielkiej mądrości. I wybudował Salomon w Jerozolimie świątynię. Była to tzw. pierwsza świątynia. Wybudował ją około r. 950 przed Chr., i przetrwała do r. 587 przed Chr., czyli prawie 400 lat, do czasu, kiedy została zburzona przez Babilończyków. Przedziwne są te losy. Oczekiwalibyśmy, że Pan Bóg będzie działał w sposób bardziej klarowny, można by powiedzieć: zgodnie z naszymi ludzkimi oczekiwaniami i przyzwyczajeniami. Ale tutaj jest inaczej.

Mało tego — kiedy państwo sięgną do Ewangelii św. Mateusza, to na samym początku Ewangelii jest rodowód. I tam jest wyliczone trzy razy po czternaście pokoleń. Ta liczba czternaście, jak wyjaśnialiśmy przy innej okazji, ma wartość symboliczną, bo alfabet hebrajski zapisuje litery i zapisuje jednocześnie cyfry. Otóż ta liczba czternaście ma wartość symboliczną — można napisać po hebrajsku czternaście, ale można to przeczytać także *Dawid*. A więc na początku Ewangelii św. Mateusza trzy razy mówi się: Dawid – Dawid – Dawid. Jezus jest potomkiem Dawida. A wśród tych męskich potomków są cztery kobiety za ledwie. I wśród nich Batszeba, ta, o której przed chwilą mówiliśmy. Otóż Bóg związał swoje losy z ludźmi do tego stopnia, że nawet występki, wykroczenia, grzechy stały się częścią Jego planu. Mocą Bożą jest to, że nawet z tego, co słabe, gnuśne i złe, potrafi wyprowadzić Pan Bóg dobro. My tego nie bylibyśmy w stanie uczynić, ale Pan Bóg — tak.

Po tym wydarzeniu, po tych odwiedzinach Natana, Dawid bardzo się zmienił. Żałował, a według tradycji biblijnej śladem jego żalu, który znamy po dzień dzisiejszy i odmawiamy, jest Psalm Pięćdziesiąty:

Zmiłuj się nade mną, Boże, w swojej łaskawości,
w ogromie swego miłosierdzia wymaż moją nieprawość!
Obmyj mnie zupełnie z mojej winy
i oczyść mnie z grzechu mego!

Uznaję bowiem moją nieprawość,
a grzech mój jest zawsze przede mną. Tylko przeciw Tobie zgrzeszyłem
i uczyniłem, co złe jest przed Tobą,

Psalm Pięćdziesiąty to jest psalm wszystkich pokutujących ludzi. Dawid przedstawiany jest później jako wielki pokutnik. Zatem przedziwne są, jak widać, drogi ludzkie i drogi Boże. I my dzisiaj, kiedy patrzymy na losy ludzi — to bardzo często jedno i drugie, dobro i to, co dobrem nie jest, jakby koegzystuje, współistnieje obok siebie. I to, co po ludzku wydaje się przegrane, z Bożej perspektywy może okazać się w jakimś sensie zwycięstwem.

Tyle na temat Dawida, jego powołania i skutków. Na następną konferencję zapraszam państwa bardzo serdecznie 15 lutego, tj. trzeci poniedziałek lutego. Przejdziemy do następnej powołanej postaci. Bardzo serdecznie dziękuję, i do zobaczenia w lutym.

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

5 Powołanie Izajasza (15 lutego 2010)

Pochwalony Jezus Chrystus ... Dobry wieczór państwu. Bardzo chciałbym żebyśmy na początku pomodlili się za panią, ś.p., która przez ostatnie lata brała udział w naszych konferencjach. A ja mam wobec niej szczególne zobowiązanie, mianowicie była moją nauczycielką języka polskiego i kiedyś jeszcze wychowawczynią w czasach, kiedy byłem młody i ona też była dużo młodsza. Między tą ostatnią konferencją a tą obecną odeszła do Pana Boga. Cierpiała w okresie Bożego Narodzenia, w okresie Nowego Roku — ś.p. Anna Górka. I chciałbym prosić o wspólną modlitwę w jej intencji bo kiedy patrzę na państwa, to jest mi ciągle w oczach, tym więcej, że znałem ją będąc jeszcze kilkunastoletnim chłopcem. W Imię Ojca ... Ojciec nasz ... Zdrowaś Maryjo ... I za ś.p. panią Annę i za wszystkich, zwłaszcza tych, którzy tutaj byli razem z nami, z którymi razem się modliliśmy: Wieczny odpoczynek ...

Witam państwa bardzo serdecznie. Witam tym cieplej, tym goręcej, że na dworze ciągle zima. I od ostatniej naszej konferencji niewiele się zmieniło. Dlatego tym większa wdzięczność, tym większa radość i tym większy podziw wobec państwa, że ciągle znajdujecie czas i siły na to, żeby zastanawiać się nad mocą, nad pięknem, nad bogactwem, nad głębią Słowa Bożego. Zanim przejdziemy do konkretnego dzisiejszego tematu chciałbym państwu powiedzieć coś, co być może nie brzmi jako szczególnie świąteczne, ale w moim prowadzeniu tych konferencji biblijnych jest niezwykle ważne. Mianowicie ile razy przygotowuję się, czy najpierw wybieram temat, obmyślam temat, a następnie przygotowuję jakiś schemat oraz to, co mamy wspólnie rozważać, to tyle razy, i coraz głębiej — także im dłużej mamy razem wspólnie do czynienia ze sobą — coraz głębiej podziwiam to, że Słowa Boże z tak odległej przeszłości ciągle dla nas coś znaczą. Że to wszystko, co zostało utrwalone na piśmie, i te przeżycia, które stały się udziałem wielkich bohaterów biblijnych tak bardzo dawno temu, potrafią nas poruszyć, potrafią nas zmobilizować, a przede wszystkim dotyczą tak różnych, i głębokich, i ważnych dziedzin i aspektów naszego życia, że możemy się tylko dziwić jak to było możliwe, że tak dawno temu te przeżycia wewnętrzne owych ludzi były równie głębokie i równie intensywne, jak nasze.

Dzisiaj chcemy cofnąć się 2700 lat. Bohaterem naszego dzisiejszego spotkania będzie prorok Izajasz. Nigdy jeszcze na naszych konferencjach nie rozważaliśmy tego tekstu, aczkolwiek kilkanaście lat temu omawiając wielkich bohaterów wiary wspominaliśmy Izajasza, bo nie sposób zrozumieć Starego Testamentu i go przeżywać bez tego wielkiego proroka. A dzisiaj tak, jak na poprzednich konferencjach, skupimy się na jednym krótkim tekście, który dotyczy jego powołania, opowiada o niezwykłym powołaniu tego proroka. I myślę, że jeżeli bierzemy udział w tych konferencjach, jeżeli je przeżywamy, zastanawiamy się nad nimi, to myślę że wśród tych bohaterów wiary i w nich samych rozpoznajemy bardzo wiele z tego, co jest w nas. Myślę, że są wśród nas tacy, którzy doświadczyli mniej więcej tej samej przygody wiary, co Abraham, o którym mówiliśmy kilka miesięcy temu. I ta ciemna noc Abrahama była udziałem niejednej i niejednego spośród nas. Myślę, że była w nas niepewność Mojżesza i później jego siła, która nakazała mu i pozwoliła mu wyprowadzić Izraelitów z niewoli egipskiej. Myślę, że kiedy kilka tygodni temu na ostatniej konferencji rozważaliśmy postać Dawida, widzieliśmy jak przedziwnymi drogami Bóg człowieka prowadzi, jak wybiera go z pastwiska spośród owiec by go uczynić królem — a i to nie może się doczekać z jego strony wierności. Bo mówiliśmy o tym że Dawid, chociaż wezwany i powołany, to nie stronił jednak od tego, co słabe i grzeszne. I to jest udziałem również i naszym.

A dzisiaj skupimy się na postaci proroka, który ze wszech miar jest dziwny, ze wszech miar powołanie jest trudne. I tak myślę sobie, że gdybyśmy nie przepuścili tego tekstu przez filtr swojej własnej wyobraźni i wrażliwości, nie próbowali go sobie jakoś wyobrazić i przeżyć, to byłby on dla nas niezrozumiały. Spodziewam się, że jeżeli ktoś z państwa brał do ręki Stary Testament i czytał go tak rozdział po rozdziale, i natrafił na ten tekst, to był tym tekstem, tym opowiadaniem zdziwiony. Więc przejdźmy po kolei.

Rzecz dzieje się w roku 740 przed Chr. Skąd my to wiemy? Wiemy to, bo mamy o tym informację w samej księdze, w 6 rozdziale Księgi Izajasza, którą za chwilę zaczniemy fragment po fragmencie czytać. Otóż ten opis powołania jest wręcz mistyczny, bardzo duchowy. Jeżeli ktoś nie patrzy w sposób duchowy, to go nie zrozumie. Nie można go interpretować tylko w kategoriach psychologii czy psychoanalizy, bo on ma w sobie coś mistycznego. Myślę że każdy z nas chyba ma w sobie jakąś

iskrę, która go pociąga ku temu, co duchowe i co mistyczne. Można by powiedzieć że to, co duchowe i co mistyczne, jest jakimś okruczem, takim odbłaskiem wieczności, wiekuistości. Że jeżeli czasami przeżywamy takie chwile, które nas poruszają, mamy w sobie głód który jest znacznie głębszy, niż głód i potrzeba codziennej pobożności. Jeżeli jest w nas jakieś takie poruszenie, już nawet nie serca, nie rozumu, ale gdzieś tam samego jestestwa, w samym środku, że odczuwamy coś takiego tajemniczego — to myślę że to jest tak, jak gdybyśmy odkryli przed sobą rąbek wieczności. Tej wieczności, którą zwykliśmy nazywać niebem i patrzeć w górę. I my też dzisiaj za chwilę odkryjemy taki rąbek wieczności, ale to świadectwo, podkreślam, pochodzi z okresu 2700 lat temu, z okresu bardzo dawnego. Czy nie może nas dziwić to, że ten tekst został zapisany, był cierpliwie przepisywany, był rozważany, komentowany, i dotarł do naszych czasów tak, że mamy go obwarowany rozmaitymi zastrzeżeniami, które miały uniemożliwić jakiegokolwiek poprawki, jakiegokolwiek zmiany, miały przekazać to doświadczenie wiary tak, jak ono się rozwijało.

I ten nacisk na historyczne osadzenie tej wizji jest bardzo ważny. Jeszcze tylko dwa słowa na temat ówczesnego obrazu świata — pewnie nieraz o tym wspominaliśmy, ale dzisiaj raz jeszcze. My znacznie lepiej znamy IX, VIII, VII wiek przed Chr. na terenie Syropalestyny, czyli na terenie Bliskiego Wschodu, niż IX, X, XI wiek po Chr. na naszych ziemiach, nad Wisłą czy nad Narwią, nad Bugiem czy nad Wartą. To jest przedziwny paradoks historii. Tam, 2700 lat temu, sprawy znamy z dokładnością, z chronologią która pozwala nieraz ustalić bieg wydarzeń co do miesiący. Natomiast jeżeli chodzi o nasze ziemie sprzed lat 1000, 900 czy 800, to tak na dobre Polska weszła do rodziny krajów, które mają udokumentowaną historię, dopiero w wieku XIV, a tak naprawdę to dopiero w wieku XV, czyli mniej więcej od czasów Jagiellonów. To jest przedziwne. I każdy, kto bierze do ręki Pismo Święte, wchodzi w zupełnie inny świat. I tutaj mamy do czynienia z paradoksem, który nie zawsze sobie uświadamiamy i który nie zawsze rozumiemy. A paradoks na tym polega że my, jeżeli jesteśmy dobrymi chrześcijanami, jeżeli sięgamy po Pismo Święte, jeżeli słuchamy Pisma Świętego choćby w kościele, to my lepiej znamy historię biblijnego Izraela niż historię Polski. To bardziej nas ciągnie do podróżowania po Ziemi Świętej, niż do podróżowania po własnej ziemi — co, dodajmy, nie jest sprawą normalną ani zwyczajną. Dlatego, że umiłowanie własnej ziemi powinno być czymś, co jest chronologicznie i logicznie pierwsze. Proszę popatrzeć — dzieci które przygotowują się do pierwszej komunii św., mają lat 8 - 9, poznają wielkie postacie Starego Testamentu, słyszą: Abraham, słyszą: Mojżesz, słyszą: Dawid, słyszą: Salomon, słyszą: Jerozolima, słyszą: Ziemia Święta, słyszą: Jezioro Genezaret, Pan Jezus, św. Piotr. A historii Polski zacząć się uczyć dopiero dwa lata później, a klasie czwartej, piątej. Dopiero później poznają historię własnej ojczyzny. To jest ten swoisty paradoks, który nam pokazuje, że być chrześcijaninem oznacza również mieć swoje duchowe korzenie właśnie tam, gdzie Bóg w szczególny sposób zadziałał.

I dzisiaj to Boże działanie zobaczymy na przykładzie fragmentu, który opowiada o powołaniu Izajasza. Czas, do którego ten fragment się odnosi, to był okres panowania asyryjskiego. Dzisiaj mówi się, że być może spadkobiercami dalekimi Asyryjczyków są Kurdowie. Wiemy że to ludność, która mieszka na północy Iraku i południu Turcji, właściwie pozbawiona swojej ojczyzny, tacy Cyganie Bliskiego Wschodu którzy bardzo tej ojczyzny chcą. I właściwie kłopoty, które były i nadal są na terenie Iraku i południowej Turcji, mają związek z tym, że Kurdowie dążą do stworzenia własnej ojczyzny, która roboczo nazywa się Kurdystanem. A gdy Żydzi odzyskali własną ojczyznę po 1948 roku, to i ambicje Kurdów odżyły. I odżyły teraz, w latach 90- i 2000-.

Asyria w owym czasie była potęgą, która rozciągała się od morza do morza. A to morze to była Zatoka Perska i Morze Śródziemne. Mogą sobie państwo wyobrazić mając gdzieś w głowie atlas — cały rejon od Zatoki Perskiej przez Irak, przez dzisiejszą południową Turcję, aż do Morza Śródziemnego, właściwie po Cypr. To wszystko podlegało pod imperium asyryjskie. I w tym okresie, o którym mówimy, Asyryjczycy zaczęli podejmować coraz wyraźniejszą konfrontację z Egiptem. Zachciało się im przede wszystkim na południe, nad Nil. A po drodze była Palestyna. W Palestynie były dwa królestwa, królestwo Izraela na północy ze stolicą w Samarii, i królestwo Judy na południu ze stolicą w Jerozolimie. Żeby więc uporać się z Egiptem trzeba było najpierw uporać się z Jerozolimą i z Samarią. I w tym burzliwym okresie przychodzi na świat, gdzieś ok. roku 755, [Yesha'yahu], bo takie było jego imię hebrajskie. [Yesha'yahu] znaczy po polsku *Pan ocala, Pan zbawia*. Jest to tzw. imię teoforyczne czyli takie, które ma w sobie pierwiastek Imienia Bożego tak, jak po polsku Boży-dar, Bogu-sław, Bogu-miła albo Krzysztof — od Christo-foros czyli *Niosący Chrystusa*. Tak

i Yesha'yahu jest imieniem teoforycznym, a więc imieniem, które nadali mu rodzice, którzy z całą pewnością byli ludźmi głęboko religijnymi. Mówi się, że miał związek z dworem królewskim, a więc z dworem potomków Dawida i Salomona. I musiał mieć także związek ze świątynią. Kiedy miał kilkanaście lat, był wtedy jeszcze chłopcem, nieżonatym — bo później się ożenił i miał dwóch synów, o których mowa jest w 7 rozdziale Księgi Izajasza — zanim jednak założył rodzinę przeżył to, co chcemy dzisiaj sobie przeczytać i próbować zrozumieć. Czytamy tak (Iz 6, 1):

W roku śmierci króla Ozjasza ujrzałem Pana siedzącego na wysokim i wyniosłym tronie,
a tren Jego szaty wypełniał świątynię.

Każde słowo tu jest ważne. „W roku śmierci króla Ozjasza” — ten król Ozjasz miał hebrajskie imię Azariasz i rządził w ówczesnym Izraelu, w Jerozolimie, lat 30. Trzydzieści lat jak na starożytny okres to było bardzo dużo. Nic zatem dziwnego że gdy umarł król Ozjasz, to tę datę dobrze pamiętano. Otóż właśnie śmierć Ozjasza, rok, w którym umarł Ozjasz, stała się jakby punktem odniesienia dla biografii i dla autobiografii. Nawiasem mówiąc — spróbujmy przeprowadzić pewne drobne doświadczenie, dające sporo do myślenia. Czy jest w Polsce zwyczaj żeby mówić, że coś wydarzyło się w roku śmierci Jana Pawła II? Nie, nie mówimy w ten sposób. Więcej nawet, gdyby wyjść na ulicę i zapytać: w którym roku zmarł Jan Paweł II, myślę że odpowiedzi wcale nie byłyby takie oczywiste ani wcale nie byłyby wszystkie poprawne. Otóż nie przykładamy wagi do pamięci. Nie przykładamy wagi do pamięci o rzeczach, które są absolutnie ważne i priorytetowe. Nie przychodzi nam do głowy to, żeby cenić tych, którzy są wielkimi autorytetami i którzy stanowią takie kamienie milowe historii. Nie ulega żadnej wątpliwości, że z polskiej perspektywy czas wyboru i czas śmierci Jana Pawła II to są takie filary, słupy graniczne. Ale o tym się nie mówi, to jest spychane w zbiorowej pamięci. I dochodzi do tego, że za lat kilka czy kilkanaście mogą być z tym równe problemy, jak z ustaleniem ram chronologicznych, biograficznych innych wielkich postaci. Takim wielkim przegrany naszej najnowszej historii jest kardynał Stefan Wyszyński. Myślę, że gdyby zapytać o rok śmierci kardynała Stefana Wyszyńskiego, mielibyśmy z tym przeogromne kłopoty — niekoniecznie my, ale przeciętny Polak z całą pewnością. Otóż zamilowanie, znajomość tego wszystkiego, co ważne we własnej historii, jest niezwykle ważna.

I tu mamy: „W roku śmierci króla Ozjasza”. A więc ten rok śmierci króla Ozjasza był dla jego współczesnych czymś bardzo ważnym. A my wiemy, że po trzydziestoletnim panowaniu zmarł w roku 740 przed Chr. A więc rzecz dzieje się w tymże 740 roku przed Chr. I wtedy właśnie Izajasz wspomina, a tę część jego księgi zwykło się nazywać pamiętnikiem, zwykło się nazywać autobiografią, bo ma wszystkie elementy pisarstwa autobiograficznego, on z detalami opisuje, co przeżył i to, co go dotyczy. Więc nawet najbardziej surowi komentatorzy jego księgi nie mają wątpliwości, że jest to część autobiograficzna.

Izajasz wspomina że „ujrzałem Pana zasiadającego na wysokim i wyniosłym tronie”. Jest to wizja. My nigdy nie będziemy do końca wiedzieli co to znaczy wizja, bo to jest doświadczenie głęboko duchowe, ale jednocześnie głęboko rzeczywiste. Ci, którzy są obok, mogą nie widzieć niczego. Ale znakiem wizji, świadectwem wizji są jej skutki zewnętrzne. Takim przykładem wizji najbardziej znanej w Nowym Testamencie to jest oczywiście przemiana prześladowcy Saula w gorliwego Pawła pod Damazkiem. Otóż to, co się stało z tym człowiekiem, miało bezsprzecznie radykalny wpływ na całe jego życie. To samo dotyczyło np. wizjonerek i wizjonera z Fatimy. Kiedy Najświętsza Maryja Panna objawiła się im w kontekście rewolucji bolszewickiej — będziemy się teraz przygotowywać do setnej rocznicy tych objawień fatimskich, nie wszyscy oczywiście doczekamy, bo to jeszcze siedem lat — ta wizja była czymś tak realistycznym, czymś tak realnym, że ta trójka dzieci, które doświadczyły obecności Najświętszej Maryi Panny, wstąpiła do klasztoru i dokończyła swojego życia w klasztorze. A więc wizja to jest coś takiego, co radykalnie, gwałtownie człowieka przemienia. I możemy tylko o szczegółach tej wizji wiedzieć od tego, który chce się z nami tymi szczegółami podzielić.

Izajasz powiada, że widział Pana. Ale Boga nikt nigdy nie widział. Więc i Izajasz też Go nie widział tak, jak moglibyśmy sobie wyobrazić Boga jako człowieka. A to, czego możemy się domyślać, brzmi tak. Ten, którego widzi Izajasz, zasiada na wysokim i wyniosłym tronie. Bóg jako król. Ale proszę zauważyć — Bóg nie objawia się Izajaszowi jako król Izraela, tylko objawia się Izajaszowi jako król całego świata, jako Pan wszelkiego stworzenia. Otóż Bóg wybrał Izraela, ileż razy o tym mówiliśmy, ale wybrał go nie ze względu na nich samych, tylko ze względu na dobro całej ludzkości.

Otóż to wybranie Izraelitów ma charakter powszechny, ono jest ukierunkowane ku duchowemu dobru wszystkich. Bóg na kartach Starego Testamentu bardzo często jest nazywany Bogiem Izraela — ale jest jednocześnie Bogiem wszystkiego, co żyje, i całego świata. Więc Bóg jest na tronie. Prorok widzi tylko skraj Jego szaty:

a tren Jego szaty wypełniał świątynię.

czyli sama końcówka Jego szaty, szaty jakby Bożej, napelniała całą świątynię. Musimy tu popuścić wodze wyobraźni i powiedzieć sobie tak. Jak wyglądała świątynia jerozolimska? Otóż świątynia jerozolimska miała mniej więcej taką wielkość jak ten kościół, w którym teraz jesteśmy. Więc nie była to jakoś bardzo okazała budowla. Podzielona była na trzy części. Te trzy części nazywały się po hebrajsku [ulam], [hekal], [debir]. Po polsku można by powiedzieć tak: przedsionek, miejsce święte, i miejsce najświętsze. W gruncie rzeczy taki schemat miały kościoły, świątynie, budowane aż do XX wieku. Kiedy pójdziecie do starszego kościoła niż te, budowane po II wojnie światowej, to one mają zawsze pewną ustaloną strukturę. Mianowicie one są zazwyczaj na planie zbliżonym do prostokąta. One zazwyczaj były zorientowane na wschód i co więcej, podzielone są na trzy części: przedsionek czyli kruchta, do której wchodzimy, wycieramy nogi, są jakieś ogłoszenia. Potem główna część, miejsce święte, tam, gdzie modlimy się. I wreszcie trzecia, najważniejsza część, miejsce najświętsze czyli prezbiterium. Tam, gdzie stoi ołtarz i tam, gdzie dokonują się święte tajemnice wiary. Zwróćmy więc uwagę, że architektura sakralna opiera się na modelu świątyni jerozolimskiej, te trzy części są zachowane. Mówię, że sytuacja zmieniła się wtedy, kiedy wybuchł taki boom w PRL-u i trochę później, zaczęto budować kościoły na rozmaitych planach. Także ten, w którym jesteśmy, jest zbudowany na odmiennym planie. To wyróżnienie istnieje między miejscem świętym i najświętszym. No, też jest kawałek przedsionka, ale to nie jest tak mocno widoczne, jak to było widoczne w tradycyjnych kościołach. Tradycyjne kościoły ten wzór miały.

Izajasz udał się do świątyni. Zwróćmy uwagę w której części świątyni on jest — on jest tam, moglibyśmy powiedzieć, gdzie stoją wierni, w miejscu świętym. Natomiast przed sobą ma miejsce najświętsze. I to miejsce najświętsze jest wypełnione Bogiem, którego on w swojej wizji ogląda. Tylko widać jakby skraj szaty Boga, skraj królewskiego płaszcza, albo skraj płaszcza kapłańskiego. Bóg objawia mu się jako król, i Bóg objawia mu się jako kapłan. Ale oczywiście Bóg nie jest ani królem, ani kapłanem w ludzkim rozumieniu tego słowa. Nie widzi postaci, widzi tylko skraj Jego szaty. To bardzo ważne, bo Boga nikt nigdy nie oglądał. Nawet w wizji jest to niemożliwe. I czytamy dalej:

Serafiny stały ponad Nim; każdy z nich miał po sześć skrzydeł; dwoma zakrywał swą twarz, dwoma okrywał swoje nogi, a dwoma latał.

Przedziwny obraz, który oczywiście dał początek naszej angelologii i wyobrażeniom aniołów. Ta nazwa „serafini” występuje w Piśmie Świętym raz jeden tylko, i pochodzi od hebrajskiego czasownika [tzaraf] tzn. *rozpalać, palić, być gorącym*. Otóż serafini to jakieś istoty gorące, istoty ogniste wręcz, jak błyskawica. Ale Izajasz powiada, że te istoty, których nie może inaczej nazwać jak serafini, czyli tacy palący, gorący, jawią mu się, przedstawiają mu się jako istoty, które mają po sześć skrzydeł: dwoma zakrywają twarze, dwoma nogi, dwoma latają. To obraz, ale ten obraz przeniknął do naszej wyobraźni. Tak właśnie wyobrażamy sobie aniołów. Odejmujemy im cztery skrzydła, jako mniej potrzebne, i zostawiamy dwa. I w ten sposób to wyobrażenie aniołów nam pozostało. Pamiętajmy, jeszcze raz państwu podkreślam, to jest wizja, tu się nie da wszystkiego zracjonalizować, próbujemy to sobie wyobrazić i jesteśmy skazani na niepowodzenie. Nie przenikniemy tej tajemnicy. To jest tak, jak ze snem. Jeżeli ktoś z państwa ma bujną wyobraźnię na jawie to zdarza się, że we śnie przychodzą nam na myśl i śnią się nam rzeczy najdziwniejsze które, gdyby połączyć w całość, nawet nie układają się w jakąś logiczną całość, ale jednak jakaś logika tam jest. Wizja ma w sobie coś z takich marzeń sennych, z takiego obrazu, który nie pozwoli się naśladować. I dalej:

I wołał jeden do drugiego:

«Święty, Święty, Święty jest Pan Zastępów.

Cała ziemia pełna jest Jego chwały».

Otóż mamy zatem obraz liturgii niebiańskiej. To, czego doświadcza młody Izajasz, to jest rąbek nieba i tego, co po ludzku mówiąc w bliskości Boga się dzieje. Owi tajemniczy serafini uwielbiają Boga. Ale jak Go uwielbiają? Mówią do Boga „Święty, Święty, Święty”. To słowo *Święty* po hebrajsku brzmi **Kadosz**. I tłumaczone jest po polsku jako *Święty*. Natomiast to trzykrotne **Kadosz, Kadosz, Kadosz** — gdyby się chciało to dokładnie rozumieć, to znaczy po polsku *inny, odmienny, radykalnie inny od tego, kim my jesteśmy i co możemy sobie wyobrazić*. Uwielbiają Boga, który jest radykalnie inny — dlatego niewyobrażalny, dlatego nie do pomyślenia. Dlatego nie da się Go wpisać w ramy i w kategorie tego świata. Rozum musi uznać porażkę, człowiek musi uznać porażkę. Bóg istnieje, to prawda, ale nie jesteśmy w stanie Go ogarnąć, objąć. Może — poszukajmy takiego odważnego obrazu — to byłoby coś takiego, jak widzimy przed sobą bezkresną pustynię, otrzymujemy łyżkę i ktoś nam każe na tę łyżkę tę pustynię włożyć, zebrać. Mówimy, że to jest niemożliwe! Tak, jak stoimy nad morzem, widzimy przed sobą bezkresne morze, dostajemy łyżkę stołową: weź je i zaczerpnij! Otóż to jest absolutnie niemożliwe — chociaż być może jakimś matematykowi może przyjść do głowy, że takie morze to są miliardy miliardów takich właśnie łyżek. Ale to wychodzi poza granice wyobraźni. Daleko bardziej Bóg! Dlatego, że Izajasz pozostając w tym świecie, i zakorzeniony w tym świecie, ogląda tajemnicę. Ale *ogląda* to za dużo powiedziane. Bo ile tam wzroku, to my nie wiemy. On tylko opisuje słowami to, co przeżywał. „Święty, Święty, Święty” znaczy inny, odmienny. Nie myśl o Bogu w kategoriach tego świata. Ale to słowo „Święty” ma także wartość moralną. „Święty” a więc pozbawiony jakiegokolwiek grzechu. „Święty” a więc zupełnie inny od tego świata, który nas otacza.

Cała ziemia pełna jest Jego chwały».

A więc można by powiedzieć tak: chociaż Bóg jest radykalnie odmienny, to jeżeli chcesz poznać Boga, to popatrz na świat, który jest odwzorowaniem Jego chwały. To, co widzisz w świecie — mądrość tego świata, bogactwo, złożoność, piękno, harmonijność, trwanie, to, że ten świat się porusza — wszystko to jest obrazem doskonałości Boga. W tym stworzonym świecie są jakby zawarte iskry, odblaski, odpryski wiekuistości samego Boga. Więc Izajasz przeżywa tę niebiańską liturgię. I dalej:

Od głosu tego, który wołał, zadrgały futryny drzwi, a świątynia napełniła się dymem.

Mamy do czynienia z taką starotestamentową teofanią, czyli starotestamentowym objawieniem się Boga. Ta bliskość Boga, ta obecność Boga, to objawienie się Boga — jakby Bóg nie mieści się w obrębie tej świątyni, którą wybudowano ku Jego chwale. Dodajmy tu, że wybudowano tę świątynię dla dwóch okoliczności, dla dwóch powodów: żeby składać Bogu ofiary, oraz żeby w świątyni się modlić. Izajasz przyszedł do świątyni, żeby się w niej modlić. I oto ukazuje mu się tren Bożej szaty, i wielkość i majestat Boga, i ukazuje mu się ten rąbek niebiańskiej liturgii, która Boga wysławia.

I powiedziałem:

«Biada mi! Jestem zgubiony!

Wszak jestem mężem o nieczystych wargach
i mieszkam pośród ludu o nieczystych wargach,

W spotkaniu z Bogiem pierwszą rzeczą, której doświadcza człowiek, to jest lęk, to jest obawa. Wszyscy ci, którzy przeżyli powołanie, na kartach Biblii ale także później w historii Kościoła i w historii wielkich religii, doświadczyli tego samego. Rudolf Otto w swojej książce „Świętość”, napisanej kilkadziesiąt lat temu ale która wyznacza, jeżeli tak można powiedzieć, świeckie kanony spojrzenia na świętość, nazwał ten aspekt ukazywania się Boga, objawiania się Boga *tremendum*, tzn. coś, co wywołuje lęk, co wywołuje strach. Człowiek w konfrontacji z Bogiem, w spotkaniu z Bogiem — pierwsza reakcja to jest lęk. Spotykają się ze sobą dwa zupełnie odmienne światy. I Izajasz odczuwa ten sam lęk. Zdaje sobie sprawę, że dzieje się coś niezwykłego i powiada „Biada mi! Bo jestem mężem o nieczystych wargach”. Otóż wargi tutaj to jest taka, nazwijmy to z literackiego punktu widzenia, figura retoryczna, która nosi nazwę *pars pro toto* czyli *część zamiast całości*. Wargi są tu symbolem całego człowieka, całego Izajasza. Izajasz mówi „Jestem mężem o nieczystych wargach”

dlatego, że te wargi, to, co się mówi, jakby objawia, odkrywa to, co jest w środku człowieka. Więc ja jestem nieczysty, ja jestem słaby, ja jestem kimś mizernym, i „i mieszkam pośród ludu o nieczystych wargach” — a oto doświadczam Boga żywego! Więc lęk i przerażenie. To jest, można by powiedzieć, taka dwoistość doświadczenia religijnego. Z jednej strony człowiek Boga pragnie, Boga szuka, za Bogiem tęskni. Z drugiej strony w tym spotkaniu z Bogiem odczuwa wyraźny lęk. Zdaje się, że tylko ludzie prawdziwie święci mogą w sobie przezwyciężyć to drugie. Ale zanim to nastąpi musi się dokonać taki duchowy, wewnętrzny proces, o którym Izajasz mówi tutaj:

Wówczas przyleciał do mnie jeden z serafinów, trzymając w ręce węgiel, który kleszczami wziął z ołtarza. Dotknął nim ust moich i rzekł:

«Oto dotknęło to twoich warg;
twoja wina jest zmazana, zglądzony twój grzech».

Ta symboliczna akcja, ta czynność niezwykła dotknięcia rozpalonym węglem warg Izajasza, to znak jego oczyszczenia, jego przemiany. Przemiany, która ma jak gdyby go wypalić. Otóż ponieważ te doświadczenia mistyczne nie są czymś, co jest nam dostępne, to myślę że możemy, nie aby lepiej zrozumieć, ale aby lepiej zapamiętać, odwołać się do jakiegoś przykładu. A ten przykład będzie, mam nadzieję, dość skutecznie przemawiający. Otóż jesteśmy ludźmi religijnymi, czcimy Pana Boga, modlimy się do Niego, polegamy na Nim, chcemy Mu zaufać, chcemy się z Nim związać. I oto przychodzi na kogoś z nas doświadczenie bardzo trudne, bardzo radykalne, bardzo ciężkie. Oczywiście najcięższe doświadczenia mają związek z naszym zdrowiem, z chorobą, z perspektywą śmierci. I wtedy człowiek odczuwa że właściwie to wszystko, czym żył do tej pory, to był jakiś błogi świat. Że to, co najtrudniejsze i to, gdzie ta wiara jest najbardziej potrzebna, to dopiero się zaczyna. I ten świat, w którym żyliśmy do tej pory, ulega takiemu strawieniu, spaleniu. Okazuje się że to, co było do tej pory dla nas bardzo ważne, traci jakiegokolwiek znaczenie albo schodzi zupełnie na inny plan, a zaczynamy patrzeć na świat w zupełnie inny sposób, w zupełnie innych kategoriach. A kiedy to, co trudne, coraz bardziej nas trawi, to zaczyna taki człowiek odczuwać że powoli to, czym żył do tej pory, schodzi na daleki plan, a oto rozpoczyna się coś bardzo nowego. Można by powiedzieć: pali się ten stary świat i następuje takie oczyszczenie, po którym człowiek zaczyna zupełnie inaczej patrzeć, przewartościowywać nie tylko wszystko, co go otacza, ale także przewartościowywać to, kim jest.

I takie właśnie przewartościowanie dokonuje się w życiu Izajasza. Dokonuje się w sposób symboliczny przez dotknięcie tym rozpalonym węglem jego warg — tak przynajmniej on to czuł. Ale można by powiedzieć, że tak jakby jakiś upał potworny objął jego całego i zmienił go usposabiając do przyjęcia tego, co miał usłyszeć. I wtedy:

I usłyszałem głos Pana mówiącego:
«Kogo mam posłać? Kto by Nam poszedł?»

Przedziwne słowa! Bóg zwraca się do Izajasza tylko z tymi dwoma pytaniami. „Kogo mam posłać?” W świecie, w którym Bóg jest królem, który jest Jego własnością, Bóg potrzebuje swoich wysłanników. Potrzebuje tych, którzy będą wśród ludzi prowadzić Bożą pracę. Zwróćmy uwagę — Bóg nie poprzestał na tym, że oddziałuje osobiście na całą ludzkość, tylko potrzebuje ludzi, którzy są w stanie, mogą i chcą Mu w tym pomóc. Na tym właśnie polega powołanie. Człowiek powołany to jak gdyby pomocnik Boga.

Ale druga część, drugie pytanie, jest jeszcze bardziej zastanawiające: „Kto by Nam poszedł?” Bóg mówi o sobie w pierwszej osobie liczby mnogiej. Rozmaicie próbowano to komentować. Mówiono, że to jest obraz zapożyczony jeszcze z wierzeń pogańskich, że jest to być może element jakiejś narady, która odbywa się na dworze niebieskim. Odpowiedź, jak się wydaje, jest zawsze prostsza. A tę odpowiedź można by streścić tak. To, że napisano to w licznie mnogiej — załóżmy, że mogłoby być skądś przejęte. Ale że przez 2700 lat nikomu nie przychodziło do głowy, żeby tę liczbę mnogą, [lanu] po hebrajsku, zmienić na [li], czyli: „Kogo mam posłać? Kto by Mi poszedł?” — nikt tego nie zmienił, tylko tak to zostawiono, to bardzo daje do myślenia. Otóż ta liczba mnoga wskazuje na coś, o czym przy innych okazjach już mówiliśmy. Mianowicie ta liczba mnoga wskazuje nam na bogactwo wewnętrznego życia Boga. Izraelici wyznawali: Bóg jest jedyny. I Bóg tego nie zmienia.

Ale w kilkunastu miejscach Pisma Świętego Starego Testamentu mamy liczbę mnogą która nam odkrywa że, mówiąc ludzkim językiem, Bóg jest jedyny, ale nie jest sam. Nie istnieje samotnie. W czasach Nowego Testamentu ta prawda objawi się jako prawda o Bogu, który jest Ojcem, i Synem, i Duchem Świętym. Tu nie ma jeszcze tych kategorii, jak nazywamy je teologicznie, trynitarnych. Tu nie ma jeszcze Ojca, Syna i Ducha Świętego dlatego, że na poziomie religii Starego Testamentu nie można było o tym mówić, żeby przypadkiem nie pomieszać monoteizmu, wiary w jedyne Boga, z politeizmem, czyli z przekonaniem, że jest trzech bogów, z których jeden jest ojcem, drugi jest synem, trzeci jest duchem świętym.

Otóż tego nie ma, ale to jest bardzo ważna, jedna z wielu starotestamentowych wskazówek, która nas prowadzi do tej intuicji bogactwa życia Bożego. I to na kartach Starego Testamentu jest. Dlatego kiedy później Jezus objawił się, to mógł do tego języka Starego Testamentu nawiązywać, to mógł go podjąć i mógł ukazywać, że jest czymś więcej, niż zwyczajnym człowiekiem. Więc Bóg objawił się Izajaszowi dając mu poznać to bogactwo swojego wewnętrznego życia.

«Kogo mam posłać? Kto by Nam poszedł?»

Odpowiedziałem: «Oto ja, pošlij mnie!»

Jak Abraham, jak Mojżesz, jak Dawid, jak inni bohaterowie wiary — odpowiedź powołanego jest krótka: „Oto ja” — [hineni], „pošlij mnie!” Z jednej strony powołanie, z drugiej strony odpowiedź. Tu nie ma żadnej dyskusji, tu nie ma polemiki, tylko Izajasz odpowiada na ten głos powołania natychmiast. Odpowiada ponieważ czuje że to, co przeżył, usposobiło go do tego, żeby zmienić swoje życie i nadać swojemu życiu nowy kierunek i nową jakość. Zobaczmy za moment, że było to powołanie bardzo trudne, arcytrudne. Do tego stopnia trudne, że gdy będziemy czytali te słowa, to zadajemy sobie bardzo często pytanie o ich prawdziwe znaczenie. Bo świat, w którym miał wystąpić Izajasz, domagał się bardzo trudnego orędzia. Ale Izajasz to powołanie podejmuje, odpowiada na nie. Otóż odpowiedzią ludzi powołanych powinna być gotowość. A potem w tej gotowości — wierność. Wierność temu, co człowiek wybrał. Bo istota powołania sprowadza się do tego, że kto raz wybrał, ten codziennie wybierać musi. I kto raz wybrał, to na tej drodze wiary musi zawsze starać się zachować wierność, która wymaga ponawiania raz podjętej decyzji.

I rzekł [mi]:

«Idź i mów do tego ludu:

Okazuje się, że to powołanie, jak Abrahama, Mojżesza, Dawida, nie jest powołaniem ze względu na tego człowieka. Nie jest powołaniem, które ma charakter indywidualny, i osobisty, i ma go wywyższyć, podkreślić itd. Jest powołaniem, które jest ukierunkowane społecznie, które ma przynieść owoce w życiu innych ludzi. Tak jest z życiem powołanych po dzień dzisiejszy. Nikt nie jest wzywany do wierności Panu Bogu, czy do spełnienia jakiegoś zadania, tylko ze względu na swoje zalety — bo ich wcale nie musi być, tylko ze względu na swoją satysfakcję — ona też nie musi towarzyszyć spełnianiu obowiązków. Jesteśmy powołani i przeżywamy powołanie ze względu na duchowe dobro innych. Ale i z tym duchowym dobrem bywa różnie. Bo oto słyszymy tak:

«Idź i mów do tego ludu:

Słuchajcie pilnie, lecz bez zrozumienia,

patrzcie uważnie, lecz bez rozeznania!

Zatwardź serce tego ludu,

znieczul jego uszy,

zaślepi jego oczy,

iżby oczami nie widział

ani uszami nie słyszał,

i serce jego by nie pojęło,

żeby się nie nawrócił

i nie był uzdrowiony».

Przedziwne słowa, które wracają potem w Nowym Testamencie, które cytował Pan Jezus. Jak je rozumieć, jak je objaśnić? Otóż stan duchowo-moralny, religijny Izraelitów w czasach, o których

mówiliśmy, ten 740 rok przed Chr, był bardzo zły. Kiedy przyglądamy się z rozmaitych perspektyw, to w ówczesnym życiu religijnym, społecznym, ekonomicznym pojawiło się mnóstwo nadużyć. Otóż Izraelici szli drogą złą. Izajasz słyszy: powiedz im o tym, mów im o tym. Ale oni i tak nie posłuchają. Otóż mów im o złu, którego się dopuszczają, ale oni i tak będą w nim tkwili. Czasami człowiek musi osiągnąć jakieś dno, żeby się z tego dna podnieść. Czasami jest tak, że choćby najgłośniej i najpiękniej mówić, to nie wpłyniemy na bieg życia innego człowieka. Że wszystkie jego zmysły, a tutaj te zmysły to jest serce jako symbol uczuć, uszy, oczy — że można ludziom ukazywać prawdę, prawdę Bożego życia, a oni i tak robią swoje. Wskutek tego ci, którzy głoszą tę Bożą drogę życia, dochodzą do dramatycznego paradoksu. Mianowicie z jednej strony głoszą to, co dobre, a z drugiej strony są świadkami tego, jak się utrwała i pogłębia to, co złe. Bo to, co złe, w konfrontacji z dobrem, ileż razy o tym mówiliśmy, staje się jeszcze bardziej agresywne. Izajasz ma być głosicielem Bożej woli, ma być głosicielem Bożych przykazań. Ale jednocześnie ma pamiętać, że jego głoszenie skazane jest na porażkę. Ma być prorokiem, który nie będzie miał satysfakcji, osobistej satysfakcji, z owoców swojej pracy, z owoców swojego nauczania.

To jest prawdziwy dramat. Bo my w życiu generalnie cenimy skuteczność, i wszystko mierzymy skutecznością. Ale jeżeli chodzi o życie duchowe, to skuteczność jest pojęciem bardzo względnym. A bywa tak, że owoców tej skuteczności i znaków skuteczności nie obserwujemy. I to dotyczy nie tylko jakichś wzniosłych poziomów życia duchowego, ale może dotyczyć np. poziomów życia rodzinnego. Ktoś stara się dobrze wychować dzieci, ktoś modli się za dzieci, ktoś poucza te dzieci. Im są starsze, tym kłopoty większe, i prośby większe, i coraz bardziej intensywne. Ale nie możemy zaobserwować rezultatów tej swojej modlitwy, rezultatów swojej pracy wychowawczej. Wydaje się nawet przeciwnie — że im więcej tego, co dobre, to tym mocniej, tym silniej widać że ktoś, kogo dotyczą te nasze wysiłki, schodzi coraz bardziej na manowce.

I Izajasz ma być takim właśnie prorokiem doraźnej przegranej. Bóg daje mu poznać, że ludzie żyją źle. On ma im to mówić, ma im to wytknąć, ale niech nie sądzi, że oni zmieniają swoje postępowanie. Nie, oni przy tym postępowaniu pozostaną. Skoro tak — ktoś zapyta — to jaki jest sens edukacji, wychowania, czy tego, co tutaj nazywane jest prorokowaniem? Jeżeli nie widzimy owoców skuteczności swojej pracy, to dlaczego w ogóle się nią zajmować? I tego dotyczą dalsze wersety.

Wtedy zapytałem: «Jak długo, Panie?»

Otóż Izajasz zadał pytanie bardzo racjonalne i bardzo mądre. Będzie uczył, będzie nawoływał. Będzie ukazywał Bożą drogę życia. Spotka się z odrzuceniem, spotka się z zaślepieniem, spotka się z zatwardziałością. Pyta: czy na zawsze? Jak długo? Czy zawsze tak będzie? I słyszy w odpowiedzi:

On odrzekł: «Aż runą miasta wyludnione
i domy bez ludzi,
a pola pozostaną pustkowiec.
Pan wyrzuci ludzi daleko,
tak że zwiększy się pustynia wewnątrz kraju.

Bóg zapowiada w tym spotkaniu z Izajaszem, że kraj czeka katastrofa. Że ludzie przejdą przez wielkie oczyszczenie, z którego wyjdą tylko niektórzy. Że takie złe postępowanie, którego się dopuszczają, nigdy nie pozostaje bez skutków. Że ono zaowocuje rozmaitymi, dramatycznymi dla nich konsekwencjami. Że na to pytanie „Jak długo?” można by odpowiedzieć innymi słowami. Tak długo, aż ludzie, do których będziesz mówił, osiągną pewne dno, aż sobie uświadomią, że już dalej i gorzej nie można. Kiedy zobaczą, że to zło, którego się dopuszczają, ich niszczy. Kiedy zobaczą, że przekreślili rozmaite więzi, które ich łączyły, i że sami dla siebie stali się wrogami, stali się nieprzyjaciółmi samych siebie. A więc będziesz uczył, będziesz mówił, będziesz wykazywał, będziesz nawoływał, będziesz wzywał do nawrócenia — jednocześnie zobaczysz ich klęskę. Czy to będzie ostateczna klęska?

A jeśli jeszcze dziesiąta część [ludności] zostanie,
to i ona powtórnie ulegnie zniszczeniu
jak terebint lub dąb, z których pień tylko zostaje po zwaleniu.
Reszta jego [będzie] świętym nasieniem».

Przedziwna zapowiedź, którą można by wytłumaczyć naszymi słowami tak. Zło, którego ludzie się dopuszczają, którego się dopuścili Izraelici, doprowadzi do tego, że sami doświadczą jego dramatycznych skutków. Sami przeżyją wyniszczenie. Pozostaną tylko niektórzy. Bóg nie dopuści zatem, by ta zagłada, by ta katastrofa, była absolutnie kompletna. Pozostaną ci, którzy rozumieją sens tego, co się wydarzyło. Zrozumieją sens tego zła, którego dopuszczano się masowo, i które musiało doprowadzić do takich tragicznych skutków.

To, o czym mówi prorok Izajasz w tej wizji — bo ta wizja tutaj właśnie się kończy, jakby tutaj się urywa — wszystko to miało spełnić się bardzo szybko. Mianowicie w roku 722 Asyryjczycy najechali państwo północne z jego stolicą Samarią, zburzyli, deportowali stamtąd prawie pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Wyniszczyli to, co było do zniszczenia. A z politycznego punktu widzenia zniszczenie przyszło im o tyle łatwo, że wcześniej Judejczycy i Izraelici, czyli dwie części podzielonego Izraela, zwalczały się między sobą. Już nie tylko rywalizowali, ale walczyli między sobą. I wtedy padli ofiarami tego najazdu z zewnątrz. Okazało się, że i Jerozolimę dotknęło to zło, była również oblężona przez Asyryjczyków. Z całego tego doświadczenia, ze wszystkich tych historycznych przeżyć, pozostała im pamięć i poczucie, że odpowiednio wcześniej byli ostrzegani. Że odpowiednio wcześniej otrzymali posłannictwo, otrzymali orędzie, że można i trzeba inaczej. Ale jednocześnie otrzymali ostrzeżenie że w tym, co złe, posunęli się już tak daleko, że to – inaczej – jest niemożliwe, jak tylko na drodze wyniszczenia tego, co złe, i zaczęcia od tych, którzy staną się zaczątkiem nowego świata.

Można zatem powiedzieć na koniec, że to powołanie Izajasza jest przedziwne. Bo on z jednej strony jest kimś, kto obwieszcza koniec starego porządku, tego porządku naznaczonego złem, a z drugiej strony zapowiada tak jakby światło w tunelu, porządek nowy. To jedno i drugie zostanie zdziałane przez Boga, który swoją mocą ukarze grzech, i który swoją mocą jednocześnie wzbudzi tych, którzy staną się szafarzami prawdy w przyszłości.

Co więc jest w tym wszystkim dziwne? Dzwonne jest to, że to proroctwo przetrwało. Izajasz je zapamiętał, przyszła ta zagłada, przyszły katastrofy, przyszły nieszczęścia. I nieszczęścia spustoszyły Izraelitów, ale pozostało świadectwo tego, że oni o tym wiedzieli, że zostali ostrzeżeni. I że tego ostrzeżenia Bożego nie wzięli sobie do serca. Ale Bóg również i to przewidział. W związku z tym jakby sami doprowadzili do samozagłady. A Bóg z kolei sprawił, że na tych gruzach, na tym pobojuwisku, które ich dotknęło z ręki wrogów, pozostali ci, którzy stali się siewcami nowego porządku, i mogli rozpoczynać od początku. I tak się rzeczywiście stało. Wkrótce potem przyszedł król, który nazywał się Ezechiasz, który żył pod sam koniec VIII wieku, przeprowadził wielkie reformy religijne, moralne. Nastąpiło odnowienie świątyni jerozolimskiej. Nastąpiła pod wieloma względami odnowienie narodu. I na kilkadziesiąt lat skutków tej reformy wystarczyło.

Potem okazało się, że następne pokolenia wróciły do starych win i do starych pokus. I o tym będziemy mówić, gdy szczęśliwie doczekamy, za następne cztery tygodnie. Chciałbym państwa bardzo serdecznie zaprosić na konferencję, której bohaterem będzie Jeremiasz. Prorok Jeremiasz działał na początku VI wieku przed Chr, i jego powołanie, jego los, jego nauczanie, będą miały zupełnie inny charakter. Chociaż znowu będzie postacią, mimo wszystko, dość tragiczną. Ale w tym wszystkim jedno jest pocieszające. Że nawet wtedy, gdy dowiadujemy się o sprawach trudnych — to się o nich dowiadujemy. Nawet wtedy, jeżeli to, o czym mówimy, jest tak dramatyczne — to jednak o tym mówimy. Czyli ci, którzy żyli wtedy, potrafili z tego wyciągnąć wnioski, potrafili to utrwalić na piśmie, i pozostawić dla nas jako znak. Również kiedy Pan Jezus żył na świecie i zwracał się do swoich współczesnych, to przywoływał te słowa proroka Izajasza. I one też spełniły się w Jego życiu i Jego losie. Nauczanie Jezusa zostało w dużej części odrzucone. I On sam również przeszedł przez cierpienie, mękę i śmierć. Odrzucone — ale nie bezowocne! I to jest właśnie to światło w tunelu. Że i my, gdy mamy wrażenie że cały nasz duchowy wysiłek, wychowanie, edukacja, modlitwa, są odrzucane — to pamiętajmy: nadzieja w tym, że nie będą jednak bezowocne. Być może nie my będziemy widzieć owoce swojej pracy, nie my będziemy je zbierać, ale one przyjdą. Dlatego, że dobro ma to do siebie, że nie jest co prawda krzykliwe, ale jest trwałe. Tzn. jego żywotność jest znacznie dłuższa niż życie tych, którzy uczynki dobre pełnią.

Dzisiaj bardzo państwu dziękuję. Zapraszam na 15 marca, czyli za cztery tygodnie. Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

6 Powołanie Jeremiasza (15 marca 2010)

Pochwalony Jezus Chrystus ...Dobry wieczór państwu. W Imię Ojca ...Ojcie nasz ...Stolico Mądrości ...

Bardzo, bardzo serdecznie państwa witam na naszej kolejnej konferencji biblijnej, tym razem w marcu, można by powiedzieć: w samym środku Wielkiego Postu. Zatem ta nasza refleksja, to spotkanie, ta wspólna medytacja jest też włączona w kształt tego wszystkiego, co w Wielkim Poście przeżywamy. Bardzo się cieszę, że państwo raz jeszcze znaleźli i czas, i siły, i sposób na to, żeby tutaj dostać się i wziąć udział w tej konferencji biblijnej. I myślę, że o tej obecności przesądza fakt, że bardzo potrzebujemy takiej refleksji o charakterze religijnym i teologicznym, refleksji duchowej. Mamy bowiem w świecie, tak szeroko pojętym, do dyspozycji najrozmaitsze rodzaje i odmiany refleksji. Ale to, czego prawdziwie potrzebujemy, to takie głębsze zastanowienie się nad sobą i głębsza również refleksja, głębsze zastanowienie się nad tym, kim jest Bóg i jakie jest miejsce w naszym życiu Pana Boga. Pamiętamy, że w tym roku przedmiotem naszych konferencji jest motyw powołania, powołanie w Biblii, powołanie w świetle Biblii, powołanie w Piśmie Świętym. Otóż ten motyw wybraliśmy także i z tego względu że rok, który przeżywamy, jest obchodzony jako Rok Kapłański. I chciałbym żebyśmy podczas tych naszych konferencji odczuli, że powołanie to nie jest sprawą tylko ludzi duchownych, chociaż oni pod tym względem zajmują pozycję, jeżeli tak można powiedzieć, wyjątkowo widoczną, lecz powołanie to jest rzeczywistość, która dotyczy nas wszystkich. I mieliśmy do tej pory, jako punkt odniesienia tej refleksji nad powołaniem, osobę Abrahama, następnie Mojżesz, następnie Dawid, i na naszej ostatniej konferencji prorok Izajasz.

Dzisiaj czas przejść do kolejnego proroka. Także i tych tekstów, które dzisiaj będziemy rozważać sobie, nigdy do tej pory nie rozważaliśmy. A przedmiotem naszej konferencji będzie prorok Jeremiasz, prorok pod bardzo wieloma względami zupełnie wyjątkowy. A przede wszystkim wyjątkowy dlatego, że dzięki niemu otrzymujemy coś, co jest w przypadku rzeczywistości powołania mimo wszystko rzadkie. Żeby to państwu wyjaśnić, to może zastanówmy się nad tym. Widzimy różnych ludzi, którzy albo mówią o sobie, że są powołani, albo istotnie przeżywają powołanie i starają się nim służyć wobec innych. Ale to, co o nich wiemy, to wiemy wszystko – można by powiedzieć – zewnętrzne. Wiemy jak się zachowują, wiemy jak postępują, wiemy jaką mają biografię, życiorys — ale taki pisany oczami świadków. Natomiast prorok Jeremiasz pozwala nam wnikać w coś, co jest zupełnie wyjątkowe, mianowicie w świat psychiczny, świat duchowy człowieka, który jest powołany przez Boga. Co dzieje się w jego wnętrzu? Innymi słowy można by powiedzieć, że ten punkt wyjścia jest podobny do punktu wyjścia książki, która ukazała się 16 lat temu, w r. 1994, i stanowiła zapis rozmów, jakie Vittorio Messori, dziennikarz włoski, przeprowadził z Janem Pawłem II. Papież miał za sobą wtedy kilkanaście lat pontyfikatu. I pierwsze pytanie, które dziennikarz postawił papieżowi, brzmiało mniej więcej tak: Ojcie Święty! Codziennie ludzie zwracają się do Ciebie, przybywają do Ciebie, cały świat jest w Ciebie wpatrzony. Nazywają Cię: Ojciec Święty, nazywają Cię: Wasza Świętobliwość. Uważają, że masz szczególnie absolutnie wyjątkowe relacje z Panem Bogiem. Co to znaczy? Jak to przeżywa człowiek, który jest na ustach i na oczach tysięcy, milionów i miliardów ludzi? Co to znaczy być papieżem? Co dzieje się w duszy człowieka, który jest papieżem? Otóż to jest przeogromna tajemnica, i oczywiście zdajemy sobie sprawę z wagi tego pytania. My patrzmy na kogoś, kto jest powołany, zwłaszcza ktoś tak jedyny, jak papież, patrzmy na biskupów, patrzmy na kapłanów — co dzieje się w duszy tego człowieka? Zakładamy, że wierzy w to, co głosi, ale jak przeżywa swoje własne życie w najgłębszym, jeżeli tak można powiedzieć, tego słowa znaczeniu, w najgłębszych pokładach? Co dzieje się w jego wnętrzu? I właśnie ten problem, który i Jan Paweł II podjął i odpowiedział dziennikarzowi — ale nie mamy czasu, żeby tę odpowiedź papieską zgłębiać — ten problem został wyraźnie podjęty w Księdze proroka Jeremiasza i w życiu proroka Jeremiasza.

Prorok Jeremiasz żył i działał na przełomie VII i VI wieku przed Chr., to znaczy około roku sześćsetnego przed Chr., czyli ponad 2600 lat temu. Ramy chronologiczne jego życia znamy bardzo dobrze, możemy je podać z ogromną dokładnością, co nas zaskakuje. Dlatego, że zdarza się, że życie rozmaitych starożytnych postaci możemy podać tylko w przybliżeniu — ale co się tyczy Jeremiasza, to na początku jego księgi czytamy (Jr 1, 1):

Słowa Jeremiasza, syna Chilkiasza, z rodu kapłańskiego, który był w Anatot, w ziemi

Beniamina.

Dowiadujemy się, że Jeremiasz pochodził z rodu kapłańskiego, z rodziny kapłańskiej — ale nie na tym polegało jego powołanie. Kapłaństwo w czasach Starego Testamentu to był, można by powiedzieć bez żadnej przesady, po prostu zawód. Kapłaństwo przechodziło z ojca na syna. Kapłanami byli wszyscy mężczyźni, którzy przynależeli do plemienia Lewiego. Dwanaście było plemion Izraela, synów Jakuba, nazywanego inaczej Izraelem. I jedno z tych plemion, mianowicie plemię Lewiego, jego męscy potomkowie, byli przeznaczeni do sprawowania posługi kapłańskiej. A na czym ta posługa kapłańska polegała w czasach Starego Testamentu? Przede wszystkim na składaniu ofiar, zarówno krwawych jak i bezkrwawych, a także na zanoszeniu modlitw. A ten drugi wymiar, ten wymiar modlitwy, tak mówiąc szczerze był mniej widoczny. Powinnością kapłanów było przede wszystkim składanie ofiar. A ponieważ tych kapłanów było dużo, były tysiące, bo to wszyscy mężczyźni przynależący do plemienia Lewiego — zatem jeżeli chodzi o ich posługę w świątyni jerozolimskiej, to ona przypadała dość rzadko. Były w czasach Starego Testamentu wyznaczone tzw. maamadot czyli takie specjalne posługi, można by powiedzieć: dyżury kapłanów. Otóż kapłani dowiadywali się, że ich dyżur w świątyni przypada w tym i w tym tygodniu, i mogło to być w życiu jeden raz, dwa razy, trzy razy. A poza tym zajmowali się zupełnie innymi sprawami. Dopiero wtedy, kiedy np. był jakiś kryzys czy klęska, liczba tych kapłanów gwałtownie się zmniejszyła, to wtedy i oni byli bardziej potrzebni.

Dowiadujemy się więc, że Jeremiasz pochodził z rodu kapłańskiego, przynależał do pokolenia Lewiego, i że mieszkał w Anatot. Anatot to jest osada, która znajdowała się na północ od Jerozolimy. Natomiast dzisiaj to jest jedna z północno-wschodnich dzielnic Jerozolimy. Od środka miasta to jest odległość ok. 8 km, a zatem stosunkowo niewiele. I można by powiedzieć, że Jeremiasz wychował się zatem w bliskości świątyni. Z Anatot do centrum Jerozolimy jest mniej więcej taka sama odległość, jak z Betlejem do centrum Jerozolimy.

Więc wiemy o nim, że pochodził z rodu kapłańskiego. To samo nie przesądzało o jego powołaniu, bo o jego powołaniu dowiemy się za moment. Dalej czytamy tak:

Do niego Pan skierował słowo za czasów Jozjasza, syna Amona, króla judzkiego, w trzynastym roku jego panowania

Jozjasz, król Judy, rozpoczął swoje rządy w r. 640 przed Chr. Trzynasty rok jego panowania to jest rok 627 przed Chr, bo liczymy te daty jak gdyby od tyłu. Więc Jeremiasz został powołany przez Boga w roku 627 przed Chr. Sprawował swoją posługę do roku 587 przed Chr, czyli do zburzenia Jerozolimy przez Babilończyków. Łatwo obliczyć, że całe jego życie jako proroka obejmowało okres ok. 40 lat. Czyli całe jego dorosłe życie było głęboko związane z tym, do czego go Pan Bóg powołał, usposobił i uzdolnił. Otóż gdy otrzymał to powołanie, o którym za chwilę, był chłopcem który miał kilkanaście lat. Trudno powiedzieć dokładnie ile — mogło to być 15, 16, 17, powiedzmy 18 lat, mniej więcej w takim przedziale. A ponieważ 40 lat trwała jego działalność prorocka, zatem dokończył tej działalności przed sześćdziesiątką, miał wtedy ok. 58 - 60 lat. Oczywiście żywotność ludzi w starożytności nie była tak długa, jak w naszych czasach. W czasach Starego Testamentu człowiek żył przeciętnie 55 - 60 lat. Dlatego psalmista mówi, że miarą lat życia jest 70 - to już najdłużej, a gdy jest bardzo mocny, to 80. W naszych czasach ta granica się znacząco przesunęła.

Co stało się później z Jeremiaszem, tak na dobrą sprawę nie wiemy. Jedna tradycja mówi, że po zburzeniu Jerozolimy przez Babilończyków został uprowadzony do Egiptu. Druga tradycja żydowska, bardzo stara, powiada, że zginął zamęczony przez własnych rodaków. Skoro tak, to musimy się przyjrzeć co działo się — i to świadectwo zawdzięczamy samemu Jeremiaszowi — co działo się w jego wnętrzu wtedy, kiedy Bóg go powołał, oraz zobaczyć, do czego go Bóg powołał. Czasy, w których żył, były niesłychanie burzliwe, należały do najbardziej niespokojnych czasów w starożytności. Wtedy, ok. roku 627, chyliła się ku upadkowi wielka potęga, która odgrywała na starożytnym Bliskim Wschodzie przeogromną rolę. Była to potęga asyryjska, Asyryjczycy. Oni dominowali na terenie dzisiejszego północnego Iraku i stworzyli imperium, które rozciągało się od Indii aż po Morze Śródziemne. Należało do największych imperiów starożytnego świata. Ale jak to z takimi kolosami bywa, to potężne imperium bardzo szybko się rozpadło. Właśnie w latach

620- było coraz słabsze, a zagrożenie przyszło ze strony jego południowego sąsiada, którym była Babilonia. I w ciągu zaledwie kilkunastu lat potęga Asyrii rozpadła się pod ciosami Babilończyków.

I wtedy właśnie, za życia Jeremiasza, na horyzoncie wylania się nowa siła polityczna i nowa siła militarna, Babilończycy. Babilończycy zamieszkiwali teren południowego Iraku, na południe od dzisiejszego Bagdadu, w kierunku Kuwejtu. Kto z państwa interesował się losem naszych żołnierzy, na samym początku wysłanych do Iraku, to pamięta, że pierwszy obóz, w którym zostali rozlokowani, nosił nazwę Camp Babilon i nawiązywał do tej starożytnej rzeczywistości życia Babilończyków. Tutaj na tym przykładzie Jeremiasza dobrze widać, jak polityka i wydarzenia zewnętrzne mają wpływ na przeobrażenia wewnętrzne, jak jedno z drugim jest bardzo mocno związane.

Otóż gdy Asyryjczycy słabli coraz bardziej, a Babilończycy rośli w potęgę, to Babilończycy postanowili podjąć konfrontację z Egiptem — dlatego, że na drugim krańcu tego tzw. żyznego półksiężyca była właśnie potęga Egiptu. I doszło do bitwy między Egipcjanami i Babilończykami. Ta bitwa miała miejsce w roku 609 przed Chr. w okolicach Megiddo, t.j. w okolicach Karmelu i dzisiejszej Hajfy. I w tej bitwie Egipcjanie zostali pokonani i Babilończycy, można by powiedzieć, zajęli miejsce Asyryjczyków na Bliskim Wschodzie.

Na czym miała polegać misja Jeremiasza? Otóż misja Jeremiasza — zaraz przyjrzymy się jej szczegółom — najogólniej mówiąc polegała na tym, że Jeremiasz przestrzega swoich rodaków, Izraelitów, dokładniej: Judejczyków, mieszkających w Jerozolimie i w jej okolicach, przed konsekwencjami wewnętrznego zepsucia i wewnętrznych słabości. Mianowicie najogólniej mówiąc mówi im tak. Lud albo naród, który od środka przeżywa kryzys, jest zawsze łakomym kąskiem dla swoich potężniejszych sąsiadów. Stąd, aby się umocnić, aby się skonsolidować, aby przetrwać, należy dokonać bardzo głębokiej reformy wewnętrznej. Nie można zadzierać z Babilończykami, bo im się nie sprostą, nie uda się im przeciwstawić. Natomiast można przetrwać tylko dzięki temu, że naród w tej trudnej sytuacji politycznej dokona odnowy wewnętrznej, odnowy duchowej. A tymczasem, dodajmy sobie, w Jerozolimie, gdzie Jeremiasz mieszkał, i w okolicach Jerozolimy, ciągle trwały rozmaite przetargi polityczne. Polegały one na tym, że część mieszkańców Jerozolimy, a zwłaszcza przywódców i świeckich, i religijnych, i król, i kapłani, w tych warunkach konfrontacji Babilonu i Egiptu doradzała, żeby trzymać z Egiptem, że Babilończycy szybko się skończą. Inni doradzali, żeby raczej trzymać z Babilonią. Czyli w tej trudnej sytuacji uważano, że jedynym wyjściem jest sprawa sojuszy politycznych, wystarczy zawrzeć dobry sojusz polityczny. I jeżeli on okaże się skuteczny, to to wystarczy do zachowania tożsamości i do zachowania niepodległości, i do zachowania narodu w takim stanie, w jakim jest.

Tymczasem Jeremiasz miał mówić, miał głosić że ani Egipt, ani Babilonia, ani jeden sojusz polityczny, ani drugi sojusz polityczny — tylko głęboka wewnętrzna odnowa i przemiana, podjęta w duchu wierności przymierzu zawartemu z Bogiem. I tak się okazało bardzo szybko, że gdy zaczął głosić tę prawdę o konieczności odnowy wewnętrznej, to stał się wrogiem — najpierw swoich własnych rodaków. Bo ci, którzy chcieli trzymać z Egiptem, mieli mu za złe, że nie nawołuje do tego samego. Ci, którzy chcieli trzymać z Babilonią, mieli mu za złe, że i w tym nie jest ich sojusznikiem. I okazało się, że pośród własnych rodaków jego sytuacja jest niesłychanie trudna.

I teraz możemy przejść już bezpośrednio do słów Jeremiasza. Przeczytamy sobie dwa fragmenty. Pierwszy fragment, który weźmiemy pod uwagę, nawiązuje do powołania, którego doświadczył, które przeżył kilkunastoletni chłopiec. Otóż wspominając po latach to powołanie, to doświadczenie powołania, przywołał słowa, które były jakimś doświadczeniem wewnętrznym zapewne, które przesądziły o całym jego późniejszym życiu. Napisał tak (Jr 1, 4-5):

Pan skierował do mnie następujące słowo:
«Zanim ukształtowałem cię w łonie matki, znałem cię,
nim przyszedłeś na świat, poświęciłem cię,
prorokiem dla narodów ustanowiłem cię».

Mamy tutaj cztery czasowniki. I te cztery czasowniki ustalają relację między Bogiem i prorokiem. Po kolei: *nim ukształtowałem cię w łonie matki*. Tutaj pojawia się hebrajski czasownik [jatsar], dosłownie to znaczy *lepić*. I on występuje w Księdze Rodzaju wtedy, kiedy mowa jest o tym, że Bóg powołał mężczyznę do życia w ten sposób, że najpierw go ulepił, a potem tchnął w jego nozdrza tchnienie życia. Oczywiście tu czasownik nie występuje w znaczeniu *lepić*, tylko wg.

wyobrażeń starożytnych Hebrajczyków to Bóg sprawia, że w łonie matki człowiek przyjmuje już taki kształt, w jakim później rodzi się na świat. Że powołanie do życia jest niczym innym, jak dziełem Boga który, jeżeli tak można powiedzieć, kształtuje, lepi, tworzy, stwarza człowieka w jego całości. Oczywiście późniejsza i współczesna medycyna będzie rozważała sprawę poczęcia od strony medycznej. Wiemy, dzisiaj toczą się na ten temat przeogromne dyskusje, debaty o charakterze moralnym, etycznym, politycznym, społecznym, i każdym innym — nie wchodzimy w to wszystko. Spojrzenie Biblii, spojrzenie Księgi Jeremiasza, nie ulega wątpliwości. Otóż kiedy człowiek zostaje poczęty, to jest to dzieło Boga nie tylko w tym znaczeniu, że Bóg tchnie duszę jak to zazwyczaj się mówi, ale cały człowiek, cała ta maleńka istota poczęta w łonie matki jest dziełem Boga. Bóg ją niejako lepi, kształtuje, tworzy. Może jakimś obrazem tego są fotografie tych dzieci poczętych, które możemy oglądać i na których pokazuje się, że już bardzo niedługo po poczęciu przybierają kształty, w których odwzorowuje się wygląd człowieka.

Dowiadujemy się: zanim zostałeś ukształtowany w łonie matki, zanim Ja cię ukształtowałem — mamy drugi czasownik: *znałem cię*. To jest czasownik [jadar]. Znałem cię tzn. *związałem się z tobą*, tzn. *związałem z tobą swoje plany*. zwróćmy uwagę, że tak dochodzimy do pierwszej, bardzo ważnej konkluzji. Mianowicie człowiek i jego powołanie istnieją w przedziwny sposób w odwiecznych zamysłach Boga. Dla nas czas dzieli się na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Teraźniejszość jest czymś najbardziej ulotnym, bo co ona właściwie znaczy? Każda sekunda naszego życia nigdy się już nie powtórzy. Przeszłość, jeżeli mamy dobrą pamięć, znamy. Przyszłość możemy w jakiś sposób przewidywać i na nią wpływać. Natomiast Bóg jako odwieczny, nie ma czasu. Otóż Bóg jest wiekiasty. To coś więcej, niż wieczny. Wobec tego Bóg ma zupełnie inny ogląd tego, czym jest świat i czym jest człowiek. Ale niestety mówiąc o tym jesteśmy zdani na zupełną ułomność. Bo co to znaczy ten odmienny ogląd? Otóż Bóg jest istotą, która zna nie tylko to, co już się wydarzyło tak, jak my ludzie to znamy, lecz dla Boga nie ma również przyszłości. Stąd Bóg zna także to, co wg. naszych kategorii będzie. I tu musimy wyznać naszą absolutną niemoc dlatego, że my myślimy w sposób przypisany do czasu i absolutnie umocowany chronologicznie. I wobec tego jesteśmy zupełnie bezsilni.

Ale prorok powiada, że usłyszał słowa, iż zanim zaistniał, to Bóg już miał dla niego określone, konkretne plany, to miał co do niego konkretny zamiar. I cała tradycja biblijna, a potem tradycja chrześcijańska, utrzymuje, że tak w gruncie rzeczy jest z każdym człowiekiem. W odniesieniu do każdego człowieka Bóg ma swoje zamiary i swoje plany. W związku z tym czymś niezwykle cennym jest ludzkie życie. I przerwanie ludzkiego życia na jakimkolwiek etapie oznacza jakieś wtargnięcie w te Boże plany, które Bóg dla człowieka przewidział. Dla Jeremiasza tym planem była szczególna rola wobec jego własnego narodu, wobec Izraelitów. Więc: *Zanim ukształtowałem cię w łonie matki, znałem cię*. To *znałem* znaczy: znałem pod każdym względem, związałem się z tobą.

nim przyszedłeś na świat, poświęciłem cię

Tutaj mamy trzeci czasownik hebrajski: [kadasz]. *Uświęcić* to nie jest w Piśmie Świętym sprawa jakiejś cnoty moralnej. Uświęcić — to znaczy przeznaczyłem cię do czegoś odmiennego, niż pozostałych ludzi. Przeznaczyłem cię do czegoś wyjątkowego. Dałem ci do spełnienia coś, czego nikt inny spełnić nie może. I właśnie kiedy przyglądamy się życiu ludzi, i naszemu, to paradoks tego życia na tym polega, że każdy z nas w Bożym planie zbawienia ma swoje własne miejsce. Jesteśmy, mówiąc słowami ks. prałata Romualda Kołakowskiego, który nie żyje od kilku lat ale my, którzy mieszkamy tu, na Rakowcu, dobrze go znamy. Mówił często, że jesteśmy jak taka maleńka mrówka. Ta mrówka bierze na siebie jakąś słomkę czy jakieś źdźbło, które ma zanieść do swojego mrowiska. Po drodze wypadają mrówce najrozmaitsze rzeczy. Jedne dochodzą do tego celu szybciej, i wracają, i niosą jeszcze więcej źdźbeł. Inne mrówki natrafiają na rozmaite nieprzewidziane trudności, i muszą jeszcze raz ten wysiłek podejmować. Jeszcze inne bywają rozdeptane albo gdzieś tam przerzucone, kopnięte nogami ludzi czy nogami zwierząt, i nigdy swojego celu nie osiągną. Ale każda z tych mrówek jest potrzebna. I ze wspólnego trudu składa się ten dom, który budują. I z ludzkością, człowiekiem jest mniej więcej tak samo. Jesteśmy jak te mrówki, każdy ma swoją własną rolę. Czasami życie ludzkie bywa ucięte. Czasami bardzo wcześnie, czasami zbyt wcześnie. Czasami się wydaje, że w ogóle niczego ten człowiek nie dokonał i niczego w życiu dokonać już nie może, bo życie zostało przerwane bardzo, bardzo wcześnie. Kiedy indziej życie jest dla niego

bardziej łaskawe, a jego wkład wydaje się bardziej widoczny. Więc każdy z nas ma swoje miejsce. A miejsce tych, którzy są powołani, jest jakoś szczególnie odczuwalne i szczególnie widoczne.

prorokiem dla narodów ustanowiłem cię».

Tutaj dochodzimy do momentu, o którym już wiele razy wspominaliśmy. Otóż jeżeli człowiek jest powołany przez Boga, to nie jest powołany ze względu na siebie, to nie jest zaszczyt, tylko jest powołany ze względu na innych, to jest odpowiedzialność. I jeżeli ktoś się odpowiedzialności sprzeniewierzy, to jest największy błąd, największy grzech jakiego może dopuścić się ten, który jest powołany. A więc to są słowa powołania ze strony Boga. A jaka była odpowiedź Jeremiasza?

I rzekłem: «Ach, Panie Boże, przecież nie umiem mówić, bo jestem młodzieńcem!»

Kto z państwa pamięta powołanie Mojżesza, to mamy tutaj przeogromne podobieństwo. Bóg powoływał Mojżesza, a Mojżesz sugeruje: «Wybierz sobie kogoś innego bo ja, gdy mówię, to mam jakby rozpalone kamienie w ustach.» Te rozpalone kamienie to jest świadectwo tego, że Mojżesz mówiąc się jękał. Więc Mojżesz zwraca Bogu uwagę: «Nie mogłeś wybrać kogoś lepszego? Jakże ja pójdę do faraona i będę mówił mu: „Wypuść lud z Egiptu”, skoro mam te rozżarzone kamienie w ustach?» A Jeremiasz powiada: «Ach panie Boże! Jakże ja pójdę, skoro ja jestem jeszcze chłopcem? Otóż nie jestem jeszcze w tym wszystkim wiarygodny!» Najpierw, tak się wydaje, człowiek potrzebuje uwiarygodnienia. W naszych czasach mówimy: człowiek powinien stać się autorytetem moralnym, i dopiero wtedy ma prawo do przemawiania. Oczywiście znów kolejny paradoks polega na tym, że te autorytety moralne zazwyczaj mają namaszczenie polityczne, i że są tak długo używane, póki są potrzebne i póki mówią to, co ludzie chcą słuchać, albo co trzeba ludziom powiedzieć. Ale Jeremiasz ma w sobie coś podobnego. Mianowicie powiada: ja jestem za młody. Ja nie mogę czuć się powołany, bo mi nie uwierzą. Tzn. trzeba byłoby jeszcze poczekać, trzeba by się uwiarygodnić. Kilkunastoletni chłopiec rzeczywiście nie wywiera takiego mocnego wrażenia i on miał pełną tego świadomość.

Pan zaś odpowiedział mi:

«Nie mów: „Jestem młodzieńcem”,
gdyż pójdziesz, do kogokolwiek cię poślę,
i będziesz mówił, cokolwiek tobie polecę.

Otóż człowiek powołany przez Boga to człowiek, który działa nie we własnym imieniu, i nie mówi to, do czego sam doszedł, ale jest usposobiony do tego, uzdolniony przez Boga. Powtórzmy to, co wiele razy mówiliśmy. Jeżeli Bóg ukazuje cel, to ukazuje również środki, które do tego celu prowadzą. Jeżeli Bóg ukazuje wzniosły horyzont czegoś nowego, to daje siły, żeby ten cel osiągnąć, żeby dojść. Otóż jeżeli Bóg czegoś od człowieka wymaga, to zarazem uzdalnia go, by człowiek mógł to spełnić. Nigdy człowiek wierzący, człowiek religijny, nie jest sam. Wtedy przegrywamy, wtedy ponosimy klęskę, kiedy wydaje nam się że w sytuacji trudnej albo w sytuacji, kiedy stajemy wobec nowej powinności, jesteśmy zdani wyłącznie na siebie. Jeżeli spotyka nas coś bardzo trudnego, to jednocześnie otrzymujemy siły, żeby przez to przejść. I prorok Jeremiasz otrzymuje to samo potwierdzenie. Mianowicie: „nie mów, że jesteś młody! To Ja będę działał. A ty będziesz mówił to, co Ja ci polecę.”

W ten sposób zauważamy: pomiędzy powołanym a Bogiem urzeczywistnia się wyjątkowo mocna i silna relacja. Otóż powołani wtedy mają prawo i obowiązek uczyć innych, gdy sami czują i są wierni temu obowiązkowi, czy tym więziom, które łączą ich z Bogiem. Miarą wiarygodności powołania człowieka jest jego zaufanie Panu Bogu we wszystkich okolicznościach jego życia. Otóż można by powiedzieć jeszcze inaczej: miarą tej wiarygodności jest stopień zaufania Panu Bogu. Dopiero wtedy ten człowiek może nauczać innych, może być w tym wiarygodny, i może ukazywać Bożą drogę życia, jeżeli sam nią autentycznie kroczy.

Nie lękaj się ich, bo jestem z tobą,

Raz jeszcze słyszymy echa tego, co było pod Synajem. Mojżesz pyta Boga: Jakie jest imię Twoje? Słyszysz w odpowiedzi: Moje imię jest Jestem. Imieniem Boga jest jego obecność. I tu Jeremiasz słyszy dokładnie to samo. Gdy przychodzi wypełniać trudną misję powołania, trzeba mieć na względzie to, że z powołanym jest Bóg.

I wyciągnąwszy rękę, dotknął Pan moich ust i rzekł mi: «Oto kładę moje słowa w twoje usta. Spójrz, daję ci dzisiaj władzę nad narodami i nad królestwami, byś wyrwał i obalał, byś niszczył i burzył, byś budował i sadił».

Mamy aż sześć czasowników, które opisują powołanie prorockie, powołanie Jeremiasza w tym przypadku. Zwróćmy uwagę, że te czasowniki ujmują dwie strony tej samej rzeczywistości, są sobie przeciwstawne. Najpierw: *wyrwał* i *obalał*, potem *niszczył* i *burzył*, a następnie *budował* i *sadił*. Są to metafory rolnicze i metafory z zakresu budownictwa. Żeby powstało coś nowego, taki jest sens tych obrazów, to musi ulec zniszczeniu, destrukcji coś, co jest stare. Na gruzach tego, co złe, można budować dobro. I właśnie to okazało się sprawą absolutnie trudną. Bo powołanie Jeremiasza stało się dla niego źródłem ogromnego cierpienia. Ale o tym za chwilę.

I po tych słowach powołania następują dwa obrazy, dwie czynności symboliczne, czy mówiąc inaczej dwie wizje. Prorok przeżywa coś, co jest w gruncie rzeczy nieprzekazywalne, ale próbuje o tym mówić w obrazach, których jakoś wewnątrz doświadczył.

I skierował Pan następujące słowa do mnie: «Co widzisz, Jeremiaszu?» Odrzekłem: «Widzę gałązkę drzewa „czuwającego”».

To drzewo czuwające nazywa się po hebrajsku szahed i jest to migdałowiec. To jest takie drzewo, które kwitnie w styczniu, to jest pierwsze drzewo, które rozkwita w Ziemi Świętej. Kwitnie jeszcze wtedy, kiedy wciąż jest pora deszczowa, pora zimowa. Może być nawet przymrozek, mogą być deszcze. Wszystkie inne drzewa jeszcze śpią, zakwitną dopiero mniej więcej w końcu lutego - w marcu. Teraz właśnie rozpoczyna się to kwitnienie drzew. Natomiast szahed, ten migdałowiec, kwitnie w styczniu, i kwitnie białe. To są przepiękne białe kwiatki. Jeżeli je zobaczą ludzie, to mówią: Wiosna jest blisko, wiosna idzie. To tak, jak u nas przebiśniegi, albo krokusy gdzieś w górach. Albo u nas bociany, albo żurawie. Wiemy, że już w niektóre rejony Polski przyleciały, zdaje się za wcześnie, mają kłopoty i ludzie tej zimy muszą im pomóc. Ale to już są zwiastuny wiosny.

Co więc widzi Jeremiasz? Jeremiasz mówi: widzę ten szahed, widzę to drzewo kwitnące. Ono było nazywane drzewem „czuwającym” dlatego, że jak gdyby czuwało nad tym, żeby nie przeoczyć początku wiosny. Dla mieszkańców Ziemi Świętej było symbolem obudzenia się z zimowego letargu.

Pan zaś rzekł do mnie: «Dobrze widzisz, bo czuwam nad moim słowem, by je wypełnić».

A więc to drzewo migdałowe z tymi białymi kwiatkami, ten szahed, staje się symbolem, znakiem Boga. Bo Bóg jest tutaj nazwany Szoked — *ja jestem czuwający, Ja czuwam*. Tak, jak ten kwiat ukazuje się na drzewie, żeby zwiastować ludziom koniec zimy i zbliżającą się wiosnę, tak Bóg mówi: „Ja czuwam nad ludem mojego wybrania żeby zwiastować im koniec tego, co złe, i obwieszczać konieczność nowego początku”. A więc powołaniem proroka będzie uczestniczenie w tej misji. Będzie dla swoich rodaków jak ten migdałowiec, jak te kwiatki które ukazują, że zima mija, wiosna przed nami. Należy skończyć z tym, co złe, i na gruzach tego, co złe, budować to, co dobre. I drugi obraz:

Po raz drugi skierował Pan swoje słowo do mnie: «Co widzisz?» Odpowiedziałem: «Widzę wrzący kocioł, a powierzchnia jego jest od strony północnej».

Tam mamy wizję nawiązującą do flory Ziemi Świętej, do jej przepięknej roślinności. Tutaj mamy wizję, powiedzielibyśmy dzisiejszym językiem, techniczną. Kocioł nad ogniskiem, w kotle gotuje się jakiś pokarm, ale kocioł jest wychylony na północ. Jeżeli się jest w Jerozolimie, to na północ jest góra Scopus. Otóż to z tamtego kierunku przychodzili zawsze wrogowie. Jeremiasz widzi kocioł, w którym gotuje się jakaś potrawa, i ten kocioł jest wychylony ku północy. Jest to znak tego, że Jerozolimę czeka krwawy, taki gotujący się, dramatyczny los. I że jej nieszczęście przyjdzie od północy.

I rzekł do mnie Pan: «Od północy rozszaleje się zagłada wszystkich mieszkańców ziemi. Zwołam bowiem wszystkie królestwa Północy - wyrocznia Pana - przyjdą i ustawią każdy swój tron u wejścia do bram Jerozolimy przeciw wszystkim jej murom dookoła i przeciw wszystkim miastom judzkim. I wydam wyrok na nie za całą ich niegodziwość, iż opuścili Mnie, a palili kadzidło obcym bogom i hołd oddawali dziełom rąk swoich.

Powołanie Jeremiasza, jego misja ma być straszliwie trudna. Ma zapowiadać zgubę zbliżającą się od północy, zgubę, która jest postrzegana jako kara za niewierności wobec Boga i za wewnętrzne zepsucie ludu bożego wybrania. Jeremiasz ma być prorokiem nadciągającej kary. Jego misja jest zatem straszliwie trudna. Od samego początku widać, że ten młody chłopak jest wezwany przez Pana Boga do tego, by zapowiadać konsekwencje wewnętrznego zepsucia swoich rodaków. Słyszymy jeszcze takie słowa:

Ty zaś przepasz swoje biodra,
wstań i mów wszystko, co ci rozkażę.

Naród jest zepsuty, naród poszedł za obcymi bogami. Naród wysławia dzieła rąk swoich. A więc jest daleko posunięte zepsucie religijne i etyczne. A młody Jeremiasz zostaje wezwany do przepasania bioder czyli do gotowości, do wstania, do pójścia i do głoszenia tego, co mu Pan Bóg nakazał.

Nie lękaj się ich,
bym cię czasem nie napełnił lękiem przed nimi.

To przedziwne słowa. Nie lękaj się tych, do których idziesz, abym cię nie napełnił lękiem przed nimi. Ten, który jest powołany, ma być człowiekiem odwagi. Bo jeżeli straci odwagę, stanie się strachliwy, płochliwy. Otóż Bóg daje mu siłę. Ale nie może z tej siły, z tej mocy wewnętrznej, zrezygnować. Jeżeli zrezygnuje, jeżeli to zaprzepaści, stanie się ofiarą tych, do których ma pójść.

A oto Ja czynię cię dzisiaj twierdzą warowną,
kolumną żelazną i murem spiżowym przeciw całej ziemi,
przeciw królom judzkim i ich przywódcom,
ich kapłanom i ludowi tej ziemi.

Tylko wtedy, gdy nie zastanawiamy się nad tymi słowami, to nie czujemy ich porażającej mocy. Otóż do kogo ma Jeremiasz skierować swoje nauczanie? Ma skierować do swoich rodaków. Ale przeciwko komu ma prorokować, tzn. czyje błędy ma wykazywać? Ma wykazywać błędy królów, przywódców, kapłanów i ludu. A więc ma wykazywać błędy, nadużycia, grzechy występki przywódców świeckich, przywódców religijnych, i zwyczajnych ludzi. Zwróćmy uwagę na tę kolejność. To jest wg. słynnego powiedzenia: ryba psuje się od głowy. I społeczeństwo tym bardziej jest chore, im bardziej chorych ma przywódców. Przywódcy dzielą się na dwie kategorie, tak było w starożytności, tak jest i dzisiaj: świeccy i religijni. Okazuje się, że przedmiotem nauczania Jeremiasza, czy adresatami nauczania Jeremiasza, przepowiadania Jeremiasza mają być i jedni, i drudzy. Król, ale także przywódcy świeccy i przywódcy religijni.

Otóż dobrze wiemy, że przywódcy świeccy, i zwłaszcza religijni, nie przywykli do jakiegokolwiek krytyki. Że krytykowanie w sensie wydawania sądu, nie krytykanctwo tylko opiniowanie, osąd przywódców jest czymś zawsze trudnym i czymś zawsze bardzo ryzykownym. Tak było w starożytności, tak jest również i dzisiaj. Jeremiasz został powołany do tego, sam Bóg go powołuje, żeby przypominać i jednych, i drugich. Czyli zawsze jest potrzebny w świecie, i we wspólnocie religijnej, ten pierwiastek profetyczny. Tzn. przypomnianie innym, którzy odpowiadają za kształt życia społecznego i religijnego, ich odpowiedzialności przed Bogiem, i przypomnianie im powinności Bożych. A

ponieważ to jest zawsze ryzykowne i zawsze kosztuje, to wymaga od tych, którzy są powołani by takie orędzie nieść, wymaga szczególnego Bożego wsparcia. Bóg to wsparcie Jeremiaszowi obiecuje. I dodaje tak:

Będą walczyć przeciw tobie, ale nie zdołają cię [zwyciężyć],
gdyż Ja jestem z tobą - wyrocznia Pana - by cię ochraniać».

Życie Jeremiasza ma upływać zatem w cieniu konfrontacji. Mało tego — w cieniu walki. Jeremiasz musi liczyć się ze sprzeciwem. Zawsze, jeżeli człowiek chce głosić prawdy prawdziwie Boże, natrafi na sprzeciw. Ten sprzeciw przychodzi najpierw ze strony przywódców i świeckich, i religijnych — w takiej kolejności mamy w Księdze Jeremiasza, ale ta kolejność może być także odwrócona. I ten sprzeciw przychodzi także od strony ludzi, od strony zwyczajnych ludzi. Zawsze i przywódcy, i zwyczajni, prosi ludzie mając do wyboru dwie drogi: trudniejszą i łatwiejszą, ulegają pokusie żeby wybierać tę, która jest łatwiejsza. Jeżeli ktoś chce prawdziwie nauczać tego, czego wymaga wiara w Boga i czego wymaga moralność Boga jedynego, musi się liczyć ze sprzeciwem. Głoszenie prawd Bożych zawsze będzie natrafiało na wrogość, na opór i na aroganckie odrzucenie.

Nie potrzeba państwu wykazywać, że tak jest również i dzisiaj. Fundamentalne przykazania i fundamentalne prawa moralności są kwestionowane. I jednocześnie trzeba zwrócić uwagę, że bardzo mało jest takich osób, które również w naszym świecie, a i w naszym Kościele, w naszych wspólnotach religijnych, umieją stanąć odważnie i, można by powiedzieć, twardo, po stronie prawdy Bożej. Mało tego, jeśli tak się zdarza, bywają zastraszane, wysmiewane, wykpiwane, i na rozmaite sposoby stają się przedmiotem odrzucenia.

Coś podobnego dokonało się w życiu Jeremiasza. Zastanawialiśmy się nad początkiem jego powołania. A teraz przeczytamy drugi tekst. Mianowicie Jeremiasz zbliża się już do kresu swojego życia. Jest człowiekiem, jak powiedzieliśmy wcześniej, przed pięćdziesiątką. Nie potrafimy powiedzieć jak długo jeszcze żył, ale z całą pewnością czterdzieści lat nauczania, czterdzieści lat sprzeciwu, o których traktuje Księga Jeremiasza — trzeba by tę Księgę przeczytać, czterdzieści lat oskarżeń, czterdzieści lat prześladowania. Do tego stopnia go prześladowano, że pewnego dnia został wrzucony do wyschniętej cysterny i skazany był na śmierć z głodu i pragnienia, coś jak św. Maksymilian Maria Kolbe. Wyciągnięto go stamtąd tylko dzięki wstawiennictwu przyjaciół, dlatego ocalał. Ale sprzeciw wobec niego pochodził od tych, od których był najtrudniejszy, mianowicie od jego rodaków. I Jeremiasz czuje się zmęczony. I proszę posłuchać jednej ze skarg, które nazwano *confesiones* — *wyznania*. Otóż takich *confesiones*, takich wyznań w jego księdze jest więcej.. Nie mamy czasu, żeby czytać je wszystkie, ale posłuchajmy jednego. W tej skardze znajdują wyraz wszystkie uczucia człowieka zmęczonego, człowieka utrudzonego tym, że musiał stawać po stronie Boga i z tego powodu bardzo wiele wycierpiał.

I czytamy teraz rozdział 20, w którym dochodzi do głosu przeogromna walka wewnętrzna proroka. To, co głosił, było znane tym, którzy go słuchali. Jego nauczanie powodowało opór. Ale to, co się w nim działo, to tylko sam mógł opowiedzieć. I to jest najpiękniejsze, najbardziej wymowne starotestamentowe świadectwo tego, co dzieje się w duszy człowieka, który z powodu wierności powołaniu musi cierpieć. I czytamy:

Uwiodłeś mnie, Panie, a ja pozwoliłem się uwieść;
ujarzmiełeś mnie i przemogłeś.

Jeremiasz rozmawia z Bogiem, jak rozmawia się z drugą osobą — nie mówię: z drugim człowiekiem, ale z drugą osobą. I używa dwóch obrazów: *Uwiodłeś mnie, Panie* — jestem wobec Ciebie tak, jak młoda dziewczyna; i *ujarzmiełeś mnie* — jestem wobec Ciebie tak, jak zwierzę, na które nakłada się jarzmo. Jeremiasz skarży się przed Bogiem, że jego życie mogło wyglądać inaczej. Ale że związał swoje życie z Bogiem tak, że właściwie nie miał życia dla siebie. Że związał swoje życie z Bogiem tak, że nie miał czasu dla siebie. Że zaufał Panu Bogu, i oto z tego właśnie powodu, że Bogu zaufał, to cierpi. Proszę popatrzeć — nam się wydaje, że kiedy wierzymy w Pana Boga i jesteśmy Mu wierni, to powinniśmy doczekać z tego tytułu nagrody, nasze życie powinno być łatwiejsze, powinno zasłużyć na jakąś Bożą przychylność. Tymczasem okazuje się że ceną, jaką się płaci za wierność Bogu, może być cierpienie. Ceną, jaką się płaci za wierność Bogu, jest oddanie

wszystkiego, co człowiek ma i kim jest, dla Pana Boga, bez możliwości otrzymania natychmiast nagrody. Dobry to jest tekst dla tych wszystkich, którzy przez całe życie trują się z Bogiem i dla Boga, i oto na jakimś etapie swojego życia muszą przeżyć coś ciężkiego, coś trudnego, coś, co jest jakby próbą wiary, albo widzą, że właściwie ta ich wierność Bogu zawsze wywoływała jakąś rezerwę ze strony innych. Pytają więc Pana Boga: „Jaki to ma sens?”

Stałem się codziennym pośmiewiskiem,
wszyscy mi urągają.

On, który głosił zagładę a jednocześnie wzywał do naprawy życia, do poprawy, do powrotu do Boga, stał się przedmiotem szyderstw, kpin, ironizowania. To bardzo częsta taktyka wobec tych, którzy głoszą potrzebę wierności Bożym przykazaniom. Nie polemika, nie argumentacja, ale właśnie wysmianie, wyszydzenie, wykpienie. I Jeremiasz tego doświadczył. Stałem się pośmiewiskiem, pokazują mnie palcami właśnie z powodu wierności Tobie.

Albowiem ilekroć mam zabierać głos, muszę obwieszczać: «Gwałt i ruina!»

Jeremiasz powiada; uczyniłeś mnie prorokiem, który ma zapowiadać nawrócenie i zapowiadać karę. Uczyniłeś mnie prorokiem tego, co najtrudniejsze. Dużo łatwiej byłoby być prorokiem, który zwiastuje pomyślność albo który obwieszcza rzeczy dobre. Ale on miał stać się prorokiem tego, co jest trudne, tego, co jest ciężkie, czego ludzie nie chcą słuchać, nie lubią słuchać.

I powiedziałem sobie: Nie będę Go już wspominał
ani mówił w Jego imię!

A więc wątpilem w sens swojej misji. Powiedziałem sobie: Nie będę więcej już wzywał do nawrócenia. Nie będę więcej ukazywał drogi dobra. Nie będę więcej pozwalał, żeby mnie ośmieszano, żeby ze mnie kpiono. Rezygnuję z tego, do czego mnie Bóg powołał!

Zauważmy: mamy rozterki ludzi powołanych. Z całą pewnością podobne trudności, podobne wątpienia, wątpliwości opadają niejednego, kto głosi prawdy Boże, i kto z tego tytułu, z tego powodu właśnie musi cierpieć.

Ale wtedy zaczął trawić moje serce jakby ogień,
Czyniłem wysiłki, by go stłumić,
lecz nie potrafiłem.

Chciał zrezygnować, ale w nim jest jakby ogień. Człowiek, który odczuwa głos powołania, czuje się jednocześnie jakby przymuszony przez Boga. Jeremiasz nie potrafił ugasić tego ognia. Ten ogień staje się dla niego jeszcze jednym źródłem cierpienia, ale nie pozwala mu stać bezczynnie. Będzie nadal głosił to i mówił to, do czego został powołany.

Tak, słyszałem oszczerstwo wielu:
«Trwoga dokoła!
Donieście, donieśmy na niego!»
Wszyscy zaprzyjaźnieni ze mną
wypatrują mojego upadku:
«Może on da się zwieść, tak że go zwyciężymy
i wyrzemy swą pomstę na nim!»

Jeremiasz ukazuje na kontrast między tym, co dzieje się w jego wnętrzu, a to jest niepewność, oraz pewnością tych, którzy go prześladują. Próbują go pochwycić, próbują go sprawdzić, próbują go zweryfikować. Głosi prawdy Boże — zobaczmy, jaki on naprawdę jest! Czy jest gotów za te prawdy cierpieć? Otóż Jeremiasz daje poznać Panu Bogu, że życie powołanego bywa naznaczone ogromnymi trudnościami. I w tym miejscu ta jego osobista rozmowa z Bogiem się zmienia. Zmienia się ton, i mamy takie słowa (Jr 20, 11):

Ale Pan jest przy mnie jako potężny mocarz;
dlatego moi prześladowcy ustaną i nie zwyciężą.
Będą bardzo zawstydzeni swoją porażką,
okryci wieczną i niezapomnianą hańbą.
Panie Zastępów ...

Panie Zastępów — teraz jego słowa przeobrażają się w modlitwę. Zauważmy: kiedy człowiek przeżywa coś bardzo trudnego, targają nim rozmaite uczucia. Muszę państwu przyznać się, że kiedy mając do czynienia z bardzo wieloma ludźmi w różnych miejscach, w różnych środowiskach, od czasu do czasu dowiaduję się, że ktoś musi przejść przez bardzo ciężką próbę ciężkiej choroby np. nowotworowej. Tak sobie myślę: co ten człowiek wtedy czuje? Miałem przyjaciela, który zapadł na taką właśnie chorobę. I powiedział, że najtrudniejsze są noce, i najtrudniejsze są poranki, kiedy człowiek się budzi i wydaje mu się, że jest osamotniony, że jest absolutnie sam. A potem przychodzi jakaś pociecha. To jest bez przerwy takie nieustanne zmaganie się ze sobą. Myślę, że zawsze trzeba mieć na uwadze to, że gdy myślimy o innych, o tych wszystkich, którzy cierpią — cierpią z bardzo różnych powodów, ale także o tych, którzy cierpią z powodu wierności Bogu i Jego woli — to musimy mieć na uwadze to, że ich serca, ich wnętrza, ich sumienia targają te rozmaite, krańcowo różne uczucia. I nie można się temu dziwić. Nie można też nalegać, żeby było inaczej. Tę odmienność, te przeskoki trzeba uszanować. Trzeba też zawsze prosić Pana Boga żeby na wypadek gdyby to, co trudne, miało mnie dotknąć, żebyśmy zawsze mieli dość siły, żeby przez to bardzo trudne przejść. I tu właśnie wtedy, kiedy Jeremiasz mówi o tym co trudne, to jego myślenie przeobraża się w modlitwę. To jest chyba najpiękniejsza umiejętność wierzącego człowieka gdy nasza refleksja, nasza niepewność, nasze myślenie na jakiś trudny temat potrafimy zamienić w modlitwę. Wiara potrzebuje rozumu, nie może być nierozumna. Rozum potrzebuje wiary. Rozum bez wiary jest czymś nierozumnym. Nie jest rzeczą rozumną rezygnować z wiary. I dlatego ile razy używamy rozumu, to tyle razy powinniśmy przenosić się także do królestwa wiary religijnej. Czyli refleksję uczyć się przeobrażać w modlitwę. Jeremiasz tak się modlił:

Panie Zastępów, Ty, który doświadczasz sprawiedliwego,
patrzysz na nerki

Nerki są symbolem wnętrza człowieka

i serce, dozwól,
bym zobaczył Twoją pomstę nad nimi.
Tobie bowiem powierzyłem swą sprawę.
Śpiewajcie Panu, wysławiajcie Pana!
Uratował bowiem życie ubogiego
z ręki złoczyńców.

Wątpliwości przeobrażają się w modlitwę, a modlitwa przeobraża się w uwielbienie Boga. Tak zawsze jest w życiu tych, którzy potrafią Bogu zaufać bez reszty. A gdy nam się już wydaje, że wobec tego to zakończenie jest tak piękne — bo Jeremiasz dziękuje Panu Bogu, uwielbia Pana Boga, i w jego ręce składa swoje losy — to natychmiast mamy jeszcze jeden motyw. Mianowicie prorok znowu popada w trudności, w apatię, w cierpienie i mówi tak:

Niech będzie przeklęty dzień, w którym się urodziłem!
Dzień, w którym porodziła mnie matka moja,
niech nie będzie błogosławiony!
Niech będzie przeklęty człowiek,
który powiadomił ojca mojego:
«Urodził ci się syn, chłopiec!»
sprawiając mu wielką radość.
Niech będzie ów człowiek podobny do miast,
które Pan zniszczył bez miłosierdzia!

Niech słyŝy krzyk z rana,
a wrzawę wojenną w południe!
Nie zabił mnie bowiem w łonie matki:
wtedy moja matka stałaby się moim grobem,
a łono jej wiecznie brzemiennym.
Po co wyszedłem z łona matki?
Czy ŝeby oglądać nędzę i utrapienie
i dokonać dni moich wśród hańby?

Kiedy człowiek cierpi, miotają nim wszystkie uczucia. Ta skarga Jeremiasza przypomina do żywego skargę Hioba. Otóż trzeba mieć ogromny szacunek, wielką wyrozumiałość, wielką tolerancję dla skarg, dla narzekań, dla lamentacji ludzi cierpiących. Ludzie cierpiący mają prawo się skarżyć. Ludzie cierpiący mają prawo wypowiadać swój żal, swoje obawy, swój lęk przed Bogiem. A przede wszystkim tak, jak Jeremiasz tutaj, zapytać o sens swojego życia. Dlaczego Bóg powołuje do istnienia i zleca misję tym, których życie z tego powodu staje się strasznie trudne? Jeremiasz stawia te pytania Bogu. Można by powiedzieć, że to jest nadmierny bunt. Że Jeremiasz nie jest tutaj wzorem do naśladowania.

Ale proszę zauważyć — odwaga Jeremiasza polega na tym, że wiernie opisał swoje doświadczenia wewnętrzne, że zachowały się na kartach Pisma Świętego dla nas. Wobec tego mamy niejako wgląd w jego wnętrze. Jeremiasz nie przegrał. Gdyby przegrał, to byśmy nigdy tych zwierzeń nie czytali. Jeremiasz pokazuje co może dziać się w duszy, we wnętrzu człowieka cierpiącego. Jednocześnie doprowadza nas do tego, że skoro o tym mówimy, skoro to czytamy, skoro to rozważamy, to nawet te najgłębsze wątpliwości zostały przezwyciężone. A więc jednak z tego trudnego doświadczenia powołania Jeremiasz wyszedł zwycięsko. I Bóg wyszedł zwycięsko będąc z nim i po jego stronie.

Ta droga proroka Jeremiasza miała później bardzo wielu naśladowców. A jego najbardziej wyrazistym naśladowcą był św. Augustyn. Otóż te wyznania Jeremiasza, których w jego Księdze jest więcej, stały się punktem odniesienia dla słynnych augustynowych *Confesiones*. Augustyn, którego życie było bardzo burzliwe, kiedy już był człowiekiem dorosłym ogląda się na swoje życie i próbuje uczynić, podzielić się sprawozdaniem niejako z tego, co działo się w jego sercu, w jego sumieniu, w jego wnętrzu. I patrzy na swoje życie oczami Jeremiasza. Mianowicie ukazuje obecność Pana Boga, który pisał prosto na krzywych ścieżkach jego życia. Ktoś, kto czytał „Wyznania” Augustyna, doskonale wie, że jest tam w nich taki głęboko wewnętrzny żar. I to właśnie na przykładzie życia Jeremiasza, i na przykładzie życia Augustyna i wielu innych im podobnych, budowały się później całe pokolenia wierzących w Boga, w tym także, a może nawet przede wszystkim, chrześcijan.

Dzisiaj bardzo dziękuję za uwagę z nadzieją, że ta refleksja pozwoli nam spojrzeć także i na własne życie w głębszy sposób. Zanim będę życzył wesołych i pogodnych Świąt, zapraszam państwa na poniedziałek 19 IV, dwa tygodnie po Wielkanocy. Będziemy zastanawiali się nad kolejnym powołaniem.

A teraz dobrych, błogosławionych Świąt. Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

7 Powołanie Amosa (10 maja 2010)

W Imię Ojca ... Ojciec nasz ... Stolica Mądrości ...

Bardzo, bardzo serdecznie państwa witam na kolejnym, siódmym w tym roku naszym spotkaniu. Chciałbym na samym początku przeprosić za nieobecność trzy tygodnie temu. Ale wynikała ona z tego, że przebywając na pielgrzymce w Ziemi Świętej obliczyłem sobie, że wrócimy w poniedziałek rano. A więc wystarczy trochę odpocząć, i tego samego dnia wieczorem mieliśmy mieć nasze comiesięczne spotkanie. Niestety okazało się, że jest gdzieś tam jakaś chmura pyłów wulkanicznych, samoloty zostały kilka dni wcześniej odwołane, i całe nasze pielgrzymowanie przedłużyło się o kilka dni. W sumie jednak przeżyliśmy bardzo piękną przygodę religijną i duchową. Mieliśmy wracać w poniedziałek. Ponieważ było to niemożliwe, to nazajutrz załatwiliśmy sobie przelot przez Rzym. I proszę sobie wyobrazić, że jednego dnia modliliśmy się w Ogrójcu i zwiedzaliśmy Jerozolimę, a nazajutrz mieliśmy mszę świętą pod Rzymem, a następnie krótkie zwiedzanie Rzymu połączone również z obecnością przy grobie Jana Pawła II. I wszyscy pielgrzymi, którzy byli w Jerozolimie poprzedniego dnia, na drugi dzień byli na Placu św. Piotra. A więc od Grobu Bożego, od Grobu Jezusa Chrystusa, do grobu Jana Pawła II. To było przeżycie przeogromne. A udało nam się zrobić ten przelot - proszę popatrzeć na metody działania. Otóż kiedy się okazało, że polskie samoloty nie mogą, nie ma możliwości, to załatwiliśmy samolot izraelski. Normalny samolot rejsowy zabiera na pokład ok. 200 osób. A ponieważ samych pielgrzymów z Polski było 170 osób, to podstawiono największy Boeing 747, który zabiera na pokład 420 osób, a więc ze trzy wioski. I wzięto nas wszystkich na pokład. I przelecieliśmy się tym potężnym interkontynentalnym samolotem do Rzymu. I potem, po zwiedzeniu Rzymu, po nawiedzeniu grobu Jana Pawła II, autokarami wróciliśmy do Warszawy. W Warszawie byliśmy w piątek rano. Wszystko się z poniedziałku przesunęło na piątek, ale była to rzeczywiście pielgrzymka bardzo niezwykła. Było tam również kilka osób spośród państwa. Mam nadzieję, że teraz są — chciałbym im bardzo serdecznie podziękować dlatego, że na samym początku tego rodzaju sytuacji wydają się bardzo trudne, i są bardzo trudne. Bo spodziewamy się powrotu do Polski a okazuje się, że to niemożliwe. Potrzeba dużo spokoju, dużo cierpliwości, dużo wytrwałości, żeby te trudniejsze warunki przyjąć. Zostały przyjęte i wróciliśmy szczęśliwie, dojechaliliśmy taką okrężną drogą. Chyba było to pierwszy raz spośród wszystkich pielgrzymek, jakie prowadziłem.

Druga okoliczność, o której nie można nie wspomnieć zanim przejdziemy do naszej konferencji, to oczywiście to, czym żyjemy od miesiąca, mianowicie katastrofa pod Smoleńskiem. Ja myślę, że wszystko na ten temat — wydawałoby się — zostało powiedziane. Ale na początku tej konferencji chciałbym powiedzieć kilka rzeczy tak, jak to widzę. I chciałbym poprosić, żeby każdy z państwa przemyślał to po swojemu, ale żeby myśląc o tym odniósł się również do tych wątków.

Otóż od tej pory Katyń, Smoleńsk mają dla nas wymiar podwójnie tragiczny. Problem polega na tym, że po miesiącu od tej tragedii — dziś upływa dokładnie miesiąc — mamy do czynienia z czymś, co moglibyśmy nazwać drugim kłamstwem katyńskim. Tamto kłamstwo katyńskie polegało na tym, że przez kilkadziesiąt lat byliśmy karmieni fałszem, który winą za to, co się wydarzyło, za uśmiercenie 22 tysięcy polskich oficerów, urzędników, duchownych, naukowców — ludzi, którzy tworzyli elitę duchową, intelektualną II Rzeczypospolitej, obarczono Niemców. Pod koniec września 1989 r. byłem w Katyniu z pierwszą grupą Rodzin Katyńskich. Jeszcze nie było wtedy w Polsce ks. prałata Peszkowskiego, który później koordynował wszystkie te sprawy. I kiedy dojechaliliśmy do Katynia autokarem przez Mińsk, Smoleńsk, to w Katyniu był jeszcze napis po rosyjsku, że zbrodnia jest sprawą hitlerowców, że zbrodnia jest sprawą Niemców. Przez całe kilkadziesiąt lat, a faktycznie przez cały okres powojenny, byliśmy karmieni fałszem. Nie tylko u nas, to nie tylko nasi pseudohistorycy i ideolodzy ponoszą za to odpowiedzialność. Również na Zachodzie kłamano naszym kosztem. Ameryka, Francja, Anglia — wszędzie. Trzeba to powiedzieć jasno, bo w przeciwnym wypadku będziemy nadal do starych kłamstw dodawać nowe. Wszędzie kłamano naszym kosztem i nigdzie nie można było doszukać się, dosłuchać, należytej prawdy o Katyniu. Kto jest odpowiedzialny za tamten Katyń?

Otóż trzeba powiedzieć tak: za tamten Katyń odpowiedzialni są bolszewicy, odpowiedzialny jest komunizm. Tamten Katyń nie był przypadkiem. Wymordowanie 22 tysięcy polskich oficerów to była zemsta bolszewików, komunistów — rozkaz podpisał Beria — za rok 1920. Nie mogli wybaczyć,

nie mogli zapomnieć, że komuna na Wiśle załamała się. Myśleli, że „związek nasz bratni ogarnie ludzki ród” — tak śpiewali. Mieli już gotową rewolucję na terenie Niemiec. Spodziewali się, że przejdą tylko przez Polskę wojska sowieckie, zdepczą Polskę, pójdą tam, połączą się z tamtymi — i rzeczywiście związek nasz bratni ogarnie ludzki ród.

Tak się nie stało, bo na przeszkodzie stanęli Polacy. Na przeszkodzie stanęło to, co nazywa się bitwą warszawską 1920 r. albo Cudem nad Wisłą. Tego zapomnieć nie mogli i nie zapomnieli. Upłynęło wtedy zaledwie 20 lat, w 39 r. 19 lat. To wszystko było świeże. Pamiętajmy, że ofiarą komunistów padali również Rosjanie, że rewolucja bolszewicka kosztowała istnienie kilku milionów Rosjan w okresie, gdy trwała. A i później komuna prześladowała Rosjan i ludzi innych narodowości. Więc to bolszewicy są odpowiedzialni za wymordowanie tych ludzi. Nieszczęście polega na tym, że do dzisiaj nie można o tym otwarcie mówić. Nie można mówić jaka była natura komunizmu, jaka była natura narodowego socjalizmu w Niemczech. Jaka była natura jednego totalitaryzmu, jaka była natura drugiego totalitaryzmu, kto organizował, kto stał na czele, kto opłacał te rewolucje itd. To są tematy tabu. Panowała zmowa milczenia — dam państwu tylko jeden przykład. Państwo zapewne wiedzą, że interesuję się od dziecka filatelistyką, znaczkami pocztowymi. I myśmy mieli bardzo prosty dowód na sprawę kłamstwa katyńskiego, ten mianowicie. Mówiliśmy, że jeżeli zamordowali oficerów polskich i resztę Polaków Niemcy, to pokażcie nam listy napisane w roku 1940, 1941. Skoro to było 22 tysiące ludzi — pokażcie jeden list, który pochodzi z tamtego okresu i jest skierowany do rodziny. To wtedy zabroniono na spotkaniach filatelistów, na posiedzeniach rozmaitych filatelistycznych organizacji wspominać o Katyniu i o korespondencji ze Wschodu. Bo nie mogli pokazać żadnego listu, żadnej kartki pocztowej — wszystko urywało się w lutym albo na początku marca 1940 r. Potem koniec!

Więc to jest jedno kłamstwo katyńskie. I powiedzmy sobie jasno, że przez cały okres PRL-u kłamano w szkołach, kłamano w podręcznikach, kłamano w książkach. I tylko w rodzinach albo od solidnych nauczycieli można było dowiedzieć się, kto jest odpowiedzialny za tamtą zbrodnię. Ale po 1989 r. nikt z tych, którzy kłamali, nie został pociągnięty do żadnej odpowiedzialności. Nikogo nie pokazano palcem ani nikomu nie zrobiono najmniejszej szkody, choćby takiej o charakterze moralnym. Nic! A więc kłamstwo zostało w jakiś sposób usankcjonowane, uprawomocnione. To jest prawdziwy dramat dlatego że ci, którzy kłamali przez tyle lat, potem poczuli się zupełnie bezkarni.

I na tym tle lepiej widać to, co się wydarzyło miesiąc temu. Proszę mi wybaczyć ale czuję, że jest to obowiązek mówienia otwartego, zwłaszcza w kościołach, zwłaszcza przez kapłanów. Otóż nieszczęście polega na tym, że upłynęło 30 dni i my zamiast wiedzieć coraz więcej, wiemy coraz mniej. I zamiast wiedzieć coraz więcej i rozumieć coraz więcej, to my wiemy i rozumiemy coraz mniej. Otóż sprawa staje się coraz bardziej zagmatwana. A już zupełnie karygodną rzeczą było to, że przez kilka tygodni podawano niewłaściwą godzinę katastrofy. Otóż godzina katastrofy była znana od pierwszej chwili dlatego, że samolot przeciął linię wysokiego napięcia. I w związku z tym samolot, który podchodził do lądowania, właściwie już zbliżał się do katastrofy. I co do sekundy znany jest czas przecięcia linii wysokiego napięcia. Oczywiście był znany od początku — podano kilkanaście minut później. Gdyby ta katastrofa była w Ugandzie, na wyspie Borneo czy gdziekolwiek — ale ta katastrofa odbyła się nie tak bardzo daleko od nas. I jeżeli my nie znamy nawet godziny, i obchodziliśmy godzinę 8:56 czy ileś tam, jako godzinę katastrofy, to co się działo przez te 15 minut? Nie tylko to jest pytanie do Rosjan, to jest pytanie bardziej do Polaków. Również jeżeli mówi się, że lotnisko było nieprzygotowane, że mgła, że warunki nie takie, że światła nie takie, że to, że tamto — to jeżeli lotnisko jest nieprzygotowane, to się ludzi nie wysyła, to się nie wysyła samolotu, to się nie organizuje czegoś takiego. Otóż jeżeli w każdym samolocie niezależnie od tego, czy siedzi w nim prezydent, czy siedzi w nim prosty człowiek, to ten prosty człowiek, i prezydent, ufa tym, którzy to organizują, że wiedzą, co robią, wiedzą, dokąd lecą, i wiedzą że mogą, jeżeli się nie wydarzy nic absolutnie nieprzewidzianego, bezpiecznie wylądować.

Stało się inaczej. I tu pytania można mnożyć, i mnożyć, i mnożyć. I w moim przekonaniu obowiązkiem wszystkich Polaków jest dopilnować, żeby do jednego kłamstwa katyńskiego nie zostało dodane drugie kłamstwo katyńskie. Otóż my musimy wiedzieć, kto ponosi odpowiedzialność za tę katastrofę. Ta prawda może być trudna, może być dla kogoś bolesna, ta prawda może odwrócić pewne układy polityczne itd. Ale ta prawda też mówi bardzo dużo o naszym państwie, o sposobie rządzenia, o sposobie informowania, o sposobie administrowania państwem, o sposobie traktowania

swoich obywateli — zarówno tych, którzy wylecieli, jak i tych, którzy o tym słyszą. Więc obawiam się, że ujawnienie pełnej prawdy jest bardzo wielu osobom i środowiskom nie na rękę. Bo trzeba będzie postawić konkretne pytania o odpowiedzialność. Ale to nie znaczy, że ujawnienie tej prawdy należy odłożyć na następne pokolenia. Ani to nie znaczy, że musimy trwać w jakimś amoku. Bo niezależnie kto jest odpowiedzialny, myślę, że to jest w dużej mierze do ustalenia. I myślę, że trzeba to wiedzieć po to, żebyśmy mieli czystą atmosferę u siebie, żebyśmy mogli mieć poczucie, że żadna polityczna historia nie może być organizowana kosztem prawdy. Bo taką politykę historyczną, która była uprawiana kosztem prawdy, mieliśmy w przypadku pierwszego kłamstwa katyńskiego. A teraz mamy pełne prawo do tego żebyśmy wiedzieli, dlaczego prawie sto osób na oczach świata, bo tak to wygląda, zginęło. Można by mówić wiele, ale kiedy byliśmy w tym czasie w Ziemi Świętej, w Izraelu, potem we Włoszech, to pojawiała się jedno słowo — że właściwie to jest kompromitacja, że do czegoś takiego doszło. Bo do czegoś takiego w świecie nie dochodzi. Więc można by snuć ewentualne domysły o zamachu itp., ale żeby to absolutnie wykluczyć, żeby sytuacja była czysta, to musimy tę prawdę poznać. W przeciwnym wypadku może się okazać, że skieruje się światła w zupełnie inną stronę niż ta, która ma związek z prawdą o Katyniu i o tym, co się tam wydarzyło.

I ostatnia naprawdę rzecz — zanim przejdziemy do naszej refleksji. Zmarli zostali pochowani. Ci, którzy zginęli, zostali pochowani na cmentarzach w różnych miejscach Polski. Osobiście uważam, że powinni być pochowani wszyscy w jednym grobie, najlepiej w Świątyni Opatrzności Bożej. Nadałoby to tej świątyni charakter narodowego sanktuarium. Nadało by to tej świątyni charakter sanktuarium, w którym gromadzą się ludzie różnych opcji politycznych, różnych spojrzeń — bo tam byli bardzo różni ludzie i każdy z nich miał dobre, szlachetne intencje. I na tym przykładzie dobrze widać, że dobro i zło nie przebiega pomiędzy ludźmi, tylko przebiega w każdym człowieku. Więc może byłoby najlepiej, gdyby była taka wspólna mogiła wszystkich, zaczynając od obydwu prezydentów, po pilotów i stewardessy. Stało się jednak inaczej. Zostali pochowani w różnych miejscach Polski. I myślę, że to nie pomaga nam czcić solidarnie pamięci ich wszystkich. Dlatego zaistniały rozmaite spory: kto gdzie itd., państwo to wiedzą lepiej ode mnie, bo byliście tutaj w Polsce. Gdyby to było w jednym miejscu, wtedy ich wspólny los tworzyłby jednocześnie podstawę pewnej wspólnej historii. Uważam, że można to było zrobić, i moim skromnym zdaniem należało to zrobić.

Ale teraz czas jest bardzo trudny dla tych rodzin, dla rodzin, które pozostały. To jest najtrudniejszy czas. Bo na cmentarzach już powoli kwiaty więdną, mowy są zapominane, natomiast do domu nie wraca tata, nie wraca mama, nie wraca mąż, nie wraca żona, nie wraca brat, nie wraca siostra. Ci ludzie muszą na nowo przeorientować, ułożyć swoje życie. Wielu z nich osierociło dzieci, czasami są to liczne rodziny. Inni byli dorosłymi ludźmi ale wiadomo, że każdy dorosły ma rodzinę, najbliższych itd. Wydaje mi się że najwyższy czas, żeby te wszystkie rodziny poczuły wielką solidarność wszystkich swoich braci i siostr, czyli taką solidarność polską. Że nie można pójść w kierunku sporów, konfliktów. Prawdę musimy wyjaśnić z szacunku dla prawdy, i z szacunku dla tych, którzy zginęli, i z szacunku dla siebie. Ale musimy też okazać współczucie i wrażliwość wobec tych, którzy pozostali. Może byłoby im łatwiej — tak sobie myślę — gdyby mogli przyjść na wspólny grób, i gdyby mogli przyjść i wiedzieć, że w tym bólu, w tym cierpieniu jakoś odczuwa się solidarność. A tak każdy pójdzie na swój cmentarz, każdy pójdzie do swojego grobu. I są wśród nas pewnie wszyscy, którzy przeżyli śmierć najbliższych. więc doskonale wiedzą, jakie uczucia wtedy człowiekowi towarzyszą. Natomiast taka śmierć ma w sobie wyjątkową wymowę. Dlatego, kiedy czujemy ten wspólny dramat to myślę, że obowiązkiem nas wszystkich, niezależnie od tego, czy będzie to głośno mówione czy nie, jest przynajmniej cicha modlitwa w intencji tych, którzy zginęli. Ale oni są w ręku Boga, i to już Pan Bóg będzie o ich losach decydował. Z całą pewnością była to śmierć, która jakoś okupiła rozmaite ludzkie słabości. Natomiast to, co do nas należy, to jest życzliwa serdeczność, dobroć wobec tych, którzy zostali, którzy przeżywają żalobę.

I jeszcze jedno pytanie, które się pojawia. Gdzie był Pan Bóg? Gdzie podczas tej katastrofy był Pan Bóg? Gdzie w ogóle jest Pan Bóg wtedy, kiedy takie rzeczy się dzieją? Pan Bóg nie mógł jakoś zadziałać? Gdzie był? Robi się z tego czasami oskarżenia przeciwko Bogu. Czy wiemy, gdzie był Pan Bóg? Oczywiście, że wiemy! Drodzy państwo, Pan Bóg był w tym samolocie, Pan Bóg był z tymi ludźmi. Pan Bóg był w sercach i sumieniach wtedy, kiedy przeżywali — bo zdawali sobie sprawę według naszej obecnej wiedzy przynajmniej przez kilkanaście sekund, a może znacznie dłużej, że zginą albo że zginąć mogą. Z całą pewnością Pan Bóg był z nimi. Z całą pewnością każdy

i każda z nich modlił się do Boga, i z całą pewnością w duchu pożegnał swoich bliskich, zrobił rozrachunek ze swoim życiem. Nigdy nie będziemy wiedzieli co się w takiej sytuacji dzieje. Nigdy — bo ci, których te sytuacje dotyczą, zabierają tę tajemnicę do grobu. Może kiedyś powstanie film, bo ludzie na wszystkim robią pieniądze, film o katastrofie pod Smoleńskiem, i będą pokazywać aktorzy rozmaite zachowania, i będą wzruszać. Ale nas nie interesują aktorzy. Nas interesuje to, co tam się wydarzyło. I tam był Pan Bóg, Pan Bóg był z nimi. Oni udawali się by pomodlić się, uczcić, upamiętnić tych, którzy zginęli. Okazało się, że zapłacili za to podobną cenę. I tak jak Pan Bóg był z tymi, którym strzelano w tył głowy, tak Pan Bóg był również z tymi, którzy uświadomili sobie, zrozumieli, że to są ostatnie sekundy ich życia. Pan Bóg jest zawsze po stronie cierpiących, Pan Bóg jest zawsze po stronie prześladowanych. Nie można winić Boga za to, za co odpowiedzialność ponoszą ludzie. Nie wolno winić Boga za to, że nie powstrzymuje ręki zbrodniarzy, że nie zmienia praw fizyki, nie dokonuje cudów w ostatnim momencie. Natomiast trzeba nam przyjąć z wiarą że zmarli z Panem Bogiem, że ostatnie sekundy, ostatnie chwile ich życia były takim prawdziwym męczeństwem. I trzeba nam przyjąć z wiarą że taki jest właśnie los ludzi, którzy wiążą swoje życie z Panem Bogiem. Czasami los pisze zupełnie inne scenariusze niż te, które myślimy sobie wyobrazili. I tego dnia — co za paradoks — każdy, kto został zaproszony do prezydenckiego samolotu, czuł się tym zaszczycony. Gdyby kogoś z nas zaproszono do tego prezydenckiego samolotu, zostawilibyśmy wszystko i byśmy polecieeli. Nie z powodu jakiegoś egoizmu czy pychy, tylko z powodu tego, że czujemy wtedy ten oddech historii. I polecilibyśmy tam, do tego Katynia, żeby tam się pomodlić i żeby tam uczcić tych, którzy zostali wymordowani.

I proszę popatrzeć — ten zaszczyt stał się zaszczytem zupełnie innego rodzaju. Mianowicie przeobraził się w coś, co stało się dramatem. Ale ich śmierć nie może pójść na marne. Ta ofiara, bo to jest ofiara — nie byli tego świadomi ale człowiek nie wybiera wszystkiego, co go w życiu czeka. Czasami musi przyjąć życie takim, jakie ono jest. I ich też nikt nie pytał, czy chcieliby zginąć. Natomiast z całą pewnością ma to wymiar takiej ofiary złożonej dla prawdy i za prawdę. I trzeba zrobić wszystko żeby to, co tam się wydarzyło, żeby nas łączyło i żeby jednocześnie jeszcze bardziej przybliżyło nas wszystkich do Pana Boga. I pokazało, że w sprawach najbardziej dramatycznych, wspólnych, narodowych, nie wolno dzielić, nie wolno jątrzyć. Wiemy, że i ta katastrofa była jakąś pochodną — nie skutkiem, ale pochodną — podziałów politycznych, rozdziałów na ugrupowania polityczne. Nie wolno dopuszczać do takich rzeczy że ci, którzy biorą na siebie odpowiedzialność za życie publiczne, społeczne, muszą rozumieć że trzeba tę odpowiedzialność przeżywać i ponosić w całości. I zwłaszcza my wierzący, wierzący w Pana Boga, musimy — raz jeszcze do tego wracam — domagać się prawdy. I tak, jak osiągamy powoli prawdę o tych, którzy zostali wymordowani 70 lat temu, to musimy dojść do prawdy o tych, którzy oddali swoje życie miesiąc temu. I to jest warunek tego, żebyśmy mogli — mężczyźni przy goleniu a kobiety jeszcze częściej — popatrzeć w lustro, zobaczyć swoją twarz i wiedzieć, że możemy czytać gazety, możemy oglądać telewizję, możemy przeglądać internet — ale musimy zachować zdrowy rozsądek, musimy zachować krytycyzm i musimy zachować umiłowanie prawdy. Bo bez tego, jestem przekonany, że najbliższe tygodnie przyniosą tam rozmaite zawirowania i zachwiania, rozmaite sensacje i pseudosensacje. Natomiast najważniejsze jest to, żebyśmy wspólnym wysiłkiem tej ofiary, mówiąc najkrócej, nie zmarnowali.

Myślę, że teraz możemy przejść do tematu, który pod wieloma względami wydaje się zupełnie odmienny, różny od tego, o czym będziemy mówili. Ale ja myślę że ci z państwa, którzy będą uważnie słuchać, dopatrzą się bardzo wielu analogii do tego, co się dzieje, do tego, z czym mamy do czynienia dzisiaj, i również bardzo wielu analogii do tego wszystkiego, na co zwracałem uwagę na początku naszego spotkania. Otóż chciałbym się zająć powołaniem proroka Amosa. Przedziwna to jest rzeczywistość tego powołania i myślę, że niesłychanie wymownie przystaje do okoliczności, z jakimi mamy do czynienia. Otóż przedmiotem naszej refleksji będzie starotestamentowa Księga Amosa, jej bardzo krótki fragment w rozdziale 7, od wiersza 7 do 17. Natomiast nas bardziej interesuje sytuacja historyczna i myślę, że państwo dopatrzą się pewnych analogii.

Otóż rzeczywistość, o której mówimy, dzieje się ok. 750-go roku przed Chr., czyli ponad 2700 lat temu. Wtedy biblijny Izrael był podzielony na dwa królestwa. Proszę popatrzeć: podział, podział polityczny. Królestwo na północy nosiło nazwę Królestwo Izraela, królestwo na południu nosiło nazwę Królestwo Judy. Na północy stolicą była Samaria, na południu stolicą była Jerozolima. Z Samarii do Jerozolimy było 60 km. Proszę popatrzeć — odległość z Warszawy do Wyszkowa. Co

to za odległość i co to za królestwa — właściwie to wielkości naszych większych powiatów, albo małego województwa! Ale buta, egoizm, pycha, chciwość, niesprawiedliwość doprowadziły do tego, że te królestwa zaistniały. I w momencie, kiedy zaistniały, to racje polityczne zaczynały się wiązać z racjami religijnymi. Mianowicie religia stała na usługach polityki, a polityka bardzo chętnie dowartościowywała i zajmowała się tym, co miało charakter i aspekt religijny. Otóż ponieważ przed podziałem, który nastąpił w roku 930, świątynia w Jerozolimie była miejscem pielgrzymek wszystkich Izraelitów, i jako taka mogła stać się również miejscem pielgrzymek tych z północy, to pierwszy władca, który miał na imię Jeroboam, zadbał o to, żeby w tej północnej części podzielonego królestwa sporządzić dwa sanktuaria. Jedno wysoko na północy w miejscowości Dan, a drugie na południu w mieście, która nazywało się Betel. To Betel było położone 12 - 14 km od Jerozolimy — jak stąd do Ursynowa, czy podobnie. Wszystko to są małe odległości. Ale wielka pycha, duma, egoizm, chciwość, potrafi nawet podzielić małe terytoria i niewielkie grupy ludzi. Więc żeby odwrócić tych pielgrzymów, swoich mieszkańców, od pielgrzymowania do Jerozolimy, urządził dwa sanktuaria. I w tych sanktuariach trwało oddawanie czci Bogu. Nasza historia, nasza opowieść dotyczy sanktuarium w Betel ok. roku 750, czyli 180 lat po podziale. Ponieważ było to sanktuarium ustanowione przez króla, dlatego król poczuwał się do obowiązku ustanawiania tam kapłanów, którzy oczywiście reprezentowali jego interesy. I sanktuarium miało charakter nie tylko narodowy, ale miało także charakter polityczny. I oto do tego sanktuarium w Betel przybywa człowiek spoza wszelkich układów. Przybywa człowiek, który ani nie jest władcą, ani nie jest związany z dworem królewskim, ani nie jest kapłanem — nie może sprawować tam żadnych funkcji kapłańskich. I przybywa z miejscowości Tekoa, która znajduje się w pobliżu Betlejem, a więc na południe od Jerozolimy, a nie na północy, gdzie znajduje się to sanktuarium.

Przybywa ów człowiek tam, ma na imię Amos, i zaczyna wygłaszać mowy. Te mowy są oskarżycielskie. Mówi bardzo dosadnie o tym, że sposób życia mieszkańców królestwa północnego i Samarii, i sposób sprawowania kultu religijnego jest zły, że jest niewłaściwy. Że religijność, pobożność tamtejsza stała na usługach dobrego samopoczucia, na usługach pomyślności ekonomicznej. I w związku z tym wygłasza bardzo twarde słowa.

Tu państwo zauważą pewien paradoks, pewną biegunowość. Otóż każda religia potrzebuje dwóch typów ludzi, mianowicie potrzebuje proroków i potrzebuje kapłanów. Zaczniemy od kapłanów: kim jest kapłan? Kapłan to człowiek, którego zadaniem jest reprezentować wiernych przed Bogiem. Przychodzimy do kapłana, prosimy go o modlitwę o wstawiennictwo, o składanie ofiar w Starym Testamencie — żeby Boga przebłagać, żeby Boga przeprosić, żeby od Boga coś otrzymać. Mamy to po dzień dzisiejszy. Wydaje nam się, że pośrednictwo kapłana może być skuteczniejsze, że kapłan ma szczególniejsze więzi z Bogiem. Zatem to, czego nie potrafimy załatwić — tak to nazywajmy trochę kolokwialnie — sami, to powierzamy także kapłanowi, prosimy go o modlitwę w naszej intencji sądząc, nie bez słuszności, że może być skuteczna.

A więc kapłan to jest rzecznik ludzi przed Bogiem. Natomiast prorok to jest rzecznik Boga przed ludźmi. Mianowicie powinnością proroka, zadaniem proroka jest mówić, przypominać ludziom wolę Bożą, Boże przykazania, Boże nakazy. Przypominać ludziom jak powinni żyć, prostować ludzkie ścieżki, wzywać do nawrócenia. I zaczynają państwo czuć, że rola proroka jest znacznie trudniejsza, niż rola kapłana. Bo o ile do kapłana można przyjść i przedstawić mu swoje sprawy po swojemu, o tyle od proroka można usłyszeć słowa, których słyszeć nie chcemy. I w związku z tym ci, którzy mówią prawdę, w każdej religii, także w chrześcijaństwie, nie cieszą się specjalnym uznaniem, bo ta prawda może być trudna. Cieszą się uznaniem dopiero ex-post, najlepiej po śmierci, bo wtedy przestają być już niebezpieczni, natomiast ukazuje się prawdziwość tego, o czym mówią.

Więc w każdej religii jest prorok i kapłan. I w każdej religii jest swoiste napięcie, a nawet konflikt, między jednym a drugim. Ludzie wierni zawsze wolą słuchać tego, co im pasuje, a nie chcą słuchać tego, co nie przystaje do modelu, do wzorca ich życia. Obowiązkiem proroków jest również prostowanie dróg kapłanów, i to jest zadanie najtrudniejsze. I to najtrudniejsze zadanie przypadło w udziale Amosowi. Mianowicie Amos, udał się do Betel, do sanktuarium w którym składano ofiary, sanktuarium królewskiego, sanktuarium do którego przychodziły tysiące wiernych i przedstawiały swoje sprawy Bogu. I tam Amos powiada nie mniej, ni więcej, tylko tak (Am 7, 9):

Spustoszone będą wyżyny Izaaka

i świątynie Izraela będą zniszczone.

Wystąpię z mieczem przeciwko domowi Jeroboama.

Dom Jeroboama — to są władcy tego królestwa północnego. I zapowiada prorok, że cały ten kult schizmatyczny zostanie zniszczony. Zapowiada także inne rzeczy. Mocno występuje przeciwko niesprawiedliwości społecznej. Mocno występuje przeciwko bogaceniu się jednych a biedzie drugich. Mocno występuje przeciwko nadużyciom władzy, przeciwko uciskowi biednych. Wszystko to mówi, i spowodowało to następującą reakcję. I teraz przechodzimy do tego, co tam się wydarzyło. Kiedy zapowiada klęskę północnego Izraela, klęskę tej północnej części, zapowiada klęskę przywódców, klęskę kapłanów i klęskę ludu — wtedy (Am 7, 10-11):

Posłał Amazjasz, kapłan z Betel, do Jeroboama, króla izraelskiego, aby mu powiedzieć: «Spiskuje przeciw tobie Amos pośród domu Izraela. Nie może ziemia znieść wszystkich mów jego, gdyż tak rzekł Amos: „Od miecza umrze Jeroboam i Izrael będzie uprowadzony ze swojej ziemi”».

Zauważmy: kapłan w tym sanktuarium robi donos do króla. Kapłan jawi się tu jako swoisty królewski urzędnik. Król go wyznaczył, wobec tego królowi jest winien lojalność. Zwróćmy uwagę na bardzo ważny szczegół. Amazjasz, ów kapłan, nie próbuje weryfikować czy to, co mówi Amos, jest prawdziwe czy nieprawdziwe. Jego to nie obchodzi. Donosi królowi że to, co robi Amos, co robi prorok, to jest spisek przeciwko królowi. Nie weryfikuje tego. Takie są mechanizmy propagandy po dzień dzisiejszy. Nie sprawdza się, czy to jest prawda, czy to jest nieprawda. Otóż sprawdza się natomiast czy to pasuje, bądź nie pasuje, czy to przystaje, bądź nie przystaje, do określonego wzorca uprawiania polityki. Jeżeli rzeczywiście do tej polityki, do tej ideologii nie przystaje, tym gorzej dla rzeczywistości. Amazjasz nie zadaje sobie pytania: czy Amos ma rację? Być może ma, a może nawet uważa, że na pewno ją ma. Ale takich rzeczy nie wolno mówić. Otóż kapłan Amazjasz staje się tutaj cenzorem, cenzorem na usługach króla. I to, czego naucza Amos, nazywa spiskiem: „Spiskuje przeciw tobie Amos pośród domu Izraela”. A więc nawet mówienie prawdy, nawet rzetelna ocena rzeczywistości, nawet solidne i sumienne odniesienie się do tego, jak wygląda życie i ocena tego, może być nazwane spiskiem i knowaniem. Państwo wiedzą, że i w naszych czasach mówi się, że są *fakty*, oraz są *fakty prasowe* czyli takie, które istnieją tylko w gazetach. Istnieją tak, bo tak o tym napisano. Nie próbuje się weryfikować rzeczywistości, tylko tworzy się rzeczywistość obok. Na tym opierają się mechanizmy propagandy zwłaszcza w telewizji, gdzie przyjmujemy taki obraz świata, jaki jest nam podawany, taki obraz wydarzeń, jaki natychmiast jest opatrzone komentarzami i dodatkiem. Zazwyczaj jest tak, że gdy dzieje się coś ważnego, to natychmiast następuje swoista publicystyka która ma nam powiedzieć, co my na ten temat mamy myśleć.

I tu jest dokładnie taka sama sytuacja. Amazjasz, kapłan, robi donos do króla przeciwko prorokowi nie dochodząc tego, czy prorok mówi prawdę, czy nie mówi prawdy. Nawet, jeżeli mówi prawdę to tym gorzej dla niego, tym gorzej dla prawdy. Bo tego rodzaju prawda nie powinna być w tym sanktuarium mówiona. A jaka to była prawda?

„Od miecza umrze Jeroboam i Izrael będzie uprowadzony ze swojej ziemi”

To miało miejsce w roku 750. Wybiegnijmy nieco w przyszłość: w roku 722 przed Chr., czyli niecałe 30 lat później, Izrael został uprowadzony do niewoli przez Asyryjczyków. Asyryjczycy z terenu północnego królestwa, tego, o którym mówimy, zawlekli do Mezopotamii, do Asyrii ponad 50 tysięcy izraelskich niewolników. Rozpoczął się czas asyryjskiego wygnania. Prorok miał rację ale trzeba było czekać 30 lat, żeby to się spełniło. Tu, na tym etapie, jeszcze nie wiedzą, nie dopuszczają do siebie myśli, że to się spełni. Zwróćmy uwagę jeszcze na jeden szczegół — na ten mianowicie, że Amazjasz powołuje się, że to jest jego świątynia, jego miasto, jego król. A więc w tej świątyni, w tym mieście, i o królu można mówić tylko to, co jest dopuszczalne. A więc tylko to, co należy mówić. Nie można tutaj mówić prawdy. Należy mówić to, co się królowi i jego urzędnikom, dostojnikom podoba. I dalej:

I rzekł Amazjasz do Amosa:

Pierwsza część to było: Amazjasz robi donos do króla — to bardzo częsta sprawa, to bardzo częsta rzecz. Przedstawić wszystko tak, żeby władców wzburzyć i pobudzić do działania. Natomiast drugi aspekt działalności Amazjasza to:

I rzekł Amazjasz do Amosa: «„Widzący”, idź, uciekaj sobie do ziemi Judy! I tam jedz chleb, i tam prorokuj! A w Betel więcej nie prorokuj, bo jest ono królewską świątynią i królewską budowlą».

Państwo doskonale wiedzą, że kiedy czytamy tekst po polsku, to jest to tekst przetłumaczony, złagodzony, i nie zawsze można oddać wszystkie niuanse tak, jak to brzmi w oryginale. Otóż kapłan Amazjasz zwracając się do proroka Amosa nie nazywa go prorokiem. Słowo *prorok* po hebrajsku brzmiało nawí. Gdyby go nazwał prorokiem to znaczy, że musiałby uznać jego racje. tego nie robi. Nazywa go po hebrajsku hozé, co zostało po polsku przetłumaczone jako *widzący*. Ale to nie jest dobre określenie bo ono nie pozwala zrozumieć, że to hebrajskie hozé jest takie pejoratywne, jest pogardliwe. Gdyby to się chciało przetłumaczyć dosłownie na polski, to byłoby jakoś tak: *Podpatrywaczu, podglądaczu, wynoś się stąd!* Podglądasz rzeczywistość, podpatrujesz. Nie nazywa go prorokiem. Otóż bardzo często w języku polityki sprzężonej z religią do głosu dochodzi wymiar pogardy. Jeżeli się chce kogoś sponiewierać, to nie podejmuje się z nim dyskusji, tylko się odnosi do niego w sposób pogardliwy. I to już z miejsca ustawia wszystko na najbliższą i dalszą przyszłość. proszę popatrzeć, że tego rodzaju strategii, tego rodzaju polityki pogardy nie brakuje i w naszym języku i dyskursie politycznym.

Otóż Amazjasz powiada do Amosa: „Widzący” — ale to jest takie pogardliwe — ty podpowiadaczu, idź sobie, uciekaj!” Po polsku trzeba by powiedzieć lepiej — przepraszam, że to powiem, ale należałoby to przetłumaczyć: „Won, won!” , wtedy rozumiemy dopiero! Ale tłumacz nie tłumaczy w ten sposób, bo mu to za ostro brzmi. Ale taki jest tego sens — do króla donos, a do proroka: Wynoś się! Precz! Poszedł stąd! Chce go wygonić, chce go wypędzić. Uciekaj do ziemi Judy, i tam jedz chleb, i tam prorokuj!

I tu pojawia się bardzo znamienita sugestia. Amazjasz sugeruje, że Amos przepowiada nieszczęścia, przepowiada klęskę, ponieważ czeka na datki, na pieniądze, na zapłatę. Jak mu przyniosą zapłatę, to będzie przepowiadał pomyślność, to będzie przepowiadał to, co dobre. Wobec tego mówi mu: Tu dla ciebie chleba nie ma. Wracaj do ziemi Judy, skąd przyszedłeś, do tego Tehoe koło Betjejem — a tutaj na to ci nie pozwolimy. Proszę zauważyć, że wobec osoby, która mówi prawdę, Amazjasz sugeruje: jaki on ma w tym interes? Ile on z tego ma? Co on z tego ma? Otóż to znów jest bardzo sugestywna strategia zabijania prawdy i usuwania tych, którzy prawdę mówią. Mianowicie zasugerowanie ich interesowności. Bo gdyby otrzymali więcej — tak się sugeruje — to by mówili inaczej. A ponieważ na razie mu nie płacą, to wróży nieszczęścia. W ten sposób nie tylko nie odnosi się ów oskarżyciel do tego, o czym mówi Amos, ale, co więcej, próbuje zupełnie zdyskredytować nie tylko to, co on mówi, ale także jego osobę zarzucając mu, że jest człowiekiem interesownym i że to, co robi, robi dla zysku. I wobec tego nakazuje mu, by udał się gdzie indziej. Ale kto z państwa spróbuje sobie wyobrazić tę sytuację to może powiedzieć tak. Amos i tak miał szczęście dlatego, że gdy król dowiedział się, że spiskuje przeciwko niemu Amos, to mógł przecież wydać nakaz aresztowania, pojmania, a następnie skazać go na śmierć za spisek, za krnąbrność, i za wrogość. Wydarzało się to w historii wielokrotnie że ci, którzy mówili prawdę, przyplacili to życiem. Ale zdarzało się w historii również wielokrotnie, że władcy dopuszczali do siebie myśl, że nie jest dobrze mnożyć męczenników. Nie jest dobrze, żeby jakaś prawda, żeby coś prawdziwego zostało okupione ceną życia. Tutaj przygotowujemy się teraz w jakiejś perspektywie do beatyfikacji ks. Jerzego Popiełuszki. Proszę zwrócić uwagę, że w gruncie rzeczy jego śmierć, znów tragiczna, przyniosła skutki odwrotne do tego, co zamierzali, czego chcieli jego oprawcy. Oni chcieli go uciszyć. A on stał się najgłośniejszy wtedy, kiedy nie wypowiedział ani słowa, kiedy został zabity. Oni chcieli go wyeliminować, wyrzucić go nocą do Wisły, i zapomnieć. Jeszcze z kamieniami przytwierdzonymi do nogi, żeby nie wypłynął, żeby go zapomnieć. Ale okazało się, że właśnie wtedy, kiedy ta prawda była spętana i niema, że właśnie wtedy stała się najgłośniejsza. Dlatego bywa tak, że władcy posuwają się do zabójstw, ale bywa również tak, że władcy wiedzą że im się to nie opłaci. Dlatego, że prawda otrzymuje po śmierci człowieka, który ją głosi, jeszcze nowy, jeszcze silniejszy, jeszcze

mocniejszy wymiar. Zapewne to przesądziło, że król Jeroboam nie poleca Amosa zabić. Poleca go wyrzucić, wyrzucić z tego sanktuarium. A narzędziem tej decyzji staje się kapłan Amazjasz. Mamy tutaj to, co zostało później po łacińsku nazwane *brachium saeculare* — *ramieniem świeckim*, kiedy to między tym, co polityczne, i tym, co religijne, dochodzi do swoistej zmywy żeby wyeliminować tego, kto do układu nie przystaje.

I trzecia część tego epizodu:

I odpowiedział Amos Amazjaszowi: «Nie jestem ja prorokiem ani nie jestem uczniem proroków, gdyż jestem pasterzem i tym, który nacina sykomory.

Otóż Amos kładzie kres tym domysłom i oskarżeniom Amazjasza. Powiada o sobie: „Nie jestem prorokiem” — tzn. nie chcę nim być, nie chciałem nim być. Być prorokiem — to nie jest decyzja. Być prorokiem — to jest wewnętrzny imperatyw, to jest wewnętrzny żar który sprawia, że człowiek nie może inaczej. „Nie jestem uczniem proroków” — dodaje. Były wtedy tzw. szkoły prorockie gdzie uczono, jak należy zachowywać się w tych sytuacjach, gdy ludzie potrzebują jakiejś oceny rzeczywistości. Amos mówi: nikt mnie tego nie uczył! Nie przybyłem to, do Betel dlatego, żeby coś znaczyć, ani nawet dlatego, że sam o tym postanowiłem. Nie przybyłem tutaj, żeby mówić o tych nieszczęściach, dlatego, że mnie tak nauczono. Dlaczego? Bo ja jestem pasterzem i tym, który nacina sykomory. Pasterz i ten, który nacina sykomory, to jedno. Pasterz miał owce, owce pasły się w sadach albo obok sadów. I w sadach po dzień dzisiejszy w Ziemi Świętej rosną sykomory. To są drzewa z odmiany morwowatych. Otóż nacinanie sykomory odbywało się w celu pozyskania z nich takiego soku, jak np. sok klonowy w Kanadzie, albo u nas, a zwłaszcza w Rosji, sok brzozy. A on zajmował się nacinaniem sykomory. I te sykomory puszczały na wiosnę soki. Te soki zbierano do małych naczynek. I ten sok z sykomory miał własności lecznicze, używano go jako lekarstwa, mieszano z innymi rzeczami.

Amos powiada: mam z czego żyć! Jestem pasterzem, mam owce. Nacinam sykomory — mam źródło dochodu. Nie przyszedłem tutaj dlatego, żeby zarabiać. Nie przyszedłem tutaj dlatego, że chciałem to robić. Przyszedłem tutaj dlatego, że czuję wewnętrzny żar, wewnętrzną potrzebę. I dodaje tak:

Od trzody bowiem wziął mnie Pan i rzekł do mnie Pan: „Idź, prorokuj do narodu mego, izraelskiego!”

Od trzody wziął mnie Pan — niezbadane są wyroki Boga! Pasterz, człowiek pewnie niepiśmienny, został wybrany przez Boga i przeznaczony do niesłuchania trudnej misji. Ta niesłuchanie trudna misja to misja mówienia prawdy. Ta prawda jest niewygodna, jest odrzucona, jest kontestowana. Z powodu tej prawdy zostaje oskarżony, nie zabity na szczęście, ale oskarżony. Oskarżony o to, że naucza by zarabiać. Mówi: Nie, ja mam z czego żyć! Mój sposób na życie jest inny. I tak mamy napięcie między tym, co ułożył sobie człowiek — on, jako pasterz i nacinający sykomory — a tym, co zamierzył dla niego Pan Bóg. Powiedzieliśmy na wstępie tej refleksji: tak jak ci, którzy miesiąc temu rano wchodzili do samolotu i czuli, że to zaszczyt. Ale ten zaszczyt przybrał dla nich nowy wymiar. To też jest jakiś zaszczyt — tylko że w kształcie, który obmyślił im los, który sprawił im los. I ten sam los, można by powiedzieć: ten sam paradoks losu, dotyczy również Amosa. Amos ułożył sobie życie. Ale oto musi teraz zostawić to, co spokojne, i narażać się, by mówić prawdę.

Czy musiał to robić? Można by powiedzieć tak. Gdyby tego wewnętrznego żaru nie było, to by nie musiał. Zawsze spokojniej jest mówić to, co ludzie chcą słuchać. Spokojniej jest mówić to, co chcą słuchać władcy. Wtedy można liczyć na zaszczyty, na pochwały, na godności, na zauważenie. Natomiast jeżeli idzie się pod prąd, przysparza to trudności. Ale proszę zauważyć — właśnie dlatego, że Amos szedł pod prąd, że odpowiedział na to powołanie, to my mówimy o nim, znamy go po imieniu po 2700 latach. Upłynęło od tamtej pory szmat czasu, ale wiemy, że coś takiego miało miejsce. Otóż kiedy człowiek stanie w obronie prawdy, to można by przypomnieć to, co powiedział Chrystus: „Prawda was wyzwoli”. Dobrze wiemy, że hitlerowcy zmienili ten tekst janowy. Zamiast „Wahrheit mach frei”, jak brzmiało protestanckie tłumaczenie, czyli „Prawda was wyzwoli”, to w opozycji do chrześcijaństwa, to też bardzo ważne, zrobili: „Arbeit macht frei”, czyli zakpili: „praca

was wyzwoli” , nie prawda. Ten napis znajdował się nie tylko przed wejściem do Auschwitz, znajdował się przed wejściem do wielu innych obozów koncentracyjnych i miał wyraźnie antychrześcijański charakter. To jest przyczynek do debaty nad losami tego napisu także w naszych czasach, i nad naturą narodowego socjalizmu, który w samych swoich podstawach był głęboko antychrześcijański.

Chrystus powiedział: „Prawda was wyzwoli”. Amos głosi prawdę, i z powodu tej prawdy został zapamiętany. Amos dodał tak:

I teraz słuchaj słowa Pańskiego!
Tyś mówił:
„Nie prorokuj przeciwko Izraelowi
ani nie przepowiadaj przeciwko domowi Izaaka!”
Dlatego tak rzekł Pan:
„Żona twoja w mieście będzie nierządnicą.
Synowie zaś i córki twoje od miecza poginą.
Ziemię twoją sznurem podziela.
Ty umrzesz na ziemi nieczystej,
a Izrael zostanie ze swej ziemi uprowadzony” ».

Kapłan Amazjasz chce nastraszyć Amosa. A Amos do tego dramatyzmu, czego nauczał wcześniej, dorzuca nowe akcenty, jeszcze straszniejsze. Nie dało się go zastraszyć, nie dało się go złamać. Nie dało się sprawić, żeby jego słowa, żeby to, co głosił, zostało zapomniane.

I myślę, że w ten sposób mamy jakąś nić z tym, co rozważaliśmy na samym początku. Prawda bywa trudna, czasami bywa bolesna, ale ona umożliwia jedno — gruntowne przemyślenie wszystkiego, możliwość nawrócenia i możliwość nowego początku. Jeżeli ktoś odrzuca prawdę, po prostu chce usankcjonować pewne status quo, tworzyć pewną politykę, która odbywać się będzie kosztem prawdy. Tak chciał król Jeroboam, tak chciał kapłan Amazjasz. I w tym obaj dobrze dogadywali się ze sobą. Na przeszkodzie temu stanął prorok Amos. Przypłacił to oskarżeniami. Ale to, co doraźnie bywa trudne, to z perspektywy czasu okazuje się zwycięstwem. I właśnie na tym w gruncie rzeczy polega ta przemożna siła prawdy.

Bardzo serdecznie dziękuję państwu dzisiaj za uwagę, i za tę naszą refleksję, która Amosa dotyczy, i za wcześniejszą. I chciałbym zaprosić na następną konferencję za trzy tygodnie, tzn. 31 maja. Będzie to nasza ostatnia konferencja w tym roku, bo później w czerwcu mamy i beatyfikację, i są rozmaite akademickie rzeczy, kończenie roku akademickiego itd.

Bardzo serdecznie państwu dziękuję. A w miesiąc po śmierci pomódlmy się za tych, którzy zginęli, i za tych, którzy żyją i w bolesny sposób zmagają się z tym dramatem.

Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi ...
Módl się za nami Święta Boża Rodzicielko ...
Wieczny odpoczynek racz im dać Panie ...
Wieczny odpoczynek racz im dać Panie ...
Wieczny odpoczynek racz im dać Panie ...
Niech odpoczywają w pokoju wiecznym. Amen.
Pochwalony Jezus Chrystus ...

8 Powołanie każdego z nas, chrześcijan, wg. św. Pawła (31 maja 2010)

Pochwalony Jezus Chrystus ... Zaczynamy nasze ostatnie spotkanie. Dzisiaj ostatni dzień maja, święto Nawiedzenia św. Elżbiety przez Najświętszą Maryję Pannę. A otwierając tę konferencję chciałbym, żebyśmy pomodlili się w intencji pani Barbary Bednarek. Od samego początku tych konferencji brała w nich udział. Była na ostatniej konferencji. Okazało się, że jest bardzo ciężko chora. Ta choroba, która zawsze nie pozwala ludziom żyć zbyt długo, i bardzo szybko się posuwa. Zapewne bardzo wiele z państwa zna panią Barbarę z widzenia i z jej pracy. Przez całe lata posługiwała w więzieniu, z więźniami nawiązywała bardzo dobry kontakt. Kobieta głębokiej wiary, pogodzona z tą swoją sytuacją i Panem Bogiem, który tę sytuację dopuścił. Ale na pewno potrzeba jej wiele duchowej siły. Prośmy Pana Boga, by jej tę siłę na ten trudny czas dał — i wszystkim chorym.

Ojciec nasz ... Stolico Mądrości ... Pocieszycielko strapionych ... Wspomożenie wiernych ...

Spotykamy się na ostatniej konferencji w tym roku i można by powiedzieć, że to nawiązanie do choroby pani Barbary ukazuje nam coś z sensu tych konferencji. Otóż spotykamy się tutaj od długiego czasu między innymi dlatego, żeby odnaleźć, szukać, rozpoznać sens swojego życia, i żeby nasza refleksja pomagała nam żyć. A także, jeżeli przychodzą na nas takie trudne chwile jak te, które przysły teraz na panią Barbarę, żeby pozwalała nam z godnością tę sytuację cierpienia przyjąć. Otóż nigdy nie było tak, że te konferencje miały charakter jakiś wybitnie akademicki. Chociaż zdają sobie państwo sprawę z tego, że podchodziliśmy do tych tematów, które wybieraliśmy, w sposób, który można z całą pewnością nazwać naukowym i dostatecznie pogłębionym. Ale jednocześnie zawsze starałem się, żeby ukazywać tych wielkich biblijnych bohaterów wiary w perspektywie naszego życia. Bo przez wiele lat pożegnaliśmy już wiele osób, przeprowadziliśmy na drugą stronę życia na rozmaite sposoby wielu uczestników tych konferencji, towarzyszyliśmy w rozmaitych trudnych chwilach. Ja myślę, że każdy z państwa ma tę świadomość że jeżeli człowiek wie że w tym, co trudne, nie jest sam, że są z nim także inni ludzie którzy są znakiem i potwierdzeniem obecności Pana Boga, to oczywiście jest mu o wiele lżej. Dlatego trzeba powiedzieć że te konferencje stworzyły takie właśnie środowisko w którym możemy na siebie liczyć, w pewnym sensie dosłownie, nawet fizycznie, na taką doraźną pomoc. Ale możemy liczyć przede wszystkim na to że jeżeli wiemy, że ktoś z nas cierpi, to jesteśmy z tym człowiekiem w jego sytuacji, w jego cierpieniu, i zdajemy sobie sprawę także z tego, że któregoś dnia czegoś podobnego możemy i my potrzebować.

Tematem tegorocznych konferencji był motyw powołania. I musimy na samym początku przypomnieć sobie, podkreślić, rzecz bardzo oczywistą, sprawę bardzo oczywistą, która być może nam umyka dlatego, że jest czymś tak oczywistym, że się nią nie zajmujemy. Możemy i musimy powiedzieć na początku, bilansując te wszystkie konferencje i zmierzając ku temu tematowi, którym się dzisiaj zajmujemy, musimy podkreślić dwie sprawy. Jedna: istnieje Bóg! Bóg istnieje, Bóg jest. I druga: że nasze życie, i w ogóle świat, nie są Bogu obojętne. Jeżeli ktoś przejdzie przez ten próg wiary, jeżeli ktoś ten próg wiary zaakceptuje, przyjmie, uzna za swój — wtedy oczywiście wszystko w życiu nabiera zupełnie innych rumieńców. Istnieje Bóg — wydaje się to wręcz banalne dla człowieka wierzącego. Ale trzeba powiedzieć, że to właśnie wierzący, a zwłaszcza najgłębiej wierzący, mogą mieć najwięcej problemów z Bogiem i pytania do Pana Boga, zwłaszcza w takich trudnych sytuacjach. I ta druga strona tej samej rzeczywistości — to, że istnieje jakaś najwyższa moc, że istnieje jakaś siła, że istnieje Bóg w jakimś majestacie i odległości — to przyjmują prawie wszyscy ludzie, ateistów jest stosunkowo mało. Specyficzne dla naszej wiary, specyficzne dla chrześcijaństwa jest to że wyznajemy, iż Bóg w Jezusie Chrystusie stał się człowiekiem. I dlatego mamy łatwiejszy przystęp do Boga. I dlatego wiemy o Panu Bogu więcej, niż wiedzą wyznawcy innych religii. Dlatego jesteśmy też bliżej Niego w najlepszym tego słowa znaczeniu. Państwo zwrócą uwagę na schemat Wyznania wiary. Wyznajemy: „Wierzę w jednego Boga, Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, ... I w jednego Pana Jezusa Chrystusa, Syna Bożego Jednorodzonego, ...”

Otóż ta prawda wiary o Bogu Ojcu, o Bogu – Synu Bożym, i o Duchu Świętym, to jest fundament naszej wiary. I myślę, że jedna z mądrości, z dojrzałości chrześcijańskich polega na tym, żeby sobie codziennie tę prawdę wiary przypominać. Żeby codziennie prosić Pana Boga żebyśmy umieli przy Nim wiernie trwać — zwłaszcza wtedy, kiedy będzie trudno. Trzy tygodnie temu, kiedy spotkaliśmy

się tutaj na konferencji, pani Basia podeszła do mnie i powiedziała, że nie to jest najtrudniejsze, że jest ciężko chora, tylko boi się żeby za bardzo nie cierpiała. Bo boi się, czy temu poddała, czy temu da radę. Otóż jeżeli człowiek tak podchodzi do życia, to przechodzi nie tylko próg wiary, ale także próg chrześcijańskiej świętości, której osiągnięcie jest sprawą trudną, wręcz heroiczną.

I dzisiaj zatrzymujemy się nad zbilansowaniem tego, o czym mówiliśmy w tym roku, mianowicie tematu powołania. Powiedzieliśmy — podkreślaliśmy to przy różnych okazjach na różne sposoby — że powołanie jest związane nierozdzielnie z wybraniem. Otóż Bóg powołuje tych, których wcześniej wybiera. Wybrania, a więc i powołania, nie da się zrationalizować, tzn. nie da go się wytłumaczyć, nie da się go ująć w kategorii rozumu, nie da się uzasadnić. Nie można pytać: „Dlaczego?” Odpowiedź brzmi: „Dlatego!” Wybranie i powołanie to jest tajemnica miłości. To jest tak, jak między ludźmi. Nie da się zrationalizować wyboru, który owocuje miłością na całe życie. Po prostu jest, po prostu istnieje, po prostu trwa, rozwija się, dojrzewa, i jest! Z Bogiem jest podobnie. Bóg wybiera wielu ludzi, a niektórych z nich powołuje. Można by powiedzieć, że przez wybranie Bóg czyni z ludzi swoich przyjaciół. Natomiast przez powołanie czyni z tych przyjaciół — może to słowo nie jest odpowiednie w naszym współczesnym świecie, ale chodzi o najlepsze znaczenie tego słowa — otóż z przyjaciół czyni swoje sługi, czyni swoje narzędzia. Można by powiedzieć: Bóg w tym świecie ludzkim wśród wybranych, którzy są Jego przyjaciółmi, szuka powołanych, którzy mogliby być niejako rękami Boga. Ktoś powie: przecież Bóg może dotrzeć wszędzie! Najwidoczniej jednak w świecie, który stworzył, potrzebuje ludzi, którzy byliby jego takimi wyciągniętymi i skutecznymi rękoma, dłońmi. Kiedyś mówiliśmy o tym, że w Azji Mniejszej, w Efezie, jest mała świątynia, która nazywa się Merymana. I czci się tam pamięć Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, jej przejścia na drugą stronę życia. I tam jest niewielka figura Maryi w tym domku, na Wzgórzu Słowików, i Maryja pozbawiona tam jest dłoni. I pytano wiele razy kustoszów, opiekunów tego sanktuarium, że przecież można by te dłonie, utracone przez kogoś, dorobić. Ale odpowiadają, że przesłanie tej figury, która tam stoi i przed którą modlą się tysiące pielgrzymów, jest takie, że to oni mają być tymi dłońmi Maryi w świecie, do którego wracają. I to jest właśnie istota powołania. Bóg powołuje pewnych ludzi, i to powołanie jest ukierunkowane ku określonemu posłannictwu. Bóg nie powołuje kogoś po to, żeby go uhonorować. Bóg powołuje kogoś po to, żeby osiągnąć swoje cele względem innych ludzi. Powołanie ma zawsze charakter wspólnotowy. Kiedy państwo obejrzą się na te wielkie postacie, o których żeśmy mówili w tym roku: Abraham, Mojżesz, Dawid, Izajasz, Jeremiasz, Amos, to w każdym przypadku to powołanie miało charakter bardzo osobisty. Każde powołanie odbywało się po imieniu. Otóż każdy z nas w Bożych planach ma jakieś swoje niezastąpione, absolutnie niezbywalne i absolutnie wyjątkowe miejsce. Czasami możemy charakter tego miejsca, tę swoją rolę, niejako rozpoznać, możemy ją uznać, możemy ją przyjąć. To będzie wtedy jeżeli ktoś widzi, że jego powołaniem było być matką, być ojcem, wychować dzieci, być mężem, być żoną, pracować. I odczuwa, że to była droga, na której spełnił czy spełniła się w swoim życiu. Kiedy indziej te drogi powołania są zdecydowanie bardziej zawile. Od jednych Bóg niejako wymaga mniej, od innych wymaga więcej. Są tacy, których — można by to nazwać — ściga, żeby zrealizować powołanie, którzy bywają wobec Niego krnąbrni, którzy Mu się często sprzeciwiają. Widzieliśmy to również na kartach Pisma Świętego, np. w przypadku Mojżesza, w przypadku Jeremiasza. Mieli poważne wątpliwości: „Czy to ja?”, „Czy to do mnie?” I do dzisiaj jest tak samo. Wiara, wiara w Boga i spełnienie Bożych zamiarów nigdy nie może być sprawą ślepą, nigdy nie może być takim oddaniem bezrozumnym. Człowiek nie tylko może, ale i powinien z Bogiem rozmawiać. A to znaczy także w pewnym sensie dyskutować. W pewnym sensie próbować od Pana Boga uzyskać światło, które pozwala mu zrozumieć sens jego życia i kierunek jego życia. W gruncie rzeczy na tym polega prawdziwa modlitwa. Nie tylko ta modlitwa wyuczona formułami, które dobrze znamy, ale traktowanie Pana Boga jako kogoś żywego, jako Osobę, z którą możemy rozmawiać i którą prosimy: „Daj mi poznać drogi Twoje, Panie!”

Dlatego taką piękną księgą modlitwy, także modlitwy chrześcijańskiej, może być psalterz, tzn. Księga Psalmów. Jeżeli ktoś z nas ma trudności z modlitwą, dobrze jest mieć ze sobą wydanie Nowego Testamentu i Księgi Psalmów — są takie wydania. I dobrze jest wtedy, kiedy nam brakuje słów, wczytać się w tę modlitwę psalmów i zobaczyć, że tam jest w niej wszystko, że Bóg otwiera się przed nami, a jednocześnie my otwieramy swoje serca przed Bogiem z całą szczerością. Bóg nie potrzebuje takich ślepych narzędzi, Bóg potrzebuje mądrych i odważnych współpracowników

do swojej pracy. I dopiero wtedy powołanie nabiera właściwego charakteru i właściwego posmaku przeznaczenia. Może się okazać, że na pozór zwyczajne gesty, na pozór zwyczajne słowa, zwyczajna rozmowa, mogą nie tylko budować, ale mogą pobudzać do myślenia, a nawet stawać się punktem wyjścia do głębszej refleksji czy też nawrócenia. Zwróćmy uwagę choćby na ten szczegół — żeby tutaj oddać także cześć naszej chorej Barbarze. Kiedy przychodziła trzy tygodnie temu i mówiła o sobie, nie przyszło jej do głowy, że będzie się o tym mówić wobec kilkuset osób, że będzie to sposobność do tego, żeby jej współczuć, ale również żeby zastanowić się nad sobą. Tak właśnie jest w naszym życiu. Czasami robimy coś, czego skutków w ogóle nie przewidujemy. Wydaje nam się, że nie mamy na to żadnego wpływu. Tak było w życiu Abrahama, tak było w życiu Mojżesza. Bóg mówi do Mojżesza, ukazuje mu jasny cel. powiada: „Wracaj nad Nil i wyprowadź Izraelitów z Egiptu”. On mówi: „Kim ja jestem, żebym mógł wyprowadzić Izraelitów z Egiptu? Jakie jest Twoje Imię?” I w odpowiedzi na te wątpliwości Bóg objawia mu swoje imię: „Moim imieniem jest Jestem”.

W ubiegłym tygodniu byłem na pielgrzymce w Ziemi Świętej. Pielgrzymka była o tyle wyjątkowa, że byłem z ludźmi niewidomymi. Tzn. dwadzieścia kilka osób to ludzie niewidomi, a dwadzieścia kilka pozostałych to osoby, które im pomagały bezpośrednio przy jedzeniu, w łazience, w pokoju, w hotelu, tam, gdzie teren jest zupełnie nieznan, i kilka osób niedowidzących. I chociaż byłem kilkadziesiąt razy w Ziemi Świętej, to przeżyłem na Jeziorze Galilejskim coś, co stanowi nawiązanie, a jednocześnie odsłoniło mi znaczenie powołania Mojżesza. Mianowicie kiedy byliśmy na Jeziorze Galilejskim, i oczywiście dla niewidomych jezioro to przede wszystkim dźwięk wody. Akurat było trochę wiatru, i było słycać to jezioro. Mogą dotknąć tej wody, bardzo przeżywają. I wtedy na Jeziorze jest taki moment, że zatrzymujemy się, i jest taka refleksja. I właśnie wtedy nawiązaliśmy do objawienia się Jezusa uczniom, kiedy to po uciszeniu burzy na Jeziorze Galilejskim Jezus mówi do nich: „Nie lękajcie się! Ja jestem!” I wtedy objaśniając to, patrząc na te osoby niewidome mówiłem, że z Bogiem to jest tak, jak z tym przewodnikiem, który stoi przy tobie. Wielką odwagą jest być niewidomym i wyjechać z Polski. Bo tutaj zna mowę, zna język, zna zapachy, zna rozmaite reakcje. Przenosi się na Bliski Wschód — i wszystko jest inne. Inne dźwięki, inne otoczenie, inne rozmowy, inne rytmy, inne zapachy, inne jedzenie — wszystko inne. A więc ten człowiek musi mieć poczucie bezpieczeństwa. I dla niego tym poczuciem bezpieczeństwa jest ten człowiek obok, jest ten przewodnik. I ileż to razy słyszałem, kiedy ów niewidomy człowiek stojąc gdzieś, w jakimś miejscu, nagle przewodnik obok przestał trzymać ją czy jego za rękę. Trwało to kilkanaście sekund — ten niewidomy człowiek robi się przez chwilę niespokojny — i słyszy obok: „Jestem, jestem!” I uspokaja się, że nie jest sam. To jest dobra sytuacja, która oddaje nasze życie, która oddaje sens naszego życia. My jesteśmy bardzo często jak ci niewidomi. Bardzo często szukamy tego sensu w życiu, bardzo często mamy wątpliwości, trudności, kłopoty, problemy, próbujemy sobie ułożyć życie po swojemu. Ale człowiek głębokiej wiary, kiedy się wsłucha, to słyszy obok siebie to Boże „Jestem!” I wtedy wie, że nigdy nie jest sam. I musimy zawsze sobie przypominać, że kto wierzy w Boga, nigdy nie jest sam. I potwierdzają nam to obrazy biblijnego powołania. Jeżeli Bóg do czegoś powołuje, do czegoś wzywa, to zarazem do tego uzdalnia. Jeżeli Bóg czegoś wymaga i ukazuje nam jakiś cel, daje nam siłę byśmy ten cel mogli osiągnąć. Właśnie świadomość powołania pozwala nam przejść przez życie w sposób jak najbardziej godny. Daje nam tę pewność wiary. Proszę zwrócić uwagę, że tu jest pewien paradoks. Wiara niesie ze sobą, wg. obiegowego sposobu myślenia, zawsze niepewność. Jest różnica między *wiem* a *wierzę*. A jednak w tym, co się tyczy Boga, istnieje pewność wiary. Wiara daje nam pewność, i to pewność większą, niż może dać nam wiedza.

Tego będzie dotyczył fragment, który chciałbym z państwem dzisiaj rozważyć jako zwieńczenie tej naszej wspólnej refleksji. Ten fragment jest wyjęty z Nowego Testamentu. Bo do tej pory śledziłyśmy powołania starotestamentowe, ale przecież nie pozostajemy na poziomie religii i pobożności Starego Testamentu. Otóż Stary Testament znalazł swoje wypełnienie i znalazł swoje ukoronowanie w Jezusie Chrystusie i Testamencie Nowym. Otóż Jezus Chrystus jest tym obrazem Boga niewidzialnego, jak piszą o tym apostołowie w Listach Apostolskich. Czyli jeżeli chcemy zobaczyć Boga, patrzmy na Chrystusa, patrzmy na jego życie. Nie możemy zobaczyć jego ciała, nie zachowały się jego fotografie. Może to i lepiej! Może to i lepiej, że Pan Jezus nie żyje w wieku XX czy XXI, kiedy to nakręcono by filmy o Nim, wywiady z Nim itd., i w ten sposób by po prostu spowszedniał, albo też ta rzeczywistość wcielenia stała się jeszcze trudniejsza. Nie mamy jego fotografii, nie znamy jego

głosu. Dlatego można powiedzieć, jak mówili to Ojcowie Kościoła, że należy Go więc rozpoznawać w każdym człowieku, że utożsamiał się z każdym człowiekiem. I to jest ta nowość Jezusa Chrystusa i nowość zarazem powołania chrześcijańskiego. Wśród tych powołań chrześcijańskich na szczególnie miejsce i szczególne wyróżnienie zasługuje oczywiście św. Paweł. Sporo o nim mówiliśmy kilka lat temu przy sposobności Roku św. Pawła, nie chciałbym więc teraz powtarzać tego, o czym państwo doskonale wiedzą. Ale chciałbym zwrócić uwagę na jeden fragment jego listu, mianowicie Paweł pisze List do Koryntian. To było bardzo osobliwe miasto i bardzo osobliwi chrześcijanie. Korynt był miastem portowym, istnieje też do dnia dzisiejszego. Łączy Peloponez z Grecją kontynentalną i jest o tyle ciekawy, że i po jednej, i po drugiej stronie ma morze. Otwiera się na Adriatyk, i otwiera się na Morze Jońskie. Jest bardzo ważnym portem. Zawsze był Korynt bogaty, słynął również z rozmaitych wyrafinowanych nauk i wielu innych rzeczy łącznie z tymi, które weszły do światowej kultury pod nazwą *córy Koryntu*. A więc było to miasto — powiedzmy językiem dzisiejszym — bardzo kosmopolityczne, które jak w soczewce skupiało najróżniejsze rzeczy. I kiedy Paweł pozyskał tam dla Chrystusa pierwszych wyznawców to okazało się bardzo szybko, że oni też w tym swoim powołaniu pozostawali w dużej części jeszcze poganami, jeżeli chodzi o myślenie, o sposób postrzegania świata. Tzn. do wiary w Jezusa Chrystusa przenieśli swoją dawną mentalność. Tak jest bardzo często. I Paweł miał z nimi kłopoty dlatego, że oni się wynosili ponad innych. Innych chrześcijan uważali za biedniejszych, uważali za niższych statusem społecznym, uważali za mniej godnych uwagi. Natomiast o sobie, o swoim powołaniu, mówili z wielką zarozumiałością. I właśnie Apostoł pisze do nich list. I w tym liście napisał takie słowa. Te słowa pochodzą z początku jego Pierwszego Listu do Koryntian (1 Kor 1, 21):

Skoro bowiem świat przez mądrość nie poznał Boga w mądrości Bożej, spodobało się Bogu przez głupstwo głoszenia słowa zbawić wierzących.

O czym Paweł mówi? Paweł nawiązuje do rozmaitych filozoficznych dociekań greckich. Grecja starożytna rzeczywiście miała filozofów wspaniałych. Oni stworzyli podwaliny pod współczesną mentalność, już nie tylko pod filozofię, ale pod współczesną wiedzę humanistyczną. Ich imiona znamy doskonale, tak wielkie jak Platon, jak Sokrates. Można się tylko dziwić po ponad 2000 latach, że ich dzieła nie tylko nie straciły nic z aktualności, ale wyznaczają nadal kanon ludzkiego myślenia. Ci ludzie byli naprawdę bardzo głębcy, ci ludzie byli naprawdę mądrzy. *Filozofia* znaczy dosłownie: *filo* — *kocham, miłuję, sofija* — *mądrość*. Filozofia to umiłowanie mądrości. Oni szukali mądrości, szukali recepty na życie, szukali sposobu na życie. Rozumieli, że życie ludzkie jest zbyt krótkie, żeby można było je zmarnować. Ale w tych poszukiwaniach polegali wyłącznie na rozumie, i nigdy nie doszli tak daleko jak doszli ci, którzy wyznawali wiarę w jedyne Boga. I Paweł dlatego im powiada: „spodobało się Bogu przez głupstwo głoszenia słowa zbawić wierzących”. Otóż wiara w Boga, a zwłaszcza wiara w Jezusa Chrystusa, niesie w sobie coś paradoksalnego co dla człowieka, który nie wierzy, wciąż jest jakimś głupstwem. Czasami możemy się tym zetknąć: Kogo wy czcicie? Krzyż? Postać na krzyżu? Przecież On przegrał! Przecież tamten człowiek, ta postać, nie żyje! My wiemy, że przedmiotem naszej wiary jest ukrzyżowanie, ale ukrzyżowanie na które rozstrzygające światło rzuca zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. Nasza wiara nie poprzestaje na krzyżu, wychodzi poza krzyż. Krzyż stał się bramą — wyznajemy w liturgii i rozmaitych naszych pieśniach. Ale mimo wszystko ten krzyż, i wiara w Chrystusa, niesie w sobie jakiś paradoks. I okazuje się, że bardziej sens życia poznają ci, którzy ten paradoks przyjmują, paradoks Chrystusa, niż ci, którzy polegają wyłącznie na rozumie, niż ci, którzy polegają wyłącznie na rozumowych dociekaniach. Bo te dociekania wyczerpują swoje możliwości na poziomie ludzkiego świata. Te dociekania nie mogą wyjść poza to, co ponadnaturalne, a już zupełnie nie pozwalają wytłumaczyć tajemnicy cierpienia i tajemnicy śmierci.

Więc powołanie chrześcijańskie różni się jednak od powołania, o którym mowa była na kartach Starego Testamentu. Różni się tym, że dla chrześcijanina punktem odniesienia, punktem orientacji jest Jezus Chrystus jako Syn Boży, który stawszy się człowiekiem przeszedł przez ludzki los ze wszystkimi jego najtrudniejszymi sprawami. I z tym, co w ludzkim losie najtrudniejsze, mianowicie z cierpieniem i ze śmiercią. Ileż razy o tym mówiliśmy i ile razy sobie przypominamy. Ale okazuje się, że od czasu do czasu dowiadujemy się, że ktoś z nas musi tę podstawową, fundamentalną prawdę zweryfikować. I to zweryfikować nie słowami, ale swoim własnym życiem. I dopiero wtedy okazuje

się, czy ta refleksja rzeczywiście jest przydatna. I dopiero wtedy widać, czy umiemy, potrafimy to powołanie przyjąć ze wszystkimi jego konsekwencjami. I Paweł napisał dalej tak:

Tak więc, gdy Żydzi żądają znaków, a Grecy szukają mądrości, my głosimy Chrystusa ukrzyżowanego, który jest zgorszeniem dla Żydów, a głupstwem dla pogan, dla tych zaś, którzy są powołani, tak spośród Żydów, jak i spośród Greków, Chrystusem, mocą Bożą i mądrością Bożą.

Można by powiedzieć, że to jest najkrótsze, najgłębsze streszczenie Ewangelii i jej znaczenia dla naszego życia. To streszczenie dotyczy realiów starożytnego świata. Paweł powiada: „Żydzi żądają znaków”. Żydzi wierzyli w Boga, ale bez przerwy żądali znaków. Potwierdź swoją naukę cudami i znakami! Jakiego cudu dokonasz, abyśmy Ci uwierzyli? Bez przerwy chciano, żeby Bóg uwiarygodniał się wobec człowieka. To myślenie można rozpoznać w wypowiedzi jednego z naszych polityków z ubiegłego tygodnia — miłosiernie pomnę jego nazwisko. Powiedział tak: że jeżeli Bóg istnieje, to on ma z Bogiem dużo do pogadania. To jest ta odwieczna pokusa, żeby Bóg uwiarygodniał się wobec człowieka. Tymczasem proporcje i spojrzenie trzeba odwrócić. To człowiek ma się uwiarygodniać wobec Boga. Gdy Żydzi żądają znaków — czyli pokaż Panie Boże, kim jesteś, potwierdź jeszcze raz, i jeszcze raz. Ja myślę, że przez ostatnie dwa miesiące my Polacy otrzymaliśmy silne znaki istnienia Pana Boga, jego obecności i jego woli. Problem tylko polega na tym, żebyśmy umieli to odczytać, żebyśmy się nie zasklepili w sobie. Otóż gdy Żydzi żądają znaków — tak było w czasach Nowego Testamentu i, jak powiadam, ta pokusa jest bez przerwy żywa — naciskać na Boga, żeby dokonywał cudu, którym ma nas przekonać. Czasami, mówiliśmy o tym bardzo dawno, ta pokusa przybiera groteskowe rozmiary. Na szczęście minęła na razie moda, kiedy to wyszukiwano cudu: Pan Jezus czy Matka Boska objawił się na drzewie, w oknie, na szybie, gdzieś tam. I ludzie jeżdżą, żeby Go zobaczyć. Widziałeś? Tak! I co z tego wynika dla jego życia? Nic! Przecież gdyby człowiek rzeczywiście doświadczył Boga, gdyby człowiek rzeczywiście wewnętrznie był przekonany, że otarł się o nadprzyrodzoność tak namacalnie, to z całą pewnością nie mógłby żyć tak, jak do tej pory. Dzieci z Fatimy, którym objawiła się Najświętsza Maryja Panna, skończyły w zakonie dlatego, że nie było już później dla nich sensu żyć w życiu świeckim, w którym ocierają się o rozmaite rzeczy. Ludzie, którzy doświadczają Boga bardzo intymnie, to na ogół o tym nie wiemy dlatego, że już nie widzą później w życiu jakiegoś sensu innego poza tym, co stało się ich udziałem. A mimo to ciągle żądamy znaków! Otóż zwróćmy uwagę na tę pokusę, żeby Bóg uwiarygodnił się wobec nas. Natomiast brakuje tej drugiej strony — żebyśmy my uwiarygodniali się wobec Boga. Uwiarygodniali się czym? Przede wszystkim swoim życiem, postępowaniem, przede wszystkim sposobem przeżywania tego, co w życiu najtrudniejsze — o czym za chwilę.

„A Grecy szukają mądrości”. Paweł nie potępia tego, że Grecy szukają mądrości. Trzeba szukać mądrości, uprawiać filozofię, uprawiać nauki ścisłe. Sprawdzoną jest rzeczą, że znacznie pobożniejsi są ci, którzy uprawiają nauki ścisłe: matematykę, fizykę, chemię, astronomię, aniżeli ci, którzy zajmują się naukami humanistycznymi, a zwłaszcza filozofią i podobnymi rzeczami. Otóż ci pierwsi ocierają się o tajemnicę świata i tajemnicę życia. Możemy tylko się domyślać co czuje człowiek fizyk, chemik, astronom, botanik czy każdy inny, kto ociera się o misterium życia czy złożoność świata. Możemy się domyślać co czują ci, którzy budują np. rakiety, statki kosmiczne czy samoloty. Możemy się domyślać co czuje człowiek, który zaprojektował, dla przykładu, samolot, a potem widzi jak ten samolot może lecieć. I to nie jest cud, tylko wykorzystanie określonych praw fizyki. Ci ludzie są dużo bardziej pokorni bo widzą, szukając tej mądrości ludzkiej że to, co wiedzą, to jest zaledwie kropla w oceanie tego, co wiedzieć można. Natomiast ten, kto polega wyłącznie na własnym rozumie, ma tendencję do zarozumiałości — to polskie słowo dobrze to oddaje, czyli do przeceniania rozumu, albo nawet do odstawiania rozumu na bok. Tak było w Grecji starożytnej. Wiele energii poświęcano na filozoficzne dociekania. Ale nie mogli ci, którzy je uprawiali, zrozumieć istoty i przyjąć natury swojego powołania. Nie mogli odpowiedzieć na pytania najtrudniejsze.

I właśnie wobec tych tendencji Żydów, którzy wciąż domagają się znaków, i Greków, którzy szukają mądrości, Paweł wskazuje na ten paradoksalny wymiar chrześcijańskiego powołania: „My głosimy Chrystusa ukrzyżowanego”. I to głoszenie Chrystusa ukrzyżowanego zawsze będzie natrafiało na sprzeciw. Ale zawsze też będzie dawało ludziom, człowiekowi przeogromną nadzieję. Ja mam ciągle w oczach obraz sprzed trzech tygodni. Byłem w Wilnie, i wracając trzeba było podwieźć rodzinę z małym dzieckiem do wsi, położonej ze dwa kilometry od głównej drogi. Z polnej

drogi nagle robiły się dwie, jedna prowadziła do jednej wsi, druga prowadziła do drugiej wsi. I na tym rozstaju dróg stał dziewiętnastowieczny krzyż, z Powstania Styczniowego, z datą 1863. To jest właśnie istota tego, o czym pisze Paweł. Jadąc do jednej czy do drugiej wsi trzeba było otrzeć się o ten krzyż. Dzięki Bogu ani rewolucja bolszewicka go nie zwała, ani ZSRR go nie zmiotł — przetrwał do dzisiaj. „My głosimy Chrystusa ukrzyżowanego”. Kiedy człowiek widzi pośród tego świata krzyż, to ten krzyż rzeczywiście staje się taką bramą do jednej wsi, i do drugiej wsi. A w ten sposób staje się obrazem i symbolem dojścia w ogóle do człowieka, i dojścia w ogóle do świata. Tzn. jeżeli chcesz dojechać do tej wsi, musisz się o ten krzyż otrzeć. Kiedy ktoś w tej wsi umiera, jednej albo drugiej, przyprowadzają go pod krzyż, i dopiero potem na samochód i dalej. Taki był zwyczaj od pradawna. „Głosimy Chrystusa ukrzyżowanego” — czyli ten krzyż jest w samym centrum ludzkiej historii, a jest także w samym centrum życia chrześcijanina. Jeżeli potrafimy z krzyża uczynić taką właśnie mądrość życiową, to krzyż, i ten Chrystus ukrzyżowany, nadaje sens wszystkiemu, co przeżywamy. Okazuje się że nawet wtedy to, co trudne, nie przerasta naszych sił, bo nie przeżywamy tego sami.

„Głosimy Chrystusa ukrzyżowanego, który jest zgorszeniem dla Żydów, a głupstwem dla pogan”. Od tamtej pory nic się nie zmieniło. Krzyż jest znakiem wiary, ale jest także przedmiotem kontestacji. Jest znakiem nadziei, ale pozostaje także znakiem sprzeciwu. Ileż to razy powiedzieliśmy, że gdy w Betlejem Maryja wydała na świat Jezusa, i gdy aniołowie obiecywali radość z narodzin Syna Bożego, w Jerozolimie rosło już drzewo na jego krzyż. I to jest symbol czegoś podobnego, co dokonuje się w naszym życiu. Że gdzieś tam to nasze życie przebiega zawsze w cieniu jakiegoś krzyża. Nabiera wtedy rysów, kiedy przekonujemy się, że oto przychodzi nam przejść przez jakąś ciemną dolinę. I okazuje się, że w tej ciemnej dolinie jedynym światłem, które pozwala nam przez tę dolinę przejść, jest właśnie krzyż. Krzyż, który dla innych jest zgorszeniem, a dla jeszcze innych jest głupstwem. I trzeba się z tym oswoić, trzeba o tym wiedzieć. Tzn. trzeba wiedzieć że nie jest tak, że Bóg ma w świecie samych tylko przyjaciół. I nie jest tak, że krzyż ma w świecie samych tylko przyjaciół, wyznawców. Stąd świadectwo tych, którzy umieją przeżywać swoje chrześcijańskie powołanie w blasku krzyża, jest szczególnie potrzebne, szczególnie wymowne, i zawsze przynosi błogosławione owoce. Najpierw dla tych, którzy tak żyją, ale następnie dla wielu innych, którzy na pierwszy rzut oka odrzucają krzyż, kontestują go, lekceważą, albo bagatelizują, ale tak czy inaczej stają wobec pytania o krzyż. I dalej:

dla tych zaś, którzy są powołani, tak spośród Żydów, jak i spośród Greków, Chrystusem, mocą Bożą i mądrością Bożą.

Jakie jest więc zwieńczenie powołania chrześcijańskiego, powołania chrześcijanina? Jest uznanie Bożej mocy i Bożej mądrości: „Nikt jak Bóg”, i uznanie obecności Pana Boga w swoim życiu. Tak więc państwo widzą, że tak pojęte powołanie nie jest w żadnym wypadku zastrzeżone dla duchownych, dla księży, dla sióstr zakonnych, dla zakonników. Tak pojęte powołanie jest przeznaczeniem wszystkich wierzących w Chrystusa. I kolejny paradoks polega na tym że tak, jak świeccy potrzebują duchownych, to tak duchowni mogą karmić się wiarą, bardzo silną wiarą świeckich. Tak duchowni potrzebują świeckich którzy żyją tak, że widać dobrze, iż w ich życiu Bóg jest mocą i mądrością, a Chrystus jest mocą i mądrością Bożą. Tu tak pojęte powołanie jest adresowane do wszystkich i do każdego. Duchowni mogą zawsze stanąć wobec pokusy robienia z Pana Boga swoistego narzędzia do ułożenia sobie życia. I dlatego potrzebni są świeccy, którzy przypomną duchownym wizerunek, obraz Chrystusa jako mocy i mądrości Bożej. I tu pod tym względem nikt z nas nie jest uprzywilejowany w tym znaczeniu, że nawet ludzie najprostsi, a może właśnie oni, umieją, potrafią i mogą przeżywać Pana Boga dużo głębiej niż ci, którzy próbują te sprawy racjonalizować, próbują je zrozumieć, tłumaczyć, uzasadnić. Bo uzasadnieniem, jakie daje człowiek głębokiej wiary, jest po prostu jego życie. I Paweł mówi:

To bowiem, co jest głupstwem u Boga, przewyższa mądrością ludzi, a co jest słabe u Boga, przewyższa mocą ludzi.

I tak tu wskazuje na prawdę, którą rzadko rozumiemy. Co jest głupstwem u Boga? Czasami nam się wydaje, że nasze życie nie jest takie bardzo wartościowe. Że wykonujemy proste czynności, że mamy zwyczajną pobożność, jesteśmy na zwyczajny sposób religijni, jesteśmy zwyczajnymi ludźmi. Ale właśnie ta prostota przewyższa mądrością ludzi. I to, co człowiek wiary uważa za zwyczajność,

przewyższa mocą ludzi. I tu znów ważna treść chrześcijańskiego powołania. Do tego nie zawsze dorastamy. Ale tak samo było w życiu tych bohaterów wiary, o których mówiliśmy. Mówiliśmy o ich trudnościach, o ich potknięciach, o ich wątpliwościach — i to wszystko jest także w naszym życiu. Ale koniec końców bilans tych naszych dokonań, naszego zwracania się do Pana Boga, zaufania Panu Bogu, jest pozytywny.

I teraz przejdźmy do tych słów, które bardzo chciałbym żeby stanowiły motto na tę ostatnią konferencję i na zbliżające się wakacje, i na później. Paweł zwracając się do Koryntian napisał tak:

Przeto przypatrzcie się, bracia, powołaniu waszemu!

Otóż ta zachęta to dobre zwieńczenie naszych tegorocznych konferencji. Słuchaliśmy o innych, mówiliśmy że ci ludzie istnieli. Ileż to razy podkreślaliśmy kontekst historyczny, geograficzny, topograficzny ich życia. Mówiliśmy kiedy żyli, co dokonali. Przeszli już do historii, bo tak jest z każdym człowiekiem. Któregoś dnia my również przejdziemy do historii. Ale mówiliśmy o nich nie tylko po to, żeby więcej wiedzieć, ani nie tylko po to, żeby ich podziwiać. Mówiliśmy o nich przede wszystkim po to, żeby przypatrzeć się własnemu życiu i przypatrzeć się własnemu powołaniu, i rozpoznać w nim ślady Bożej obecności, Bożej dobroci i prowadzenia przez Boga. Żeby ogarnąć myślami, ale w kategoriach wiary, własne życie, i żeby zadać sobie pytanie: na jakich etapach tego życia, gdzie i kiedy, Bóg był szczególnie widoczny? Bo na pewno był, i był szczególnie obecny. „Przypatrzcie się, bracia, powołaniu waszemu” — ale Paweł posuwa się dalej:

Niewielu tam mędrców według oceny ludzkiej, niewielu możnych, niewielu szlachetnie urodzonych. Bóg wybrał właśnie to, co głupie w oczach świata, aby zawstydzić mędrców, wybrał to, co niemocne, aby mocnych poniżyć; i to, co nie jest szlachetnie urodzone według świata i wzgardzone, i to, co nie jest, wyróżnił Bóg, by to co jest, unicestwić, tak by się żadne stworzenie nie chlubiło wobec Boga.

To przedziwnie głębokie słowa. Otóż jako ludzie jesteśmy przyzwyczajeni do różnych ludzkich, społecznych kategorii. Jedni są ważniejsi, drudzy są mniej ważni. Jedni mają funkcje, urzędy, odpowiedzialność, rolę itd. Przenosimy to wszystko na świat wiary. Przenosimy to wszystko również do naszych kościołów, do naszych świątyń. Są tacy, którzy siedzą w sektorze dla VIP-ów. Są tacy, którzy siedzą w sektorze A. Są tacy, którzy mają ławki z nazwiskami. Są tacy, którzy są bliżej niż my. I są tacy, którzy są daleko pod chórem, i są tacy, którzy stoją na zewnątrz kościoła, stoją pod drzewami i dalej. Otóż w kategoriach tej pawłowej logiki okazuje się że to, co ludzie uważają za ważne, przed Bogiem jest zupełnie odwrócone. I że właśnie ci, którzy stoją daleko i którzy patrząc na innych mając siebie za nic, przed Bogiem są nie tylko równi, ale też w jakiś sposób wyróżnieni. Otóż powołanie, które Bóg kieruje, łamie wszystkie ludzkie schematy i stereotypy. Trzeba szanować tych, którzy sprawują urzędy, funkcje itd. Trzeba otaczać ich szacunkiem, bo taki jest nasz ludzki świat. Ale jednocześnie każdy, kto wierzy w Boga, winien mieć świadomość swojej godności. Godności, która wynika z tego, że te wszystkie ludzkie uwarunkowania mają się nijak do Boga, który wszedł w ludzkie dzieje. Bo Jezus Chrystus, który wszedł w ludzkie dzieje, który wszedł w ludzką historię, wszedł jako najprostszy, najbiedniejszy człowiek, najbiedniejsze niemowlę, pozbawione własnego rodzinnego domu, i zszedł z tego świata upokorzony i wzgardzony na oczach wszystkich. Zatem nikt, kto jest biedny, kto cierpi, kto jest upokorzony, wzgardzony, zdradzony, samotny, nie może czuć się samotny po Jezusie Chrystusie, po wydarzeniu na krzyżu. Otóż wiara w krzyż pozwala nam spojrzeć na siebie, na nasze powołanie, na nasze życie, w zupełnie innych kategoriach. To może być w życiu świeckim kiedy człowiekowi się wydaje, że niewiele znaczy, niewiele może. To może być w życiu zakonnym, kiedy to ktoś przeżywa jakieś upokorzenia — bo życie zakonne niesie ich być może więcej, niż życie świeckie, weźmy np. siostrę Faustynę Kowalską — to, co przeszła, było z pewnością bardzo trudne. To może być w życiu kapłanów i biskupów, którym się przypomina poprzez cierpienie i chorobę ich miejsce, ich rolę, potrzebę głębszej wiary, niż kiedykolwiek.

Otóż wszystkich dotyczy to powołanie, którego dawcą, i źródłem, i celem jest Pan Bóg, i którego nie można rozpatrywać, ani nie można podporządkować żadnym ludzkim kategoriom. Paweł o tym wyraźnie mówi językiem, którym nikt później tak jasno tego nie powiedział, może jeszcze św. Augustyn. I dodaje Paweł tak: „Przez Niego” — przez Chrystusa, przez Boga,

jesteście w Chrystusie Jezusie, który stał się dla nas mądrością od Boga i sprawiedliwością, i uświęceniem, i odkupieniem, aby, jak to jest napisane, w Panu się chlubił ten, kto się chlubi.

I tak dochodzimy do tego, co jest szczytem chrześcijańskiego powołania. Jeżeli chcemy zrozumieć swoje życie, możemy je odnosić do życia wielkich bohaterów wiary. I widzieliśmy, że wiele z ich schematów, trudności, kłopotów, powtarza się w naszym życiu. Ale wzorem dla nas jest Chrystus. Nie tylko wzorem do naśladowania, tylko również siłą, którą On nam daje.

I tak przechodzimy do swobodnego wprowadzenia do zbliżającego się święta Bożego Ciała. To, o czym dzisiaj mówimy, to, o czym zwłaszcza teraz mówimy, byłoby niezrozumiałe czy byłoby nie do pojęcia dla tych, którzy nie wiedzą albo nie doświadczyli czym jest tajemnica Eucharystii, czyli tajemnica obecności Chrystusa wśród nas. Kiedy mówimy o Abrahamie, Mojżeszu, Dawidzie, Izajaszu, Jeremiaszu, Amosie, mówimy o postaciach z dalekiej historii. Kiedy mówimy o Chrystusie, mówimy o postaci z dalekiej historii, ale mówimy zarazem o Synu Bożym, który udziela się nam w swoim Ciele i Krwi, który udziela się nam jako pokarm. Tajemnica Eucharystii pozostaje niezgłębiona. Właściwie do dzisiaj powtarza się pytanie, które postawiono w synagodze w Kafarnaum: „Jak On może nam dać swoje ciało na pokarm, swoje ciało na pożywienie?” Jeżeli dla kogoś to pytanie jest najważniejsze, to prawdopodobnie nigdy nie przejdzie tego progu wiary, ale i progu nadziei, jaką Eucharystia daje. Najlepiej Eucharystię czyli Chrystusa, który się nam udziela, rozumieją ci, którzy się nią karmią. A dzieje się tak dlatego, ponieważ każda Eucharystia poprzez przyjęcie Chrystusa sprawia, że się z Nim w jakiś sposób utożsamiamy, i że się w Niego przemieniamy. Ktoś, kto tego słucha, a nie ma pojęcia o Eucharystii, właściwie nie wie, o czym mówimy. Powołanie chrześcijańskie osiąga swój absolutny szczyt właśnie w Eucharystii. Ona pozwala nam przejść przez życie rozwijając to, co w posłannictwie związanym z powołaniem, i wybraniu związanym z powołaniem, jest najważniejsze. Więc szukać jakiejś jednej recepty na rozwój życia duchowego, zakorzenionego na kartach Pisma Świętego, to ta recepta jest jedna — mianowicie Eucharystia. Jeżeli tak to przyjmujemy, jeżeli tak nauczymy się żyć, to można by powiedzieć że umiemy obfitować, ale umiemy też cierpieć biedę. To są słowa św. Pawła. Umiemy przyjmować to, co życie niesie, ale umiemy przyjąć również trudy, które się z tym wiążą. Umiemy przeżywać to, co radosne i piękne, ale mamy dość sił by przeżyć to, co trudne. „Do wszystkich w ogóle warunków”, mówi św. Paweł, „jestem zaprawiony.” A mówił to właśnie w kontekście Eucharystii. Kiedy w Boże Ciało będziemy czcić Eucharystię, to państwo zauważą, że monstrancja ma kształt słońca — te promienie, które są nad Hostią, mają kształt promieni słonecznych. To jest nawiązanie do tego, że Chrystus, zapowiadając siebie w Eucharystii, mówił zarazem, że jest światłością świata. Światłość ma do siebie to, że wskazuje drogę i ogrzewa. I takie w gruncie rzeczy, znów w obrazowy sposób wyrażone, jest znaczenie chrześcijańskiego życia i miejsca, jakie Chrystus w nim zajmuje. Wskazuje nam drogę — wiemy jak żyć, i ogrzewa czyli pozwala nam przeżywać to, co trudne.

Refleksja nad powołaniem w Starym Testamencie miała nas doprowadzić do Chrystusa, a od Niego miała nas doprowadzić do siebie, do każdego i każdej, którzy słuchają teraz tych słów. Otóż można by powiedzieć tak: najlepszym dopełnieniem, zwieńczeniem takiej refleksji, jaką teraz podjęliśmy, byłaby adoracja Najświętszego Sakramentu. I zachęcam państwa do tego, żeby na modlitwę adoracji, czy to w najbliższym czasie, czy w Boże Ciało, poświęcić trochę czasu. Żeby po prostu odbyć taką modlitwę adoracji. Pamiętając choćby część z tego, co rozważamy, starać się przeżyć Chrystusa, który wciąż żyje wśród nas właśnie w Eucharystii. I wtedy ta refleksja nad powołaniem, naszym powołaniem, okaże się również owocna i dla nas.

Na zbliżające się wakacje, na ten czas, który nas czeka, życzę państwu wszystkiego, co najlepsze. Dobrych, radosnych, pięknych dni — z nadzieją, że rzeczywiście przyniosą wiele dobra. A ta refleksja, którą mieliśmy na sam koniec, myślę, że wcale nie jest zbyt wzniosła. Proszę mi wierzyć — kiedy patrzę na państwa to naprawdę jestem przekonany, że doskonale wiecie, o co w tych prawdach o Panu Bogu chodzi. Nie dlatego, że mielibyśmy tutaj roztrząsać je rozumem, ale dlatego, że przeżywacie je po prostu na co dzień. I taki jest sens tej naszej refleksji. Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję. Widzę, że jest Ksiądz Prałat — dziękujemy serdecznie Mu za kolejny rok, za kolejny cykl konferencji.

<Podziękowania>